

Avia i Aeroklub Świdnik
w latach 1952–2012



Zdjęcia i inne materiały niezbędne do powstania publikacji pochodzą ze zbiorów: Marii Balickiej, Waldemara i Wiesława Brzozowskiego, Nikodema Buchowieckiego, Witolda Czerniaka, Grzegorza Doroby, Tomasza Giełzaka, Piotra R. Jankowskiego, Zygmunta Karpia, Ryszarda Kasperka, Krzysztofa Komendy, Jana Kopieła, Jacka Kosierba, Jana Kosiora, Mariana Kostaniaka, Piotra Kostiana, Mariusza Kozaka, Mieczysława Kruka, Czesława Krygiera, Joanny Kurtz, Marka Leszczyńskiego, Mariana Kostaniaka, Piotra Kostiana, Zdzisława Marciniaka, Zbigniewa Matysiaka, Jana Mazura, Kazimierza Patrzyły, Mariana Raczyńskiego, Józefa Radziewicza, Eugeniusza Rechulę, rodziny Jana i Romana Szczerbakiewiczów, Krzysztofa Serwina, Kazimierza Sinickiego, Ryszarda Sitkowskiego, Tadeusza Skalińskiego, Sławomira Sochy, Zdzisława Stypińskiego, Waldemara Wasilę, Zbigniewa Wiechnika, Józefa Zygmontczuka, archiwum „Dziennika Wschodniego”, „Głosu Świdnika”, „Sztandaru Ludu”, TKKF „Świt”, Urzędu Miasta Świdnik (www.histora.swidnik.net) oraz publikacji Andrzeja Kwieka, *Fabryczny Klub Sportowy Avia w 30-lecie miasta Świdnika*, Świdnik 1985; *Kronika. 50 lat działalności 1961–2011. Ognisko TKKF „Świt” w Świdniku*, Świdnik 2011.

Szczególne podziękowania składam: Mieczysławowi Krukowi, wieloletniemu dziennikarzowi „Głosu Świdnika”, spikerowi meczów Avii, wielkiemu sympatykowi klubu oraz Marii Balickiej, Wiesławowi Brzozowskiemu, Nikodemowi Buchowieckiemu, Witoldowi Czerniakowi, Zenonowi Decowi, Grzegorzowi Dorobie, Krzysztofowi Komendzie, Jackowi Kosierbowi, Czesławowi Krygierowi, Zdzisławowi Marciniakowi, Eugeniuszowi Rechulowi, Arturowi Soboniowi, Władysławowi Starobratowi, Zbigniewowi Wiechnikowi. Bez ich pomocy publikacja byłaby uboższa.

Krzysztof Załuski

Avia i Aeroklub Świdnik w latach 1952–2012

Ludzie, wspomnienia, wydarzenia

Lublin–Świdnik 2012

Redakcja
PIOTR R. JANKOWSKI

Korekta
JOLANTA JĘDRAK

Projekt i opracowanie graficzne
IWONA i WOJCIECH OLECH

ISBN 978-83-63394-08-0

Copyright by Urząd Miasta Świdnik, 2012

Nakład: 1000 egz.

Wydawnictwo Olech
ul. M. Curie-Skłodowskiej 4/3, 20-029 Lublin

Druk i oprawa:
„Tekst” sp.j., ul. Wspólna 19, 20-344 Lublin

Spis treści

Przedmowa	7	Boks	51
Wstęp	9	Nie zadzieraj z Kitą	51
Takie były początki	11	Jak Czajęcki przytył	52
Kolej na boks	15	Avia na Koziółku	54
Cisi bohaterowie	18	W obronie męża	55
Starem na mecz	21	Bombardier Kowalski	55
Warto być kibicem	22	Te daty przeszły do historii boksu w Świdniku	57
Piłka nożna	25	Boks a polityka	57
Marian Kostaniak	30	Oni wywalczyli awans do I ligi	61
Marek Leszczyński	31	Gdzie ten Świdnik jest?	61
Tomasz Giełzak	34	Największy sukces bokserów	64
Triumf juniorów	37	Za mały ring	64
Koszary w klubie	40	Wierny kibic	64
Pani Zosia	40	Sitkowski z maczugą	65
Czesław Krygier – 35 lat w Avii	41	Legenda – Ryszard Petek	66
Pucharowy sukces	46	Niespełnione talenty	69
Avia dziś	46	„Incydent” na weselu	70
Inauguracja II ligi	48	Oni zdobywali medale	72
Siedem tysięcy na trybunach	48	12 wspaniałych – według Mieczysława Kruka	72
Rekordowa wygrana	48	Siatkówka	77
Niechlubny rekord	48	Siatkarze w latach 1950–1970	77
Osiągnięcia w lidze	48	Gra o medale	80
Działacze i pracownicy sekcji piłkarskiej Avii	49	Trenerski duet	84

Tragiczne wypadki	92	Sezon 2002/2003	155
Siatkarskie legendy	94	Sezon 2003/2004	155
Sporty motorowe	97	Sezon 2004/2005	155
Jerzy Brendler – klody pod nogi	97	Sezon 2005/2006	156
Jan Kopiel – spod Zamościa do Świdnika	101	Sezon 2006/2007	156
Jasio „Motorek”	103	Sezon 2007/2008	157
Piłkarz na motorze	105	Sezon 2008/2009	157
Gienek. Po prostu Gienek	107	Sezon 2009/2010	158
Jak Komenda zwał ormowcom	111	Sezon 2010/2011	158
Dawaj dętkę!	112	Sezon 2011/2012	159
Serwinowie na motorze i rowerze	114	Zapomniane sekcje	161
Dorobowie – od seniora do juniora	116	Koszykówka	161
Zmierzch motocykli	118	Lekkoatletyka	162
Pływanie	123	Szermierka	162
Pierwsza selekcja zawodników	123	Kolarstwo	163
Pierwszy „złotek”	126	Hokej na lodzie	163
Pierwszy rekordzista	126	Narciarstwo	163
Zdzisław Stypiński	126	Tenis stołowy	163
Bracia Siniccy	129	Ognisko TKKF Świt 1961–2011	165
Jak oszukali Zbigniewa Wiechnika	133	Jak Świdnik to latanie	169
Jacek Miciul	135	Siedem rekordów modelarzy	179
Największe osiągnięcia Avii Świdnik w pływaniu	137	Wszechstronny pilot	179
Avia szachową potęgą	141	Zimowe latanie	180
Szachista-masażysta	144	Stanisław Gajewski	181
Tenis	147	Tadeusz Góra	181
Tenis po 1972 r.	148	Henryk Jaworski: głowa lotniczej rodziny	182
Lata dziewięćdziesiąte XX wieku	150	Wiesława Jaworska	183
Nowy wiek	150	Waldemar Jaworski	183
Halowa piłka nożna	153	Ryszard Kasperek	184
Sezon 1999/2000	153	Stanisław Kasperek	185
Sezon 2000/2001	154	Janusz Kasperek	186
Sezon 2001/2002	154	Nota o autorze	192

Przedmowa

W życiu młodego miasta, po pięćdziesiątce, każdy jubileusz staje się istotny, bo tutaj historii nie liczy się jeszcze wiekami, a dekadami. Rok 2012 w rocznice obfituje szczególnie. Niedawno świętowaliśmy dziesięciolecie powstania Miejskiego Centrum Usług Socjalnych, młodej placówki, ale jakże ważnej dla miasta i mieszkańców. Centrum to ośrodek wsparcia i dziennego pobytu dla osób starszych i niepełnosprawnych.

Jubileusz obchodziła też, posiadająca tytuł „Zasłużona dla Miasta Świdnika”, szkoła średnia – I Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Broniewskiego. Wczorajsi uczniowie są dzisiaj prezydentami miast, prawnikami, lekarzami, politykami, sportowcami, nauczycielami. Budowali nasze miasto, tworzyli jego historię i są z nim nadal sercem.

Tytuł „Zasłużony dla Miasta Świdnika” w dziedzinie kultury otrzymał wychowawca pokoleń muzyków, dyrygent Henryk Maruszak – prowadzący Helicopters Brass Orchestra, muzyczną wizytówkę miasta – świętował swoje 60-lecie. Nie sposób wyobrazić sobie miejskiej uroczystości bez dźwięków

blach i drewna HBO. Orkiestra jest też od kilku lat organizatorem Międzynarodowego Festiwalu Orkiestr Dętych.

Zawodnicy Klubu Sportowego Avia, który również w tym roku świętuje swoje 60-lecie, reprezentowali nasze miasto na imprezach o randze światowej. Nazwiska Ryszarda Petka – mistrza Europy w boksie, siatkarzy Leszka Łaski, złotego medalisty olimpijskiego i Tomasza Wójtowicza, mistrza olimpijskiego z 1976 r. i mistrza świata z 1974 r., motocyklowej rodziny Dorobów, piłkarzy, pływaków, tenisistów znajdują się w leksykonach historii sportu. Przy tej okazji nie można zapomnieć o znanych i wybitnych trenerach i wychowawcach latami przekazywali wielu młodym świdniczanom swoje umiejętności, wprowadzając ich w arkana dyscyplin sportowych.

W mieście lotniczym, wysokich lotów, w sposób szczególny należy wyróżnić miłośników awiacji i wspomnieć o święcie Aeroklubu Świdnik, który powstał 60 lat temu z inicjatywy grupki zapaleńców. Wśród nich znalazł się dzisiejszy prezes Klubu Seniorów Lotnictwa Nikodem Buchowiecki,

współtwórca Izby Tradycji Miasta. Nasz aeroklub wychował prawdziwe lotnicze klany: Kasperków, Jaworskich, Kaletów, Zachów, mistrzów Polski, Europy i świata. Gratulacje i owa uznania należą się wszystkim konstruktorom, instruktorom, pilotom, mechanikom i modelarzom, którzy przyczynili się do rozwoju lotnictwa.

Te wspaniałe jubileusze wskazują na to, że mamy do czynienia nie tyle z historią miasta, które prawa miejskie otrzymało przecież dopiero w 1954 roku, co

z historią miejsca, tworzoną przez ludzi zwyczajnych i niezwykłych. Bez nich, bez ich aktywności nie byłibyśmy dzisiaj tak zwartą i wartościową wspólnotą. Za to składam jubilatom serdeczne podziękowanie i wyrazy wdzięczności, nucąc: *Sto lat!*

A handwritten signature in black ink, reading "Waldeman Jackson". The signature is written in a cursive, slightly slanted style. The first name "Waldeman" is written in a more compact, rounded script, while the last name "Jackson" is written in a more elongated, flowing script with a prominent loop at the end of the "n".

burmistrz Świdnika

Wstęp

Minęło 60 lat od chwili, gdy w latach 50. ubiegłego wieku powołano klub sportowy „Stal”, a wkrótce po raz pierwszy pojawiła się nazwa „Avia”. Było to podczas konkursu na nazwę klubu, który właśnie powstawał. Mało kto wtedy przypuszczał, że przez kolejnych kilkadziesiąt lat kibice w całym kraju zapamiętają tę nazwę i nie będą – tak jak na początku – szukać na mapie, gdzie leży Świdnik.

60 lat. W tym czasie Avia przeżywała wzloty i upadki. Były i sukcesy, i porażki. Jak to w sporcie. O porażkach zapomnieliśmy. Sukcesy chcemy przeżywać na nowo. I dlatego ta książka powstała. Dzięki takim nazwiskom, jak Wójtowicz, Łasko, Szczerbakiewicz czy Petek, mogliśmy i my poczuć się zwycięzcami. Razem z nimi cieszyć się z wygranej. Czy może być coś wspanialszego? Wrócić do tamtych dni, kiedy cała hala skandowała nazwiska swoich bohaterów.

Historię Avii tworzyli nie tylko sportowcy. To także działacze, masażyści, porządkowi, klubowi kierowcy. Oni też zasłużyli na pamięć.

Przy zbieraniu materiałów do tej książki okazało się, że najstarsi kibice pamiętają niektóre mecze,

pojedynki czy zawody jak przez mgłę. Ale każdy z bohaterów tej publikacji – podczas rozmowy – był dumny z tego, że reprezentował barwy Avii. Podobnie sportowcy – czasami nie pamiętali już imienia swojego kolegi z boiska lub parkietu, ale zachowali w pamięci, że grali dla kibiców i Świdnika. I atmosferę tamtych zmagania.

Książka nie jest typową monografią. Nie analizuje poszczególnych lat działalności klubu. Do minimum ograniczono tabele i wyniki. Z prostego powodu – moim zamiarem jako autora było napisanie książki o ludziach, a nie o cyfrach. O ludziach związanych z Avią na dobre i na złe. Zarówno o tych wybitnych, jak i o tych, którzy wielkich sukcesów w sporcie nie osiągnęli. Ale sport był dla nich sposobem na życie, odskocznią od codziennych problemów.

Ze względu na objętość publikacji nie mogłem poświęcić miejsca każdemu z osobna. To jest niewykonalne. Ale każdy, kto tworzył i tworzy historię tego klubu, jest dla mnie bohaterem. Mam nadzieję, że dla Czytelnika także.



Takie były początki

Budowa zakładów lotniczych przyciągała do Świdnika robotników poszukujących pracy. Miasto oferowało nie tylko zatrudnienie, ale i kusilo mieszkaniem, co dla wielu było dodatkowym argumentem, żeby tu przyjechać. Wśród nich byli także sportowcy. Przyjeżdżali z całego kraju. O boiskach czy też sali sportowej nikt wtedy nie myślał. Pierwsze zajęcia odbywały się w dwóch murowanych barakach: pierwszy (później przejął go aeroklub) znajdował się z tyłu



Paweł Drożdżyński, pierwszy szef przyszłej Avii

ówczesnego kina „Przodownik”, a drugi (należał do Lubelskich Zakładów Przemysłu Terenowego „Lub-gal” Zakład nr 3 w Świdniku – późniejszej filii Fabryki Samochodów Ciężarowych „Polmo” Zakład Tapicerki Samochodowej, gdzie produkowano siodełka do motocykli) obok dawnej stacji kolejowej. Jedynym wyposażeniem były stoły do tenisa. Oprócz tego rozgrzewali się tu bokserzy. Tutaj też odbywały się pierwsze zebrania zarządu klubu. Był to początek lat 50. ubiegłego wieku.

– Po powrocie z pracy nie było co ze sobą robić – wspomina Mieczysław Kruk, który wówczas pracował w WSK jako planista. – A chętnych do uprawiania sportu nie brakowało. Nie było tylko gdzie.

Sytuacja zmieniła się wraz z przybyciem do Świdnika trójki lubelskich trenerów: Michała Tymosławskiego, Ryszarda Drozakiewicza i Józefa Madeja. Zabiegała o nich istniejąca już w zakładzie Rada Koła Sportowego. Na jej czele stał Paweł Drożdżyński, zastępca dyrektora naczelnego ds. handlowych.

Wcześniej pracował w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu. Był entuzjastą sportu, szczególnie

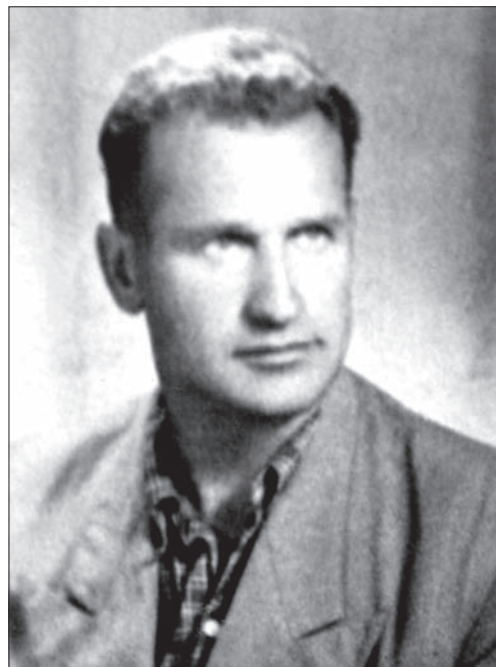
boksu. Miał obok siebie takich działaczy, jak Mariana i Tadeusza Cieniuchów, Stanisława Barana, Wojciecha Tyczyńskiego, Wacława Kosza i Stefana Sochę. Wkrótce widoczne były pierwsze efekty ich starań o utworzenie klubu sportowego w mieście. W maju 1952 r. powstał Robotniczy Klub Sportowy Stal Świdnik 4 (cyfra „4” oznaczała czwarty z kolei fabryczny klub sportowy na Lubelszczyźnie – po Poniatowej, Kraśniku i Lublinie), niemal jednocześnie ogłoszono konkurs na nową nazwę klubu.

– Było kilka propozycji, ale wygrała nazwa zaproponowana przez Wacława Kosza, kierownika transportu w WSK – mówi Mieczysław Kruk. – Od tej pory, czyli od 1952 r., mieliśmy w Świdniku Fabryczny Klub Sportowy Avia. Nazwa miała się kojarzyć z lataniem, awiacją, czyli tym, z czego miasto było znane. W składzie pierwszego zarządu klubu byli: Zbigniew Fijałkowski, Wojciech Tyczyński, Marian Cieniuch, Jerzy Kędzierski, Stanisław Baran, Władysław Kocięba, Alfreda Ratajczak, Wacław Kosz i Stefan Socha. Prezesem został Paweł Drożdżyński.

Pierwszą dyscypliną była oczywiście piłka nożna. Boisko znajdowało się kilkaset metrów od zakładu – przed hangarem.

– Bramki wyznaczały stalowe pręty, cegły i kamienie – wspomina Mieczysław Kruk. – Nie było poprzeczek ani linii bocznych.

Wkrótce rozegrano pierwszy mecz piłkarski, w którym spotkała się reprezentacja WSK i junacy Służby Polsce. Ci drudzy wyszli na boisko ubrani w białe koszulki i czarne spodenki. Wyglądali



Wacław Kosz – pomysłodawca nazwy „Avia”

jak „prawdziwa” drużyna – w przeciwieństwie do reprezentacji WSK, w której każdy piłkarz był inaczej ubrany. Mecz zakończył się remisem 3:3. A kibiców – dzięki nagłośnieniu spotkania przez zakładowy radiowęzeł – nie brakowało. Od tej pory zaczęto poważniej myśleć o profesjonalnej drużynie piłkarskiej.

Sportowcy, którzy w latach 50. ubiegłego wieku przyjeżdżali do miasta z różnych zakątków kraju – zanim dostali swoje wymarzone cztery kąty – mieszkali w hotelu lub na kwaterach prywatnych. Ich urządzeniem w meble, konserwacją i naprawami



Mecenasi świdnickiego sportu: Stanisław Jankowski (z lewej) i Aleksander Smolarkiewicz



Spikerem Avii – w tamtych latach – był Mieczysław Kruk

zajmował się m.in. Stefan Konik, pracownik działu administracji i kierownik hotelu robotniczego.

Jeden z popularnych hoteli mieścił się w bloku 56. W Świdniku nie było wtedy jeszcze nazw ulic. I tym hotelu – całe piętro – zajmowali sportowcy. W jednym pokoju mieszkali m.in.: piłkarze – Czesław Krygier, Edwin Wieczerzak, Tadeusz Rysak, Eugeniusz Bondarenko, i bokser Stanisław „Czaja” Czajęcki.

– Byliśmy jak jedna duża rodzina – wspomina Czesław Krygier. – Naprzeciwko naszego hotelu stał drugi. W nim mieszkaly z kolei same kobiety.

Byli sportowcy dobrze pamiętają, jak dużym wyzwaniem było wtedy przygotowanie porannej herbaty.

– W gniazdkach było czasami tak niskie napięcie, że zagotowanie wody w czajniku trwało kilka godzin. Trzeba było go włączać nawet o 4 rano – wspomina Józef Zygmontczuk, były siatkarz.

On sam mieszkał w hotelu, gdzie dziś mieści się szpital. I był to „luksusowy” wówczas hotel, bo ciepła woda była tu nawet trzy razy w tygodniu, a nie raz – jak w wielu innych. Ale żeby wziąć prysznic, trzeba było zejść do piwnicy.

Kolej na boks

Równoległe z utworzeniem drużyny piłki nożnej zaczęto też myśleć o kolejnej sekcji – bokserskiej. Na początku należeli do niej amatorzy pięściarstwa, z czasem jednak dołączyli do nich „zawodowcy”. Działacze szukali odpowiednich pomieszczeń do treningów. Większość zajęć odbywała się początkowo

pod gołym niebem. Pierwsze mecze bokserskie organizowano w sali Zakładowego Domu Kultury (na 300 miejsc), później zaś w wydzielonej stołówce. Oficjalnym pierwszym pojedynkiem był mecz Stali Świdnik z Budowlanymi Lublin w 1952 r.

– W hali nie było nagłośnienia – wspomina pan Mieczysław. – Przed każdą walką stawałem na ringu i wykrzykiwałem ile sił w płucach nazwiska zawodników i wyniki. Po kilku walkach już miałem chrypkę. Kiedyś pomogła mi milicja, pożyczając swoją tubę. Pięściarze z roku na rok spisywali się coraz lepiej. Po raz pierwszy Avia weszła do II ligi w 1957 r., zwyciężając Stal Rzeszów 14:6. Bohaterem tamtego meczu był Stanisław Czajęcki.

O historycznym awansie do I ligi w 1970 r. miał zadecydować mecz z Górnikiem Wesola. Hala pomieściła 2 tys. kibiców. Drugie tyle stało przed halą. A mróz był wtedy tęgi. Spiker po każdej walce informował ich o przebiegu pojedynku. Jak wspomina Mieczysław Kruk, pierwszy kibic przyszedł już o 6 rano. Na mecze przyjechała też grupa kibiców z Wesolej. Nie było już dla nich miejsca. Usiedli po

WRAZ ZE SPRZĘTEM		ZEZWOLENIE dla redaktora „Głosu Świdnika”	
1. Magnetofon	GRUNDIG MK 232	Ob.	Mieczysław Kruk
2. Aparat marki	ROSS/ JAPAN/	Nr przepustki stałej	04991
Nr fabr.	Klaudia II	na wejście i wyjście z zakładu	
3. Urządzenie błyskowe szt.		w okresie od	87.10.06 do 87.12.31
4. Taśmy szt.		w godzinach od	88. 1.01 do 88. 12. 31.
MIEJSCA W WOK-6 z. 1404 01.10.04 -- 50 szt		Redaktor „Głosu Świdnika” podpis i pieczęć Nacz. Redaktora Jerzy Jurak	

Na podstawie takiego dokumentu Mieczysław Kruk mógł wejść na teren zakładu z magnetofonem

turecku wokół ringu. Próbowali głośno dopingować swoich ulubieńców, ale widownia szybko ich zagłuszyła. Avia wygrała, a w tym pojedynku klasą dla siebie był Waldemar Kowalski, który pokonał Mariana Kasprzyka, mistrza olimpijskiego z Tokio. Ta sztuka udała się także w pierwszym pojedynku – w Wesołej.

W następnych latach w Świdniku powstały kolejne sekcje: siatkówka żeńska, sporty motorowe, lekkoatletyka i siatkówka męska.

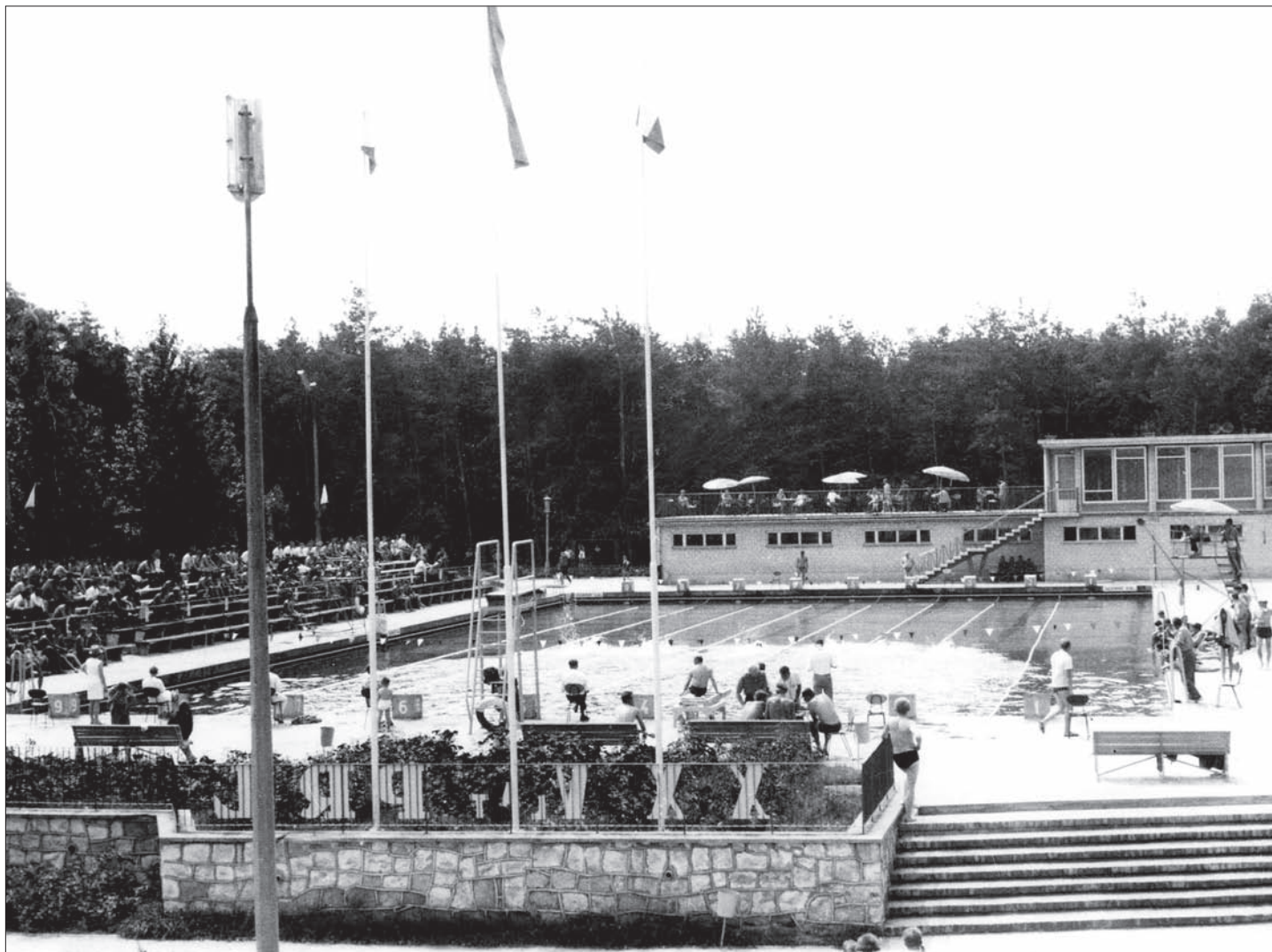
W 1956 r. oddano do użytku 50-metrową pływalnię, dwa lata później – korty tenisowe. W 1964 r. Świdnik doczekał się wreszcie prawdziwego stadionu piłkarskiego, a w 1969 r. – hali i krytego basenu. Taką bazą mogło pochwalić się niewiele miast nie

tylko na Lubelszczyźnie, ale i w Polsce. Nic dziwnego, że o naszych sportowcach było coraz głośniej. Pod koniec lat 60. i na początku lat 70. XX wieku mogliśmy świętować awans bokserów do I ligi, potem cieszyliśmy się z upragnionego awansu piłkarzy do II ligi i z gry siatkarzy w najwyższej klasie rozgrywek.

Sportowcy Avii byli znani i podziwiani. – I nie ma w tym przesady – wspomina Edward Dziedziura, były działacz klubu. – Pamiętam chociażby Mariana Guza, bramkarza. Przychodził rano do zakładu, zaraz potem wychodził na trening. Każdy chciał z nim zamienić choć słowo, zwłaszcza po dobrym meczu w jego wykonaniu. Imponowało nam, że taki znany w Świdniku sportowiec jest naszym kumplem z zakładu.



Jedna z pierwszych drużyn RKS Stal Świdnik. Od lewej: Mieczysław Kruk, Czesław Słoniewicz, Roman Siarka, Bogdan Jaświłko, Piotr Prus, Zygmunt Kiermaszek, Stefan Matusiak, Jan Tondys, Sławomir Nowak, NN, Zygmunt Piprek, Jerzy Krynicki



Na odkryty basen z podgrzewaną wodę przyjeżdżali do Świdnika sportowcy z całego kraju

Na początku lat 60. klub popadł jednak w finansowe tarapaty. Wtedy pojawił się Stanisław Jankowski. Był m.in. kierownikiem kilku rozdzielni wydziałowych w WSK, sam grał w piłkę. Był doskonałym fachowcem. Wcześniej pracował w zakładach Plage-Laśkiewiczza. Jankowski, którego nazywano Napoleonem sportu, sprawdził się jako menedżer. Wyprowadził klub na prostą. Do dziś niektórzy wspominają, jak pozbywał się z klubu tych, którzy udawali, że pracują dla dobra Avii. Po odejściu z klubu został korespondentem „Głosu Świdnika”.

W połowie lat 70. Avia była już najsilniejszym klubem Lubelszczyzny. Coraz więcej mówiło i pisało się o siatkarzach, mieliśmy najlepszych pływaków w kraju, nieźle radzili sobie „motorowcy” i piłkarze.

Cisi bohaterowie

Avia to nie tylko sportowcy, działacze, trenerzy. To także ci, o których większość kibiców nawet nie słyszała. A oni też mają swój wkład w historię świdnickiego sportu.

Henryk Kurek, Stefan Sznajder, a wcześniej Henryk Mościbrodzki i Stanisław Dziak – to m.in. oni wozili zawodników po całej Polsce i za granicę. Do tego byli prawdziwymi entuzjastami sportu.

– Zawodnicy – czy to pięściarze, czy siatkarze – zawsze pytali, kto jedzie: pan Henio, czy pan Stefan. Byli bardzo lubiani przez wszystkich.

Henryk Kurek z dumą podkreślał, że jest rodowitym świdniczaninem. Przez wiele lat pracował w dziale transportu w WSK, za co był wielokrotnie

nagradzany. Ale to nie wszystko: swoich synów „odał” Avii. Zarówno młodszy Dariusz, jak i starszy, Sławomir, byli podporą świdnickiej siatkówki. Dariusz zrobił nawet międzynarodową karierę. W Belgii był czołowym atakującym ligi. Ojciec był ich najwierniejszym kibicem. Jeździł nawet do Belgii i był dumny, kiedy tamtejsi kibice oklaskiwali na stojąco grę syna.

Ze Stefanem Sznajderem można było z kolei godzinami rozmawiać o sporcie. Wiedzę w tym zakresie miał ogromną. Nic dziwnego, skoro jego ulubioną lekturą był „Przegląd Sportowy”. Czytał go od deski do deski.

Pan Stefan miał też „fuchy”. Nie tylko woził zawodników na mecze, ale zdarzało mu się również



Klubowy lekarz Henryk Górny (z lewej) i Henryk Kurek

przygotowywać relacje z wyjazdowych potyczek Avii.

W WSK audycje sportowe były nadawane w poniedziałki – *Przy muzyce o sporcie*, i czwartki – *Sportu blaski, sportu cienie*. Ta ostatnia zaczynała się dokładnie tymi słowami: „Sportu blaski, sportu cienie, Kruk Mieczysław na antenie”.

– Były to popularne programy – mówi Mieczysław Kruk. – Wtedy nikomu nie marzył się nawet Internet ani telefon komórkowy. Takie audycje – obok wiadomości w gazetach – stały się podstawowym źródłem informacji. Przekazywaliśmy nie tylko relacje ze spotkań, ale też wywiady z zawodnikami czy trenerami.

Henryk Kurek i Stefan Sznajder zmarli w latach 90. Odeszli o wiele za wcześnie.

– Byli niezłomni – mówi z przekonaniem Mieczysław Kruk. – I ci, którzy ich znali, to potwierdzą.

Ostatnim klubowym kierowcą był Piotr Robert Podściański, który przez 20 lat – aż do emerytury woził zawodników Avii. – Najmilej wspominam wyjazdy do Jugosławii – mówi. – Pamiętam, że rolę tłumacza pełnił najczęściej Mietek Rzędzicki.

Warto też wspomnieć o Witoldzie (tak go nazywano, chociaż na imię miał Wit) Nowodzińskim. On również tworzył historię klubu. Przez lata pełnił funkcję gospodarza obiektów Avii. Dbał o murawę boiska, wytyczał wapnem linie. Znał tu każdy kamyczek. I nie ma w tym przesady. Mieszkał tu. Od rana do wieczora krzątał się po terenie, podlewał, zraszał boisko, plewił chwasty. Jak trzeba było,



Piotr R. Podściański

wsiadał w „nyskę” i robił zaopatrzenie. Pomagała mu żona, Jadwiga.

– Pamiętam, że pani Jadzia prała nasze stroje – wspomina Marian Kostaniak, były piłkarz, szkoleniowiec i długoletni kierownik zespołu. – W klubie były pralki, z których bez przerwy korzystano.



Wit Nowodziński przez lata dbał o klubowe obiekty

Zanim jednak powstała klubowa pralnia, to trzeba dodać, że pierwsza mieściła się w bloku nr 13 u państwa Gryniów. Zdzisław Gryń był zresztą drugim (po Henryku Krasuckim) bramkarzem Avii.

Prawą ręką Wita Nowodzińskiego był Adam Goljanek. On z kolei doprowadzał do porządku stroje bokserów. A o zdrowie sportowców dbał Henryk Górny, długoletni lekarz, kierownik przychodni przyzakładowej. Później tę funkcję pełnił m.in. lek. med. Stanisław Borowiecki.



Stanisław Jankowski (z lewej), sekretarz FKS Avia z Marią Balciką (z prawej), ówczesną redaktorką naczelną „Głosu Świdnika”

Widoczny udział w funkcjonowaniu klubu miał także Zenon Dec. Przez wiele lat był kierownikiem zakładowej drukarni. To przez jego ręce przechodziły wszelkie publikacje dotyczące klubu, takie jak afisze, plakaty i ulotki.

Nie można też zapomnieć o pracy sekretarek klubu. Stenia Ziemińska (żona byłego prezesa), Barbara Stelmach i Regina Brzozowska zajmowały się nie tylko sprawami biurowymi, ale opiekowały się także magazynem sprzętu sportowego.

Wielu kibiców pamięta z pewnością także Aurelię Mielniczuk, która sprzedawała bilety na mecze Avii.

Sympatykiem klubu, który pomagał w organizacji turniejów, spartakiad i festynów, był Henryk Maruszak. Popularny „Henio” był także wirtuozem akordeonu i do dziś wielu wspomina jego muzyczny talent, kiedy grał podczas klubowych imprez.

Nie można zapomnieć o Romanie Ułanowiczu z PSS Społem i Pawle Gryczce z zakładowego magazynu wód mineralnych i gazowanych. Dzięki nim na imprezach sportowych organizowanych przez Avię nikt nie był ani głodny, ani spragniony...

Znaczny udział w popularyzacji sportu miała również redakcja gazety zakładowej, później tygodnika „Głos Świdnika”. O sporcie pisali m.in. Marian Kłos, Tadeusz Chwałczyk, Mieczysław Nowak, Dariusz i Andrzej Kwiekowie, Jerzy Jurak. Pomagali im fotoreporterzy: Mieczysław Wysocki, Jerzy Sieczkarz, Jan Tymczak, Zbigniew Piasecki, Teresa Sugier, Elżbieta Lipko, Waldemar Wawrzyszko i Krystyna

Majkowska. Od kilkunastu lat sportem z „Głosie Świdnika” zajmują się Teofil Filipiuk i Sławomir Socha, a redaktorem naczelnym jest Jan Mazur.

Starem na mecz

Na pierwsze mecze zawodnicy Avii jeździli ciężarówką. Był to skrzyniowy star z plandeką. Na skrzyni były zamontowane ławki. Kto się nie zmieścił – ten stał.

– Pamiętam, jak jechaliśmy kiedyś do Rzeszowa na mecz – wspomina Czesław Krygier. – To była cała wyprawa. Wyjechaliśmy o świcie. W połowie drogi mieliśmy postój. Ale kto tam myślał o odpoczynku. Trener dał nam piłkę i kazał ćwiczyć strzały. Bramką była plandeka stara.

Przez kilkadziesiąt lat historię Avii tworzyło także liczne grono działaczy. Wśród nich należy wspomnieć m.in. Witolda Czerniaka. To za jego kadencji siatkarze Avii odnosili największe sukcesy. Siatkówka nie miała dla niego tajemnic. Miał znakomite kontakty w środowisku siatkarskim. Zawodnicy wspominają go jako człowieka, który był w pełni oddany siatkarskiej Avii. I ze śmiechem opowiadają, że początki pana Witka w siatkówce nie były łatwe.

– Kiedyś w lidze międzywojewódzkiej przegraliśmy 2:3 i pan Witek był bardzo zdziwiony i zły zarazem, że gospodarze nie chcą dalej grać – śmieje się jeden z byłych zawodników. – Ale po jakimś czasie znał się już na siatkówce jak mało kto.

Nie można zapomnieć też o inż. Janie Toruniu, który jest współautorem awansu piłkarzy Avii do



Wielkim sympatykiem Avii, mecenasem sportu był Władysław Janik, wieloletni dyrektor naczelny WSK

II ligi. Znakomitym organizatorem był Radosław Rubaj. Nie było dla niego sprawy nie do załatwienia. Bokserskich talentów wyszukiwał w kraju Stefan Dudzik. To on m.in. ściągnął do Świdnika Petka. Miał zresztą z tego powodu potem kłopoty. Przez pewien czas był nawet zawieszony. Ale swój cel osiągnął. Dzięki zwycięstwom Petka mieliśmy możliwość przeżycia wielu wspaniałych chwil. Wielkim pasjonatem boksu był także Karol Szczotka, góral spod Żywca, któremu sport świdnicki wiele zawdzięcza. Wielkie zasługi dla Avii mieli także Marian Chałas, wieloletni działacz i przyjaciel sportowców, oraz Edward Dziedziura, długoletni kierownik sekcji bokserskiej i wielu innych. Warto podkreślić, że kolejni dyrektorzy WSK pamiętali o sportowcach, szczególnie Mieczysław Majewski, bo w najtrudniejszym

okresie dla świdnickiego sportu to on wyciągnął pomocną dłoń do Avii.

Wiele o świdnickim sporcie może opowiedzieć wspomniany już wcześniej Mieczysław Kruk. Przez lata był ściśle związany z klubem. A jako sprawozdawca sportowy, dziennikarz i spiker widział i słyszał wiele. Często były to także zabawne historie.

– Kilka razy komentowałem mecz z dachu klubowego pawilonu – wspomina pan Mieczysław. – Podczas jednego z takich meczów – z Hetmanem Zamość – zdawałem relację telefonicznie. I słuchacze mieli chyba niezły ubaw, bo od czasu do czasu słyszeli kwik świń, które na potrzeby Avii były trzymane w pawilonie – tuż przede mną, kiedy siedziałem na dachu. Podobną przygodę miałem zresztą na meczu z Włókniarzem Łódź. Chciałem nagrać relację na taśmie magnetofonowej. Ze sprzętem wdrapałem się na dach. Okazało się, że wcześniej został wysmarowany jakimś lepikiem. Kilka dni nie mogłem się domyć, a taśmy były posklejane.

W latach 80. ubiegłego wieku w klubie pojawiła się nowa twarz. Był to redaktor Andrzej Kwiek, jeden z ówczesnych filarów „Głosu Świdnika”. Był znakomitym znawcą sportu. Znał wielu zawodników Avii, z wieloma się przyjaźnił. Szybko połączył pracę redakcyjną w gazecie z radiowym mikrofonem. To dzięki niemu powstała pierwsza w historii miasta monografia Avii „FKS Avia na 30-lecie miasta”. Po pewnym czasie opuścił Świdnik i został dziennikarzem sportowym w „Kurierze Lubelskim”. Prowadził też kilkakrotnie finał plebiscytu na 10 najlepszych



Józef Madej, prezes Avii, przemawia podczas uroczystości przekazania klubowego sztandaru. Pomysłodawcą jego wykonania był Alojzy Gawron, kibic Avii, i to on zorganizował w mieście zbiórkę pieniędzy na ten cel

sportowców Lubelszczyzny. Nie trzeba dodawać, że ogromną satysfakcję miał wtedy, kiedy wśród najlepszych był sportowiec właśnie ze Świdnika.

Warto być kibicem

Avia od zawsze miała wiernych kibiców. Wśród nich szczególną sympatią cieszy się Piotr Kostian, przede wszystkim wielki znawca i entuzjasta boks,

oraz Zygmunt Karp. Pana Zygmunta znają wszyscy kibice. Przez lata – zawsze jako pierwszy i na długo przed rozpoczęciem jakiegokolwiek meczu z udziałem sportowców Avii – był już na trybunach.

– Na mecze przychodziły kiedyś całe rodziny – mówi. – To była przez wiele lat jedyna rozrywka. Ale muszę przyznać, że kibice sprzed kilkudziesięciu lat bardziej się znali na sporcie niż ci obecni. Może dlatego, że my naprawdę to przeżywaliśmy?

Najstarsi kibice do dziś wspominają, że mieszkańcy Świdnika – biorąc pod uwagę historię miasta – dwa razy nie przespali nocy przez wydarzenia

sportowe. Pierwszy raz w 1967 r., kiedy Ryszard Petek zdobywał złoto na Mistrzostwach Europy w Rzymie. Drugi – w 1976 r., kiedy Tomasz Wójtowicz i Lech Łasko dali łupnia Rosjanom w Montrealu i sięgnęli po złoty medal olimpijski.

– Takich nocy się nie zapomina – mówi Mieczysław Kruk. – Ludzie do rana chodzili po ulicach, w domach paliły się światła, słychać było muzykę. W wielu oknach widać było poświatę, którą dawały ekrany włączonych telewizorów. Była to namiastka słynnego brazylijskiego karnawału. Dla takich chwil warto być kibicem.





Piłka nożna

Pierwszy oficjalny mecz piłkarski Stal Świdnik rozegrała 1 maja 1952 r. ze Stalą Lublin (FSC). Wygrała 3:2. Spotkanie rozegrano na obecnym stadionie Motoru przy Alejach Zygmuntowskich (wówczas była to Nowa Droga).

Początki świdnickiej piłki są związane z takimi osobami, jak Wacław Kosz, ówczesny kierownik transportu w WSK, Zbigniew Jaroszewicz, kierownik wydziału obróbki pokryciowej, Mieczysław Sadowski i Stanisław Socha. To oni zaszczytli w świdniczanach zainteresowanie tą dyscypliną.

Szatnia dla piłkarzy mieściła się w baraku po budowlanych. Potem zawodnicy przebierali się w budynku masarni. Wiele zmieniło się po przyjeździe do klubu trenera Jerzego Chrzanowskiego, który wcześniej pracował m.in. w Legii Warszawa, dlatego wiedział, jak powinny być wyposażone szatnie. To jemu piłkarze zawdzięczali, że mogli po treningu czy meczu położyć się nawet na leżance, która się tam pojawiła. Były też prysznice z ciepłą wodą. Piłkarze – jak na tamte lata – nie mogli też narzekać na sprzęt. Zakład na bieżąco kupował nowe koszulki,

dresy i buty dla zawodników. Pod tym względem Avia mogła być wzorem dla innych klubów. Gorzej było z boiskiem. Zanim piłkarze doczekali się



Leon Kozłowski – jeden z pierwszych trenerów Avii. Był bardzo wymagającym szkoleniowcem. Prowadził Avię jedynie przez jeden sezon

prawdziwej murawy, bez muld i kretowisk, to biegali po lasach albo ćwiczyli na kortach tenisowych.

O porządnych butach piłkarskich można było tylko pomarzyć. Ale w zakładzie, na jednym z wydziałów, pracował Marian Gardziała, „złota rączka”, który do butów kolarskich dorabiał drewniane kołki. W ten sposób piłkarze mieli namiastkę prawdziwych korków. Pan Maniś, bo tak go wszyscy nazywali, wymyślił też igłę, którą potrafił zszyć każdą piłkę.

Od początku nie brakowało chętnych do uprawiania tej dyscypliny. Młodzież garnęła się do piłki. Na treningi przychodziło czasami 40 chłopaków spragnionych prawdziwego futbolu.

Starsi kibice wciąż z szacunkiem i życzliwością wspominają występy w barwach Avii Eugeniusza Bondarenki. Wielu z nich uważa go do dziś za jednego z najlepszych piłkarzy świdnickiego klubu, w którym grał od 1955 do 1966 r. Kibice porównywali go nawet do legendarnego Gerarda Cieślika.

– To był chłopak, który trafił do nas z Chelma – mówi Piotr Kostian. – Był młody, ale bardzo solidny. Na boisku nie filozofował, tylko robił swoje. To był wspaniały piłkarz.

Być może osiągnąłby w piłce dużo więcej, ale kontuzja (łakotka) przerwała jego karierę. Wtedy poświęcił się pracy w zakładzie.

W trakcie pisania tej książki dotarła do nas smutna wiadomość – Eugeniusz Bondarenko przegrał walkę z ciężką chorobą. Pogrzeb odbył się 14 maja 2012 r. Kiedy usiłowałem się z nim spotkać kilka tygodni przed śmiercią, nie miał ochoty rozmawiać

o sporcie. Trudno się dziwić. Pan Eugeniusz rozgrywał w tym czasie najważniejszy mecz w życiu...

Z roku na rok na mecze przychodziło też coraz więcej kibiców. Zaczęło coraz częściej dochodzić do nieprzyjemnych incydentów.

– Na pewno nie takich jak na dzisiejszych stadionach – wspomina Mieczysław Kruk. – Pamiętam jednak mecz z Lublinianką w latach 60. Przyszło ok. 1000 kibiców. Sędzia im podpadł. Musiał uciekać przez lotnisko. Nie dogonili go, a Avia przegrała wtedy 2:3.

Ten mecz pamięta także Zygmunt Karp, wierny od lat kibic Avii.

– Kibicuję od początku, od 1952 r. – mówi pan Zygmunt. – A ten mecz z Lublinianką pamiętam do dziś. Sędziował arbiter Sokołów z Lublina. I był za Lublinianką. W pewnym momencie kibice nie wytrzymali i wbiegli na boisko. Zrobiła się awantura. Od strony Zadębia przyjechało zaraz ZOMO i co niektórym oberwało się pałką. Ja zdołałem uciec.

Meczem „podwyższonego ryzyka” były zawsze potyczki z Motorem. Milicja była wtedy w pełnej gotowości, ale i tak zdarzały się przepychanki między kibicami. Często dochodziło do nich zwłaszcza na dworcu lub w jego okolicy.

Początki sekcji piłkarskiej w Świdniku były trudne. Było biednie, ale nie brakowało entuzjazmu.

– Pamiętam, jak kiedyś jechaliśmy na mecz do Zamościa – opowiada Mieczysław Kruk. – Zatrzymaliśmy się na krótki postój. Niektórzy wyciągnęli kanapki. Wielu miało sam chleb albo kromki



Piłkarze Avii, którzy w 1959 walczyli o awans do ligi okręgowej. Ta sztuka udało się dopiero w 1960 r. Na zdjęciu – przed meczem w Lubartowie z Lewartem, wygranym przez Avię 3:1. Od lewej: Stanisław Duma, kierownik drużyny, Czesław Krygier, Roman Siarka, Wiesław „Gil” Gilewski, Józef Madej (później prezes klubu), Czesław Słoniewicz, Piotr Prus, Stefan Matusiak, Marian Maciejewski, Marian Drąg, Edwin Wierzchzak i Sławomir Nowak

posmarowane cienko masłem. Zrywali tarninę i kładli na kanapki. W powrotnej drodze zrekompensował im to ufundowany obiad w Izbicy. Na tej trasie najczęściej zatrzymywali się na obiad w Piaskach. A smak schabowego, który ledwo mieścił się na talerzu, wielu pamięta do dziś...

Po zwycięskim meczu piłkarzy było słychać już przy wjeździe do Świdnika. W autokarze śpiewali wszyscy.

– Ale alkoholu nie było – zaznacza Kruk.

Kiedyś, po trzecioligowym meczu Avii, omal nie doszło do tragedii. Koło Krasnegostawu w ich autobus uderzyła ciężarówka. Najbardziej ucierpiał Ryszard Kosiół, świdnicki oblatywacz, który jechał razem z piłkarzami. Autobus był lekko uszkodzony. Pojechał dalej. Po drodze podjechali pod szpital w Krasnymstawie. Z rannym oblatywcem został Mieczysław Kruk.

– O pierwszej w nocy zakończyły się badania – mówi. – Mogliśmy wracać do Świdnika. Ale jak?



Trener Ryszard Drozdakiewicz (z lewej) i Bogusław „Dziuniak” Kurlej, zawodnik, który zasłynął niecodzienną bramką. Grając przeciwko Stali Poniatowa, strzelił gola z połowy boiska

Poszliśmy na dworzec. Ale w nocy żaden pociąg nie jeździł. Dopiero jakiś kolejarz nam doradził, żebyśmy wsiedli do towarowego. Po drodze modliliśmy się tylko, żeby w Świdniku było czerwone światło. Wtedy pociąg zatrzymałby się. Na szczęście tak było. Nad

ranem byliśmy w domu. Z Rysiem zostaliśmy od tej pory przyjaciółmi. W nagrodę przeleciałem się z nim samolotem nad Lublinem i Świdnikiem. Rysio pilotał. To był pierwszy i ostatni mój lot w życiu, bo to nie jest normalne latać jak Rysio do góry kołami.

Jednym z najważniejszych spotkań, jakie zapisane zostały w kronikach klubu, był mecz 1/16 Pucharu Polski – 5 marca 1962 r. do Świdnika przyjechał utytułowany pierwszoligowiec – ŁKS. Na ten mecz kibice czekali 3 miesiące. Avia przed tym spotkaniem specjalnie pojechała na zgrupowanie do Szklarskiej Poręby. Nie był to przypadek, bo w pobliskim Karpaczu swoją formę szlifowali łodzianie. Sztab szkoleniowy świdniczan podpatrywał swoich rywali. Zainteresowanie meczem było ogromne. Do Świdnika przyjechało również wielu fanów z Lublina.

– Były wtedy straszne roztopy – wspomina Mieczysław Kruk. – Dla widzów ustawiono specjalne podesty i kilka przyczep. Na nich stali kibice.

Mimo tygodniowych przygotowań murawa była w fatalnym stanie. Sympatycy Avii przez kilka dni wywozili ciężarówki zbitego lodu, zalegającego na boisku. I kto wie, jak potoczyłyby się losy tego spotkania, gdyby nie pogoda...

Na trzy godziny przed meczem pojawili się już pierwsi sympatycy Avii. W pierwszej połowie świdniczanie dominowali na boisku. Zachęceni ogromnym dopingiem stwarzali co chwila dogodne sytuacje podbramkowe. Niestety, bez efektów. Najdogodniejsze sytuacje na boisku mieli Pawlikowski

i Kostrzewa. Pierwszy z nich przegrał jednak pojedynek sam na sam z bramkarzem. Do przerwy gole nie padły. Kibice najbardziej żalowali sytuacji, gdy piłka po strzale Bondarenki – zamiast znaleźć się w bramce – ugrzęzła w ogromnej kałuży.

W drugiej połowie Avia nadal atakowała. ŁKS przeprowadzał sporadyczne kontry, ale obrona Avii, w której brylował Jerzy Sikora (zawodnik z jedną ręką, przyszedł do Avii z Budowlanych Lublin) oraz Radwan, grała bezbłędnie.

Jedyną bramkę w tym meczu zdobyli jednak Łodzianie. W 86 minucie – po jednej z nielicznych akcji ŁKS – udało się zdobyć gola Kowalcowi. Przedarł się przez obronę świdniczan i pokonał naszego bramkarza. W ten sposób Avia pożegnała się godnie



Jerzy Chrzanowski trenował Avię w sezonie 1962/1963; był z wykształcenia ichtiologiem



W takim składzie Avia walczyła w 1/16 Pucharu Polski z ŁKS: od lewej: Czesław Krygier (kapitan), Jerzy Gaczorkowski, Stanisław Radwan, Jerzy Sikora, Ewald Herman, Waldemar Kostrzewa, Eugeniusz Bondarenko, Eugeniusz Pawlikowski, Zbigniew Gołębiewski, Ryszard Rybicki i Tadeusz Josypow

z pucharami. Po meczu – mimo przegranej – piłkarzy ze Świdnika żegnały oklaski.

Avia w tym pamiętnym meczu grała w składzie: Gaczorkowski, Krygier, Radwan, Sikora, Gołębiowski, Herman, Kostrzewa, Rybicki, Bondarenko, Pawlikowski, Josipow.

Kibice porównują to spotkanie do meczu ekipy Kazimierza Górskiego z RFN w 1974 r.

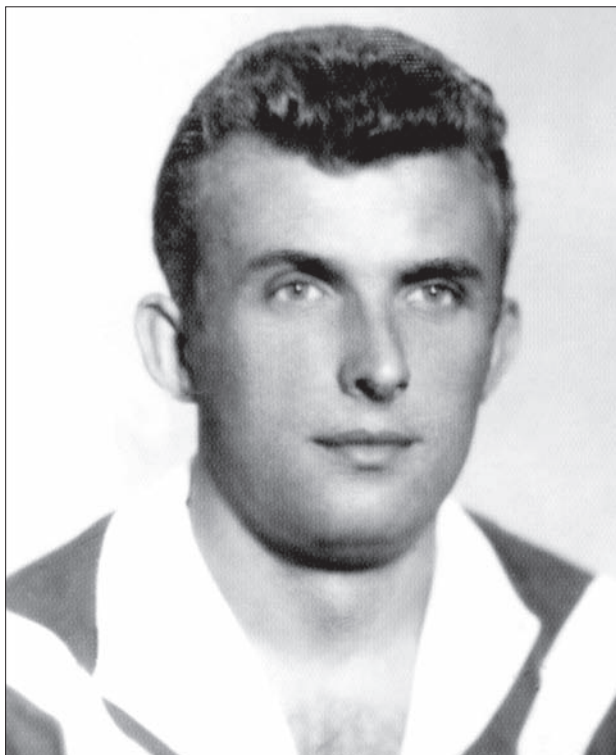
A tak o tym meczu pisał wówczas dziennikarz „Sztandaru Ludu”:

[...] Avia niezwykle starannie przygotowywała się do tego spotkania. Całą noc poprzedzającą mecz uprzątno śnieg z boiska. Uroczyście witano obie drużyny. Był i helikopter, z którego zrzucono piłkę. Byli też strażnicy wyposażeni w rakietę koloru czerwonego i zielonego, którymi miano sygnalizować osiedlu robotniczemu ilość strzelonych bramek. Ostatecznie wystrzelono tylko jedną racę czerwonej barwy. Gospodarze mieli do przerwy wiele okazji do uzyskania prowadzenia. Po zmianie stron role się odwróciły. ŁKS przestał bawić się w krótką grę, a świetnie usposobieni skrzydłowi powodowali wiele zamieszania pod bramką Gaczorkowskiego. Owocem tego była bramka zdobyta na 4 minuty przed końcem spotkania przez Kowalca. ŁKS rozczarował. W Avii na brawa zasłużyli Gaczorkowski, Krygier w obronie i Kostrzewa.

Kilkanaście lat później doszło do rewanżu – również w Pucharze Polski. Avia przegrała jednak z utytułowanym rywalem w rzutach karnych.

Marian Kostaniak

Wysoki, postawny stoper Avii to niezwykle barwna postać drużyny z lat 60. Do Avii przyszedł w 1965 r. z Lublinianki. Ale jest wychowankiem



Marian Kostaniak po przyjeździe do Świdnika

warszawskiej Legii. Stołeczny klub, w którym było wówczas wiele gwiazd polskiego futbolu, opuścił dobrowolnie.

– Młody byłem, nie wiedziałem, co robię – śmieje się dziś pan Marian. – Jak grałem w Legii, to przyjechali działacze z Lublinianki i zaproponowali mi przenosiny do Lublina. Bez namysłu się zgodziłem. Do dziś nie wiem dlaczego, ale nie żałuję.

Niewiele osób jednak wie, że pan Marian – grając jeszcze w Legii – spotkał się w jednym meczu

z samym Raymondem Kopa Kopaczewskim, jednym z najlepszych piłkarzy w historii francuskiego futbolu. Był to mecz z okazji 40-lecia „Przeglądu Sportowego”. I przyszły zawodnik Avii miał go kryć. Ten strzelił jednak w tym meczu dwie bramki. Na usprawiedliwienie obrońcy Legii przemawia fakt, że w tym czasie niewielu piłkarzy w Europie było w stanie zatrzymać Kopaczewskiego.

Gdyby nie Karol Szczotka, to Kostaniak grałby pewnie do końca kariery w Lublinie. Ale – na szczęście dla Avii – obaj panowie spotkali się zupełnie przypadkowo na ulicy. Wojskowy klub borykał się wtedy z problemami finansowymi. Karol Szczotka zaproponował 27-letniemu wówczas piłkarzowi przejście do Avii. Ten – po raz kolejny w życiu – bez namysłu zgodził się na propozycję.

– Był tylko jeden problem – wspomina pan Marian. – Lublinianka postawiła warunek, że mnie puści do Świdnika, ale muszę zrezygnować z mieszkania, które mi wtedy przydzielili na Starym Mieście. Po przeprowadzce przez rok mieszkałem w hotelu.

Marian Kostaniak dostał mieszkanie przy ul. Hotelowej, w którym mieszka do dzisiaj. Podczas występów w Avii jego najwierniejszym kibicem była żona – Alfreda.

– Chodziła na wszystkie mecze, do dziś zna zawodników Avii – mówi pan Marian. – Świdnik jest małym miastem. Tu wszyscy się znają. Nawet teraz, kiedy już tyle lat nie gram, to zdarza się, że ktoś mnie zaczepi na ulicy, pozdrowi i porozmawia o piłce. Z większością zawodników mam do dzisiaj

kontakt, nie tylko z piłkarzami. Przez te lata w Avii różnie bywało. Zawsze mieliśmy jednak solidny zespół. Niestety, jak ktoś się wyróżniał, to zaraz go kaperowali do bogatszych klubów, często do Motoru – sąsiada zza miedzy. Tak było m.in. z Góralem czy Sułkowskim.

– Za moich czasów futbol wyglądał zupełnie inaczej – dodaje były stoper Avii. – Nikt nie jeździł na mecze dzień wcześniej tak jak dziś. Na boisko wychodziliśmy prosto po przyjeździe. Teraz się dużo zmieniło. Kiedyś łakotka eliminowała zawodnika na dłuższy okres. Tak było u nas ze Żmijewskim czy Oryszko. Dziś po takiej kontuzji zawodnik wraca do gry po kilku tygodniach.

W sezonie 1970/1971 po raz ostatni zagrał w barwach Avii. Ale ze sportem nie skończył. Po zakończeniu kariery był drugim trenerem, a potem – przez kilkanaście lat – kierownikiem drużyny.

Syn pana Mariana – Janusz – przez wiele lat był podporą siatkarskiej drużyny Avii. Teraz rodzinną tradycję kontynuuje jego wnuk. 16-letni obecnie Czarek gra w siatkówkę. Występuje w juniorach Avii.

Marek Leszczyński

Jednym z najsukuteczniejszych zawodników w latach 80. ubiegłego wieku był Marek Leszczyński. Popularny „Ułan” trafił do Świdnika z Lublina. Miał wtedy 26 lat.

– Motor pozbył się mnie za milion złotych – wspomina piłkarz. – To była symboliczna kwota. Ale za to dostałem mieszkanie.



Marek Leszczyński przez wiele lat był podporą Avii

Leszczyński jest przekonany, że w połowie lat 80. Avia miała skład, z którym mogła powalczyć nawet o awans do I ligi.

– To była mieszanka rutyny z młodością – mówi. – Byłem m.in. ja, Andrzej Głowacki, Marcin Prokop. Było z kim walczyć.

Najmilej wspomina mecze przeciwko Motorowi, w którym zaczynał swoją piłkarską karierę. Czy

w lidze, czy też w towarzyskich meczach – ku rozpaczy lubelskich kibiców – zazwyczaj udawało mu się strzelić gola.

– Do dziś się czuję bardziej związany z Avią niż z Motorem, mimo że to mój macierzysty klub – podkreśla pan Marek. – W Świdniku atmosfera była

FABRYCZNY KLUB SPORTOWY „AVIA”
PRZY WYTWÓRNI SPRZĘTU KOMUNIKACYJNEGO W ŚWIDNIKU
21-040 ŚWIDNIK k/LUBLINA
KONTO BANKOWE: NARODOWY BANK POLSKI II O/LUBLIN 43003-3094-132

TELEFONY:
Sekretariat 129-91
— „ — 55-60
— „ — 57-02
Prezes FKS 128-83
Piłkarnia 120-94

SEKCJE:
Piłki nożnej
Piłki siatkowej
Motorowa
Tenisa ziemnego
Bokserska
Pływacka
Szachowa

Świdnik, dnia 11.02. 1985r.

WASZ ZNAK:
NASZ ZNAK:

Rachuba Wynagrodzeń
WSK - Świdnik

Fabryczny Klub Sportowy „Avia” niniejszym informuje, że Ob. Marek Leszczyński jako zawodnik naszego klubu w roku 1984 podpisał umowę na reprezentowanie barw FKS „Avia” w okresie trzech lat tj. od 1984 do 1987.

W myśl cytowanej umowy, zgodnie z przepisami Głównego Komitetu Kultury Fizycznej Ob. Leszczyński otrzymał kwotę w wysokości 200.000,- /dwieście tysięcy/.

W związku z powyższym prosimy o rozłożenie powyższej kwoty na okres trzech lat tak jak to ujęto w spisanej umowie.

Główny Księgowy
F.K.S. „AVIA”
Jerzy Baranowski

Fabryczny Klub Sportowy „Avia”
w Świdniku
Inż. Jerzy Miciul

WSK-S z. 1808 z dn. 20.12.78 r. T-0/856 — 5000 szt.

Tyle dostał „Ułan” za reprezentowanie barw Avii. Średnia pensja wynosiła wówczas w kraju ok. 2000 zł



Avia w sezonie 1967/1968 przed inauguracyjnym meczem z Mazurem Elk. Od lewej: Leon Kozłowski (trener), Jan Góral, Marian Guz, Marian Kostaniak, Jerzy Sułkowski, Marian Meksuła, Mirosław Żmijewski, Andrzej Oryszko, Edward Socha, Jur Zieliński i Zbigniew Trześniewski. Na zdjęciu brakuje Ewalda Hermana. To jego wypatrują niecierpliwie koledzy. A pan Ewald w tym czasie jeszcze przebierał się w szatni

super. Szkoda jednak, że nie udało się nam więcej osiągnąć. I podkreśla, że zawsze grali wyłącznie dla kibiców.

– Każdy z nas dawał z siebie wszystko – dodaje.
– Nie mogło być inaczej, skoro nawet na ulicy zaczepiali nas fani, gratulowali, klepali po plecach. Świdnik to małe miasto. Sportowcy nie byli anonimowi.

„Ułan” – po zakończeniu kariery – nie zerwał ze sportem. Trenował wiele zespołów, m.in.

Świdniczanekę, Hetmana Żółkiewkę czy Orion Niedrzwica. Dziś pracuje jako listonosz.

– Cały czas jestem w ruchu – śmieje się. – Tak jak na treningach. Mój rejon ma 13 kilometrów. Tyle przechodzę każdego dnia. I tak od 12 lat.

Jego kolegą z zespołu był m.in. Marek Maciejewski, który przeszedł do Avii ze Stali Poniatowa w sezonie 1984/1985. Zadebiutował w bezbramkowym meczu przeciwko stołecznej Polonii.

– To były lata, kiedy mieliśmy naprawdę silny skład – mówi Maciejewski. – Wygrywaliśmy z wieloma liczącymi się wówczas zespołami, jak Hutnik czy Radomiak. Niestety, tak się zawsze składało, że mimo solidnego zespołu, zawsze ktoś nam stawał na drodze do awansu. Nie było u nas gwiazd, ale mieliśmy wyrównany skład, graliśmy ofensywnie i strzelaliśmy dużo bramek. Taki „Ułan”, jak nie strzelił gola w meczu, to chodził kilka dni ze skwaszoną miną. A prawie przed każdym meczem – po odprawie – zaszywał się gdzieś w pokoju i wypijał mocną kawę. To mu dawało „kopa” – dodaje pan Marek. – Był głód zwycięstwa. To było widać na treningach.

Tomasz Giełzak

Tomasz Giełzak miał 12 lat, kiedy po raz pierwszy przyszedł na trening Avii. Było to w 1967 r.

– Na lotnisko, bo tam był nabór, przyszło ze 200 chłopaków – mówi. – Ćwiczyliśmy w dwójkach, a trener chodził tylko i podpatrywał. Wybrał najlepszych.

Wśród nich – oprócz pana Tomka – był m.in. Marek Rej, późniejszy dyrektor I LO im. W. Bronińskiego Świdniku.

– To był niesamowicie zdolny chłopak – podkreśla Giełzak. – Skoczny, szybki, pobił chyba wszystkie rekordy lekkoatletyczne w swojej szkole. W Avii grał tylko w juniorach.

I to nie był jedyny młody piłkarz, który zrobił karierę w oświacie. Na bramce – w tym zespole – stał Grzegorz Król, przyszły dyrektor Gimnazjum nr 1.



Czesław Krygier (ze stoperem w ręku) mierzy czas Tomaszowi Giełzakowi

Tomasz Giełzak występował w Avii do 1980 r.

– Kto był w tamtych latach najlepszym piłkarzem w drużynie?

– Niewątpliwie Roman Suszyński. Sam potrafił wygrywać mecze. Niestety, po przyjeździe Waligóry nie dawał rady na treningach. Odszedł. Grał potem w Hetmanie i Świdniczance.

Pan Tomek do dziś pamięta pucharowe spotkanie Avii z ŁKS w 1972 r. To miał być rewanż za



Piłkarze i kibice FKS Avii w latach 60.



W sezonie 1969/1970 trenerem Avii był Mieczysław Gracz, krakowianin, były reprezentant kraju (22 spotkania w kadrze narodowej i 159 meczów w ekstraklasie). Partner z boiska samego Gerarda Cieślaka. W lidze zasłynął tym, że mimo niskiego wzrostu (163 cm) zdobywał wiele bramek głową. Jedną z nich strzelił po tym, jak wskoczył rywalowi na plecy. Sędzia tego nie zauważył...

wspomnianą wcześniej porażkę 0:1 w 1962 r. w 1/16 finału.

– Był wtedy upał – mówi Tomasz Giełzak. – Po 90 minutach było 0:0. Dogrywka to samo – bez goli. Karne.

Trener Czesław Krygier wyznaczył do karnego m.in. młodego wtedy Giełzaka.

– Nie wiem, co mnie podkusiło, ale spytałem trenera, na którą bramkę będziemy strzelać karne – mówi piłkarz.

– Jak na którą? Na tamtą – trener wskazał na bramkę po przeciwnej stronie zegara.

– Oj, to daleko, chyba nie dam rady tam dojść – rzucił zawodnik. Miał to być żart.

Trener Krygier nie poznał się na dowcipie. Do wykonania „jedenastki” wyznaczył innego piłkarza. Avia przegrała ostatecznie w karnych 3:4.

Niedługo później Giełzak stał się jednak bohaterem. A było to tak: trenerem został Andrzej Gajewski. Pierwszym meczem nowego szkoleniowca Avii było wyjazdowe spotkanie z Wisłoką Dębica. Kilka dni przed spotkaniem Giełzak zachorował na anginę. W domu odwiedził go kierownik drużyny. Powiedział, że nowy trener chciał go zobaczyć. Chcąc, nie chcąc, obolały piłkarz, z gorączką zameldował się w klubie.

– Podobno nieźle dryblujesz, wejdiesz na 20 minut w drugiej połowie i już – usłyszał od trenera.

O chorobie nie chciał słyszeć.

– Moja żona jest kierownikiem przychodni, dam ci tabletki, one cię postawią na nogi.

Tak też było. Gielzak na mecz pojechał. W przeddzień spotkania – w hotelu – dostał specjalne leki. Zgodnie z zaleceniami trenera nałożył na siebie przed snem dwa dresy, wypił gorącą herbatę i poszedł spać. Rano po chorobie nie było śladu. Zgodnie z planem wszedł na murawę w drugiej połowie. Było 0:0.

– Młody, masz szansę, pokaż się – powiedział trener tuż przed zmianą. I pokazał się. Strzelił bramkę, po której Marian Kostaniak omal nie dostał zawału, a trener – zamiast pochwalić – ochrzanił go.

– Dostałem długie podanie od Andrzeja Oryszki – opowiada Gielzak. – Minąłem dwóch zawodników, bramkarza i znalazłem się sam przed pustą bramką.

Zamiast strzelać, poczekał, aż obrońcy dobiegną. Dopiero wtedy uderzył. Na szczęście celnie i skutecznie. Avia wygrała 1:0.

– To wszystko przez takie moje głupie postanowienie, że nigdy nie będę strzelać do pustej bramki – śmieje się pan Tomek.

Postępom syna z uwagą przypatrywał się ojciec – Czesław Gielzak, który był nie tylko kadrowym w WSK, ale także aktywnym działaczem w Avii. Pilnował syna nie tylko na boisku, ale także w szkole. A za złe stopnie surowo karał, łącznie z odsuwaniem go od meczów ligowych. Nie było wyjścia – pan Tomasz musiał być zawsze przygotowany do lekcji.

Tomasz Gielzak i Andrzej Oryszko byli najprawdopodobniej najszybszymi piłkarzami w historii Avii. Obydwaj schodzili poniżej 13 sekund na 100 metrów.

Andrzeja Oryszko przywiózł do Świdnika swoim samochodem – w asyście dwóch działaczy Avii – Mieczysław Kruk. Młody i utalentowany piłkarz mieszkał wtedy w Chelmie.

– Jak przyjechaliśmy po Andrzeja, to zastaliśmy go przy malowaniu pokoju – śmieje się pan Mieczysław. – Pomagała mu jego babcia. Jak się dowiedziała, że chcemy jej zabrać wnuka, to zaczęła na nas krzyzczeć: „Nie zabierajcie mi chłopaka, co ja sama zrobię, on już pewnie nie wróci”.

Andrzej Oryszko przez ponad 11 sezonów był ulubieńcem kibiców. Mówiono o nim, że jest „szybszy od wiatru”.

Triumf juniorów

Niewielu kibiców – zwłaszcza młodszych – pamięta, że w 1974 r. juniorzy Avii byli o krok od finału mistrzostw Polski. Zabrakło jednej bramki. Wiesław Brzozowski grał wówczas w tym zespole. Trenerem był Janusz Zaleski.

– Półfinał był w Bytomiu – wspomina Wiesław Brzozowski. – Graliśmy na bocznym stadionie Szombierek, tuż przy kopalni.

Po remisie z Szombierkami i zwycięstwie nad Lechią Gdańsk świdniczanom wystarczył jeden punkt w meczu z krakowską Wisłą. W szeregach wiślaków grali wtedy m.in. Holocher, Targosz, Nawalka. Niestety, po kilku minutach gry Avia przegrywała 0:2.

– Trener zdjął wtedy z boiska naszego bramkarza – Henia Kagankiewicza, i wstawił mnie – mówi Brzozowski. – Udało nam się strzelić jedną bramkę

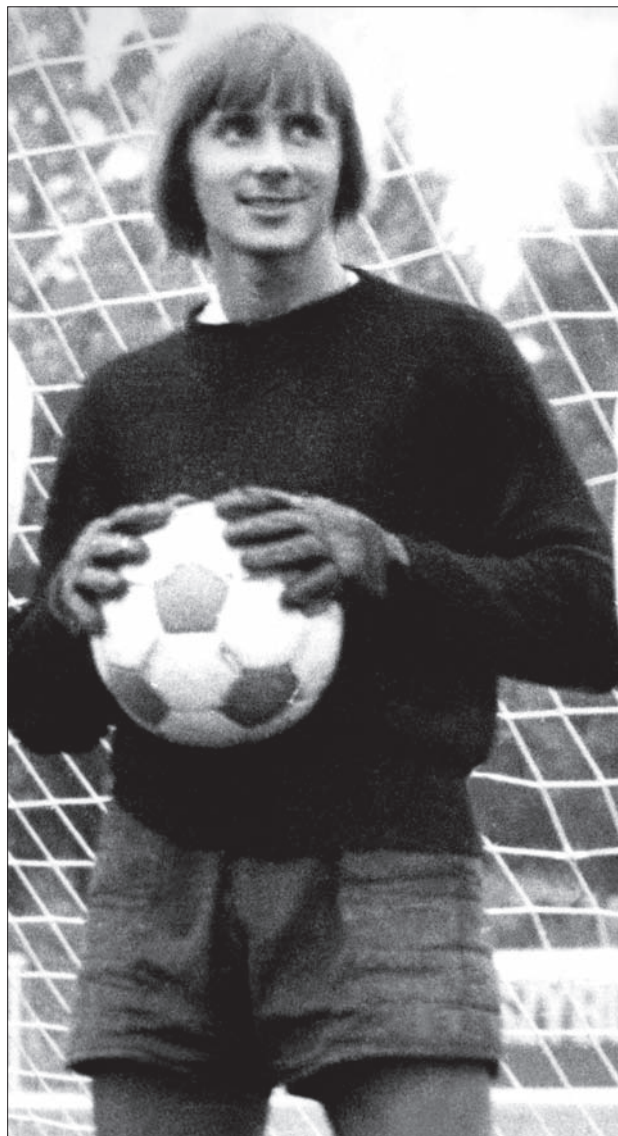
i ostatecznie przegraliśmy 1:2 i odpadliśmy z rozgrywek. Szkoda, bo awans był na wyciągnięcie ręki.

Avia na tych mistrzostwach grała w następującym składzie: Henryk Kagankiewicz, Wiesław Brzozowski (bramkarze), Krzysztof Dudek, Waldemar Brzozowski, Marek Słotwiński, Jan Winiarczyk, Leszek Sulowski, Sławomir Rybak (obrońcy), Tadeusz Łapa, Waldemar Zmokły, Sławomir Chodacki, Andrzej Góra, Andrzej Stopa (pomocnicy), Piotr Abramowicz, Zbigniew Markowski, Piotr Truk (atak).

W juniorach Avii grał wtedy jeszcze m.in. Albin Mikulski, późniejszy gracz pierwszoligowego Ruchu Chorzów. Do Świdnika ściągnął go z Sieniawy Tadeusz Rusinek, były naczelnik poczty w Świdniku.

– „Dziadek”, bo tak nazywaliśmy pana Rusinka, był w latach 40. trenerem piłki nożnej – wspomina Wiesław Brzozowski. – Pochodził z okolic Sieniawy. Swoimi „kanałami” dowiedział się, że właśnie w Sieniawie gra zdolny chłopak. Był to Albin Mikulski. Przywiózł go do Świdnika. Miał wtedy 17 lat. Zamieszkał na Kosynierów – u pana Rusinka.

Mikulski szybko trafił do pierwszego zespołu. Nic dziwnego, w juniorach był jednym z najlepszych zawodników i zdobywał wiele bramek. Po dwóch latach stwierdził, że jego miejsce jest jednak na Śląsku. Przekonywał, że w Sieniawie – na gospodarce – pozostawił schorowanych rodziców i musi wracać. I wyjechał. Grał jeszcze w Stali Stalowa Wola, a potem w pierwszoligowym Ruchu Chorzów. Z tym zespołem w sezonie 1979/1980 wywalczył



Wiesław Brzozowski razem z kolegami był o krok od finału mistrzostw kraju juniorów



Pamiętne dla Avii mistrzostwa kraju juniorów doczekały się niezwykle pamiątki. Waldemar Brzozowski, zawodnik z tej drużyny, własnoręcznie wykonał album ilustrujący kolejne spotkania swojego zespołu

mistrzostwo kraju. W ekstraklasie rozegrał 247 spotkań i strzelił 49 goli.

Koszary w klubie

13 grudnia 1981 r. wprowadzono w Polsce stan wojenny. Wojsko w pełnej gotowości, godzina milicyjna i internowania. Ale życie toczy się swoim, nieco ograniczonym przez dekrety rytmem. Młodzi kibice z pewnością nie pamiętają, że w klubowym budynku Avii mieścił się tymczasowy sztab wojskowy. Żołnierze spali w kilku szatniach, na teren stadionu dowożono im obiady. Treningów jednak nie zawieszono. Piłkarze mieli do dyspozycji dwie szatnie. Sekretariat był zajęty przez dowództwo.

Pani Zosia

Piłkarze z sympatią wspominają także panią Zosię Bugałową, która przez wiele lat dbała o stroje zawodników. To dzięki niej piłkarze mieli zawsze czyste i wykrochmalone koszulki. Znała każdego zawodnika. Chodziła na mecze, dopingowała. Jak trzeba było – to za złe zagranie potrafiła też zrugać.

– Była jak matka – mówi Marian Kostaniak. – A w magazynie ze strojami i piłkami wszystko było zapięte na ostatni guzik. Wspaniała kobieta.

Sportowcy Avii równie ciepło wspominają Barbarę Maciejczyk, która także zajmowała się sprzętem sportowym dla zawodników. Pani Basia często grała z nimi w tenisa stołowego. W 2010 r. jej wnuczka zginęła w katastrofie rządowego samolotu pod Smoleńskiem. Była szefową stewardes.



Zofia Bugała była niezwykle uczynna i lubiana przez wszystkich sportowców

Warto też wspomnieć, że w Avii grał także sam... prezydent. I nie chodzi tu o głowę państwa, a o prezydenta miasta. Konkretnie Rzeszowa.

– Grałem tu chyba z dziewięć sezonów – powiedział Tadeusz Ferenc, bo o nim mowa. – Z wieloma zawodnikami mam do dziś kontakt. I to nie tylko z piłkarzami.

Ferenc nie zrobił w Świdniku wielkiej kariery, ale Czesław Krygier zapamiętał go jako bardzo sympatycznego i sumiennego zawodnika.

– Nie łapał się do pierwszego składu, ale to był solidny zawodnik. I miał bardzo ładną żonę – dodaje ze śmiechem.

Czesław Krygier – 35 lat w Avii

Niewielu trenerów może pochwalić się tym, że wychowało w jednym klubie kilkuset piłkarzy. Ale Czesław Krygier – tak. Do lat 90. ubiegłego wieku

prawie każdy piłkarz Avii „przechodził” przez jego ręce. Dziesięciu jego wychowanków wywalczyło historyczny awans do II ligi. Do Świdnika trafił w 1956 r. Rok wcześniej próbował go tu ściągnąć z Białegostoku Bogdan Jaświłko, późniejszy kolega z zespołu.

– Owszem, przyjechałem do Świdnika, ale to, co zobaczyłem, nie zachęcało do pozostania w tym miejscu – wspomina Czesław Krygier. – Miasto wyglądało jak koszary. Wokół stały tylko bloki z czerwonej cegły. Nie wyglądało to na miasto. Wróciłem do Białegostoku.

Rok później pan Czesław już jednak polubił Świdnik. A właściwie mieszkanie, którego – po urodzeniu dziecka – bardzo z żoną potrzebowali.

– Mój pierwszy adres to „blok 64” – mówi szkoleniowiec Avii. – Waław Kosz, ówczesny działacz klubu, zaprowadził mnie pod ten budynek i powiedział, że mogę sobie tu wybrać mieszkanie. To był najnowszy wtedy blok przy dzisiejszej ul. Słowackiego.

Czesław Krygier chciał otrzymać większe mieszkanie, więc trzeba było użyć pewnego fortelu. Stoperowi Avii marzyło się bowiem mieszkanie z dwoma pokojami. Według przepisów takie pomieszczenie przysługiwało rodzinie co najmniej z dwójką dzieci. Oni mieli jedno. W podaniu napisali, że „drugie jest w drodze”. I przeszło. Dostali dwa pokoje.

Czesław Krygier planował pograć w Avii rok, najwyżej dwa i wrócić do siebie – do Białegostoku. Los chciał jednak inaczej i do dzisiaj mieszka w „bloku 64”.

Od razu trafił do pierwszego zespołu. Trenerem był Józef Madej. Nowy nabytek z Podlasia nie tylko

grał, ale zajął się także trenowaniem juniorów. Jeszcze w Białymstoku zdobył uprawnienia instruktorskie. Kiedy miał grać mecz w seniorach, to „jego” juniorami opiekował się wtedy Tadeusz Czerniak, który na co dzień był kierownikiem drużyny.

Krygier – zanim przyjechał do Świdnika – przez trzy lata był w wojsku w Gdańsku w Wojskach

Styczeń 1964/10

Nazwisko i imię	6	7	9	10	13	14	16	17	20	21	23	24	27	28	30	31
1 Gura Marian	N	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O
2 Gaczorkowski	C	H	C	H	C	H	C	H	O	O	O	N	O	Z	N	O
3 Kurporik R.	N	N	N	N	N	N	N	N	O	O	Z	N	N	N	N	O
4 Bielek B.	O	N	N	O	O	O	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O
5 Ziemiński	O	O	N	N	O	N	O	N	O	O	O	O	O	O	O	O
6 Drog 2.	Z	Z	Z	Z	Z	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O
7 Sikor J.	N	O	C	H	C	H	C	H	C	H	C	H	C	H	C	H
8 Herman E.	N	N	N	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O
9 Meksuta N.	O	O	N	N	O	N	O	O	O	O	O	N	O	N	N	N
10 Bakowski Ed.	O	O	O	O	O	O	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O
11 Krygier Cz.	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O
12 Zmijewski M.	O	O	N	N	Z	N	O	O	O	O	O	N	O	O	O	N
13 Turczyński B.	O	O	Z	O	O	Z	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O
14 Bachur A.	O	O	O	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	N
15 Odebiński B.	N	N	N	N	N	O	N	N	N	N	N	N	N	N	N	N
16 Mielicki H.	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	N	O
17 Sikor L.	N	O	N	N	O	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O	N
18 Szczęsniak R.	O	N	N	N	N	O	O	N	O	O	O	O	O	O	O	O
19 Kolanek R.	O	O	N	N	N	N	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O
20 Prucnal H.	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	N
21 Zduwa A.	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	N
22 Chojnacki T.	O	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O	N	O	Z	N	O
23 Rybicki R.	O	N	N	N	N	N	N	O	O	N	O	O	O	O	O	N
24 Jędrzejewski T.	O	O	O	O	O	O	Z	O	O	N	O	O	Z	Z	O	O
25 Jędrzejewski B.	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O
26 Bohdanowicz	N	N	N	N	N	O	O	O	O	O	O	Z	N	N	N	O
27 Pawlikowski E.	O	O	O	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O
28 Kosiński H.	O	N	N	O	N	O	O	O	O	O	O	O	O	O	O	N
29 Nowak S.	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	O	N
30 Mielicki M.	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	O	O

Rok 1964. Lista obecności na treningach. Pozycja 11 – Czesław Krygier. Jedyń z wzorową frekwencją...



Czesław Krygier (pierwszy z prawej) z reprezentacją Lublina we Lwowie w 1956 r.

Ochrony Pogranicza. I grał tam w piłkę. Pewnego razu oficer Marynarki Wojennej zaproponował mu występ w barwach tej formacji. Przeciwnik wymagający – reprezentacja Marynarki Wojennej ZSRR. Było to spotkanie w ramach zmagania marynarzy Polski i ZSRR. Oprócz piłkarzy rywalizowali też koszykarze i siatkarze. Grając przy 30-tysięcznej widowni, zremisowali 1:1.

Po tym meczu Czesław Krygier przez tydzień miał zakaz opuszczania swojej jednostki.

– Myślałem, że po tym spotkaniu mój dowódca będzie ze mnie dumny – śmieje się stoper Avii. – A on mnie w ten sposób ukarał, że reprezentowałem „konkurencyjną” wobec WOP-u Marynarkę Wojenną.

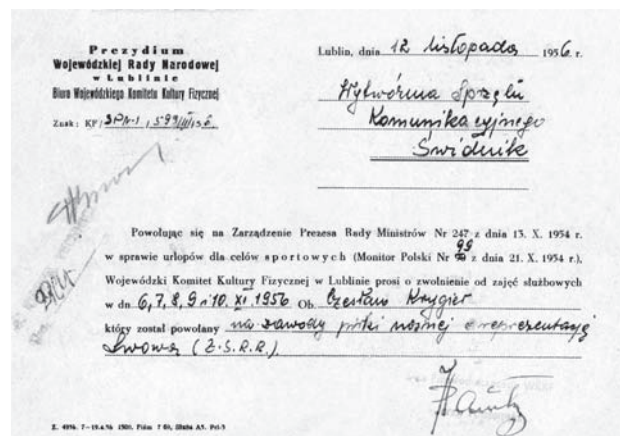
W 1956 r. Krygier, reprezentując już barwy Avii, został wybrany do kadry Lublina i wraz z innymi

piłkarzami, głównie Lublinianki, pojechał na turniej z okazji 700-lecia Lwowa.

Było to już po słynnych wydarzeniach w Poznaniu. Wtedy Polacy – po raz pierwszy na taką skalę – otwarcie wystąpili przeciwko władzy. Radzieccy piłkarze nie omieszkali im tego wypomnieć nawet na boisku.

– Pytali o Rokossowskiego – mówi Czesław Krygier. – Powiedzieliśmy im, żeby go sobie zabrali do siebie. Po meczu zrobili jednak wspaniały bankiet i o polityce już nie rozmawialiśmy.

Piłkarze koniecznie chcieli złożyć kwiaty na Cmentarzu Łyczakowskim. Nie było to takie łatwe. Na czas pobytu we Lwowie mieli do dyspozycji samochód i przydzielonego do „opieki” oficera. Kiedy poprosili go o podwiezienie na ten bliski sercom wszystkich Polaków cmentarz, ten udął, że nie wie,



Na wyjazd do Lwowa Czesław Krygier otrzymał „zwolnienie od zajęć służbowych”

gdzie on jest. I przez pół dnia woził ich po Lwowie. Wreszcie jakaś kobieta, która usłyszała, że nie mogą znaleźć tego miejsca, pomogła im.

– Ten oficer od razu potem uciekł – opowiada pan Czesław. – Cmentarz był w oplakany stanie. Nagrobki były poprzewracane i zniszczone przez gąsienice czołgów. Obraz nędzy i rozpacz. Ale kwiaty złożyliśmy. Nasz „opiekun” mówił nam później, że został wezwany przez jakiegoś generała i musiał się tłumaczyć z ich wizyty na cmentarzu.

Czesław Krygier grał w Avii do 1964 r. Wtedy doznał kontuzji łąkotki. I zakończył karierę piłkarza, ale do 1991 r. kontynuował pracę szkoleniową. W barwach Avii rozegrał ponad 300 spotkań.

– Przez te lata przewinęło się u mnie wielu zawodników – wspomina. – Lepszych i gorszych. Nie każdy z nich wykorzystał do końca swój potencjał. Taki Henio Szymkiewicz w latach 70. potrafił ośmieszyć samego Mirosława Bulzackiego z ŁKS – piłkarza o wyrobionym nazwisku i umiejętnościach. Podobnie Krzysiek Korczyk. To był dla mnie chłopak o ogromnych możliwościach. Pamiętam, jak strzelił Motorowi trzy bramki. Miał i technikę, i wytrzymałość. Mógł w piłce zająć wysoko, ale skończyło się jedynie na grze w drugiej lidze. Było też wielu zawodników, którzy słynęli z dobrej kondycji. Marek Kostrzewa czy Waldemar Krzyżanowski mogli grać przez cały mecz na maksymalnych obrotach. Podobnie jak Wiesław Szymański, który miał wrodzoną wysoką wydolność organizmu. On z kolei wygrywał wszystkie testy Coopera (bieg przez 12 minut).

Pan Czesław – jako trener – wymagał nie tylko zaangażowania na treningach, ale także posłuszeństwa. Nagradzał, ale i karał. Na przykład za przeklinanie. Na jednym z obozów piłkarze zbuntowali się.

– Dlaczego nie można sobie od czasu do czasu głośno zakląć? – pytali trenera.

Ten znalazł rozwiązanie. Wywioził ich wszystkich do lasu.

– Tu się możecie wyżyć, ile tylko chcecie – powiedział.

I się wyżyli. Takich przekleństw jak wtedy do dziś pewnie te świerki nie słyszały. Od tej pory piłkarze trzymali już język za zębami.

– Ale i tak zdradzę, kogo najczęściej karałem za przeklinanie – uśmiecha się pan Czesław. – To był Stasio Markowski.

Świdnicki szkoleniowiec przyznaje, że do dzisiaj pamięta zwycięski mecz w 1961 r. w Pucharze Polski z II-ligowym Piastem Gliwice.

– W Piaście występował wtedy nasz były zawodnik Hubert Sieroń. Przed meczem powiedział, że dobrze nam nie wróży. I pomylił się. Wygraliśmy 2:0, a trzeba pamiętać, że w Piaście grali naprawdę dobrzy zawodnicy. Jak wracaliśmy z tego meczu, a to chyba była już zima, to zatrzymaliśmy się w lesie i ścięliśmy kilka choinek na święta.

Zarówno piłkarze, jak i trenerzy zgodnie przyznają, że największe emocje towarzyszyły meczom Avii z sąsiadami zza miedzy: Lublinianką i Motorem. Zwłaszcza mecze z Motorem elektryzowały kibiców. Były to mecze „dyrektorskie”. Pojedynek dwóch

zespołów reprezentujących dwa liczące się w Polsce zakłady: FSC i WSK. I trzeba przyznać, że z wielu tych pojedynków świdniczanie wychodzili zwycięsko.

Podobny charakter miały mecze z innymi klubami, które były wspierane przez duże zakłady pracy, jak ze Stalą Kraśnik (Fabryka Łożysk Tocznych) czy Stalą Poniatowa (EDA).

Tak o jednym z takich spotkań z Motorem pisał „Sztandar Ludu” w latach 80. ubiegłego wieku (Avia wygrała w Lublinie 3:0):

[...] W tym momencie muszę przeprosić zwycięskich piłkarzy świdnickich, iż to nie im, tylko pokonanym poświęciłem obszerny wstęp do tego sprawozdania. Oni jednak mają już kryzys za sobą (oby bezpowrotnie!), poza tym – nie ich, mimo bardziej ustabilizowanego i silniejszego składu, typowano na awans. W sobotę jednak oni okazali się nauczycielami, grając niezwykle ambitnie i mądrze, wygrali w pełni zasłużenie, choć na pewno, sądząc z przebiegu meczu – zbyt wysoko. Ale szczęście sprzyja lepszym! [...].

Ale zazwyczaj to lubelskie zespoły, mimo że organizacyjnie i kadrowo Avia od nich nie odstawała, awansowały częściej do wyższych lig.

– Po latach usłyszałem od niektórych sędziów i działaczy, że Avia nie mogła wygrać jakiegoś ważnego meczu, bo Świdnik to taki grajdołek – zdradza pan Czesław. – Może i tak było, że komuś na górze nie pasowało, żeby taka Avia wyżej awansowała. Zawsze gdzieś brakowało tej przysłowiowej kropki nad „i”.

Czesław Krygier podkreśla, że przez te 35 lat pracy w Avii zawsze będzie wspominać wspaniałą atmosferę w klubie i zespole.

– Do dziś pamiętam nasze powroty, kiedy cały autokar śpiewał, zwłaszcza po zwycięskim meczu – mówi z rozrzewnieniem. – Wystarczyło, że „Lolo” Prus zaintonował, Marek Kostrzewa zanucił i po chwili wszyscy się przyłączali. To były czasy...

Pucharowy sukces

W sezonie 1985/1986 Avia prowadzona przez Janusza Galka odniosła swój największy w historii sukces w Pucharze Polski. Świdniczanie dotarli do

Lp.	Nazwa jednostki	30m		60m		Tor. p.		Podciąg.		300m	
		czas	traf.	czas	traf.	czas	traf.	czas	traf.	czas	traf.
1	Guz Marian										
2	Marciniak Marek	5,0	3	8,6	6	12,1	8	5	4	51,0	12
3	Żmijewski Mirosław	4,6	1	8,2	3	12,4	10	5	4	51,0	12
4	Kisiel Józef	5,0	3	8,8	8	12,0	7	5	4	44,8	5
5	Kostaniak Marian	4,8	2	8,4	4	12,0	7	5	4	49,0	11
6	Grudziński Wiesław			8,1							
7	Meksuta Mariam	4,8	2	8,4	4	12,0	7	3	5	46,2	8
8	Bordur Aleksander	4,8	2	8,2	3	11,8	6	5	4	45,0	6
9	Rejdych Jerzy	4,8	2	8,8	8	11,8	6	5	4	46,4	9
0	Puskar Mirosław	5,0	3	8,4	4	12,3	9	8	3	45,0	6
1	Kleszczyński Tadeusz	4,6	1	8,0	4	11,5	5	5	4	46,0	7
2	Socha Edward	4,8	2	8,5	5	10,8	1	5	4	44,5	4
3	Andrzejewski Ryszard	4,6	1	8,1	2	11,0	2	5	4	41,2	1
4	Todowski Adam	5,0	3	8,7	7	12,8	11	5	4	48,0	10
5	Szymkiewicz Henryk	5,0	3	8,5	5	11,0	2	14	1	45,0	6
6	Kiet Tadeusz	4,8	2	8,2	3	11,4	4	5	4	42,8	2
7	Bukowski Bogdan	5,0	3	8,4	4	11,2	3	8	3	43,0	3
8	Kawalek Józef	5,0	3	9,0	9	13,0	12	10	2	52,0	13

Trenerowi nic nie umknie. Na zapiskach widać, że Henryk Szymkiewicz podciągnął się 14 razy, a w sprincie na 60 m najszybszy był Tadeusz Kleszczyński



Drużyna Avii na wiosnę 1984 r. Górny rząd od lewej: Andrzej Wilk, Wiesław Kołodziej, Leszek Wróbel, Marian Kopczan, Ryszard Czyż, Zbigniew Makuch, Zbigniew Kondziak, Bogdan Bukowski, Lucjan Oskroba, Radosław Rubaj (kierownik klubu). Środkowy rząd od lewej: Tadeusz Łapa (asystent trenera), Marian Kostaniak (kierownik drużyny), Andrzej Tłuczkiewicz (lekarz), Marek Leszczyński, Krzysztof Korczyk, Dariusz Iluczek, Robert Tomczyk, Mirosław Morawski, Stanisław Markowski, Krzysztof Tosiek, Witold Sokołowski (trener), Bolesław Białek (kierownik sekcji). Dolny rząd: Krzysztof Szeffler, Tadeusz Gula, Władysław Kuraś, Jerzy Miciul (prezes klubu), Grzegorz Płoszaj, Dariusz Grodzicki, Jarosław Niewęglowski



Piłkarska jedenastka 60-lecia Avii według Mieczysława Kruka

ćwierćfinału. Najpierw pokonali na własnym boisku Ruch Chorzów. Po 90 minutach niezwykle zaciętego meczu był remis 1:1. W karnych Avia wygrała 6:5, a decydującą o awansie jedenastkę wykorzystał

Marek Maciejewski. Avia w tym meczu grała w składzie: Paciorkowski, Morawski, Maciejewski, Kopczan, Kołodziej, Wilk, Korczyk, Grula, Leszczyński, Czyż, Murawski, Kuraś. W ćwierćfinale Avia nie dała jednak rady Pogoni Szczecin. W Świdniku – po dwóch bramkach Marka Leszczyńskiego w tym jednej bezpośrednio z rzutu rożnego – ulegli Pogoni 2:3, a w rewanżu przegrali 1:2. Honorową bramkę zdobył Ryszard Czyż.

Po raz ostatni Avia grała w II lidze w sezonie 1998/1999. Pożegnalny w tej klasie rozgrywek (po 21 sezonach gry w II lidze) mecz świdniczanie pod wodzą Krzysztofa Szefflera rozegrali z Koroną Kielce i przegrali 2:3. Bramki zdobyli: Bartłomiej Teodorowicz (49') i Adam Śniegocki (56'). Drużyna zagrała w składzie: Krawczyk, Komnacki, Kłajda, Machnikowski, Wojciechowski, Gamla, Piasecki (46' Pędzisz), Klepacz (61' Wdowiak), Basiński, Teodorowicz, Śniegocki.

Avia dziś

Pierwszy zespół seniorów walczy w III lidze (trener – Tadeusz Łapa). Oprócz tego jest 9 grup młodzieżowych: rocznik 2003–2005 (trener – Marek Jurczykowski), dwa zespoły Orlików (trenerzy: Ireneusz Keller i Arkadiusz Pawłowski), młodzicy starsi (Paweł Pranagal), młodzicy młodsi (Jacek Czerniakowski), trampkarze starsi (Grzegorz Martyniuk), trampkarze młodsi (Tomasz Król), juniorzy starsi (Wiesław Kołodziej), juniorzy młodsi (Tomasz Gielzak).



Stadion FKS Avii Świdnik na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku

Prezesem klubu jest Marek Maciejewski, wiceprezesem – Mariusz Paluszek, kierownikiem klubu – Henryk Panasiuk, księgowością zajmuje

się Bożena Guminiak, administratorem jest Aneta Koczkodaj, a konserwatorem obiektu – Władysław Rasiński.

Inauguracja II ligi

11 sierpnia 1973 r. piłkarze Avii zadebiutowali w II lidze. Pierwszym przeciwnikiem Avii był Stocznowiec Gdańsk. Świdniczanie przegrali 0:1. W tym historycznym meczu grali: Motylewski (Mikulicz), Oskroba, Wężyk (Golik), Grudziński, Bukowski, Nowosad, Żmijewski, A. Adamus, Sputo, Oryszko (Szymkiewicz), Konf.

W następnym meczu – z Motorem Lublin – padła też pierwsza, historyczna bramka dla Avii w rozgrywkach II ligi. Jej autorem był Adam Adamus, który celnie trafił do bramki w 71 minucie. Mecz z Motorem zakończył się wynikiem 1:1.

Siedem tysięcy na trybunach

W sezonie 1973/1974 – podczas drugoligowych derbów Lubelszczyzny doszło do meczu Avii z Motorem. Na świdnickim stadionie zasiadła rekordowa liczba kibiców – 7 tysięcy, z czego ok. 3 tysiące przyjechało z Lublina. Avia – po dwóch golach Jerzego Krawczyka – przegrała 0:2.

Rekordowa wygrana

Najwyższe zwycięstwo Avii w historii rozgrywek to był pogrom Korony Łaszczów w sezonie 1999/2000, kiedy Avia występowała w IV lidze. Wynik tego spotkania był niezwykle – 16:0. Najwięcej goli, to jest także rekord, zdobył Bartłomiej Teodorowicz (popularny „Teo”). Bramkarz po jego strzałach aż 9 razy sięgał po piłkę. Bartek mógł zdobyć

wówczas o jedną bramkę więcej, ale nie wykorzystał karnego.

Niechlubny rekord

W rundzie rewanżowej drugoligowych zmagania sezonu 1998/1999 Avia na 14 spotkań wyjazdowych – przegrała... 14.

Osiągnięcia w lidze

Lata 50. – od klasy B do klasy okręgowej i ligi międzywojewódzkiej kielecko-lubelsko-rzeszowskiej

Lata 60. – liga okręgowa, III liga

Lata 1972–2011

1972/1973 – II liga, 3 miejsce, pierwszy awans po reorganizacji do II ligi (trener – Jan Golan)

1973–1980 – II liga: dwa razy 9 miejsce, 10, dwa razy 7 miejsce, 12.

1979/1980 – 15 miejsce i spadek

1980/1981 – III liga i awans do II ligi (trener – Janusz Iżyński)

1981/1982 – II liga i 5 miejsce

1982/1983 – II liga i 14 miejsce – spadek

1983/1984 – II liga, 1 miejsce i awans do II ligi (trener – Witold Sokołowski)

1984/1985 – II liga, 14 miejsce i spadek

1985/1986 – III liga, 1 miejsce i awans do II ligi (trener – Janusz Gałek)

1986–1988 – II liga, 7 i 11 miejsce

1988/1989 – II liga, 13 miejsce i spadek

1989/1990 – III liga i 10 miejsce

1990/1991 – III liga i 1 miejsce; po raz piąty Avia awansuje do II ligi (trener – Bronisław Waligóra)
 1991–1999 – II liga, miejsca: dwa razy 8, trzy razy 12, dwa razy 11, 14 i spadek
 1999/2000 – III liga, 16 miejsce
 2000/2001 – IV liga, 10 miejsce
 2001/2002 – IV liga, 5 miejsce
 2002/2003 – IV liga (Lublin) – 10 miejsce
 2003/2004 – IV liga, 4 miejsce
 2004/2005 – IV liga, 1 miejsce i awans
 2005/2006 – III liga, 3 miejsce
 2006/2007 – III liga, 13 miejsce
 2007/2008 – III liga, 17 miejsce
 2008/2009 – III liga, 5 miejsce
 2009/2010 – III liga, 3 miejsce
 2010/2011 – III liga 7 miejsce
 2011/2012 – III liga 2 miejsce

Działacze i pracownicy sekcji piłkarskiej Avii

Przez te wszystkie lata to oni przyczynili się do rozwoju sekcji piłkarskiej:

Paweł Drożdżyński, Jerzy Łazarek, Józef Jabłoński, Mieczysław Ziemiński, Józef Madej, Roman Wallner, Jerzy Miciul, Adolf Bondos, Adam Waryszak, Marian Chałas, Roman Wnuczek, Robert Syryczyk (prezesi).

Zbigniew Jaroszewicz, Tadeusz Cieniuch, Wacław Kosz, Czesław Giełzak, Ryszard Taracha, Aleksander Drzewiecki, Aleksander Ratajczak, Marian Lipko, Tadeusz Zakrzewski, Mieczysław Mielniczuk, Jan Aleksandrowicz, Jan Toruń, Bolesław



Działacze Avii na obiektach świdnickiego klubu – od lewej: Marian Kostaniak i Czesław Krygier, z tyłu Radosław Rubaj, Bolesław Białek i Jerzy Miciul

Białek, Stanisław Jankowski, Mieczysław Sadowski, Andrzej Panowek, Stefan Socha, Edmund Trąbka, Franciszek Tusiński, Ryszard Jarosiewicz, Edward Wierzański, Edwin Wieczerek, Tadeusz Lipiński, Roman Cieślak, Tadeusz Czerniak, Radosław Rubaj, Witold Czerniak, Ludwik Zaleski, Regina Brzozowska, Iwona Lemieszek, Teresa Kalbarczyk, Dariusz Lotek, Kazimierz Wojciechowski, Józef Adamczyk, Józef Dobroń, Franciszek Dąbrowski, Karol Szczotka, Roman Lis, Kazimierz Patrzala, Ryszard Wilkołek, Jacek Okoń, Włodzimierz Tiuchtiej, Zenon Dec, Robert Samborski, Mirosław Tarkowski, Edward Dziedziura, Jarosław Denis i Jacek Kosierb.



Legendarny szkoleniowiec Feliks Stamm na treningu Avii

Boks

Obok piłki nożnej drugą dyscypliną, która cieszyła się największym zainteresowaniem kibiców w Świdniku, był boks. Pierwsze pojedynki bokserskie odbyły się już w 1953 r. Organizatorami tej dyscypliny w Avii – wówczas Stali – byli Paweł Drożdżyński, Jerzy Krasnożon, Tadeusz Kudelski i Franciszek Dąbrowski. Warto wspomnieć, że konstruktorem pierwszego ringu był inż. Trębacz (imienia nie udało nam się ustalić). Do boksu w Avii garnęli się na początku zawodnicy z Lublina. Najliczniej była reprezentowana ul. Lubartowska. Ale – jak mówią osoby związane od początku ze świdnickim boksem – w każdej lubelskiej dzielnicy znalazło się kilku chętnych do uprawiania tej dyscypliny. Dopiero później do zespołu przyszli bokserzy z innych regionów.

Pierwszymi trenerami pięściarskimi w Świdniku byli: Stanisław Zalewski, legenda lubelskiego boks, później wieloletni masażysta narodowej reprezentacji, Jan Kowalczyk i Jerzy Krasnożon.

Wśród pierwszych reprezentantów klubu byli: bracia Maliszewscy, Kalinowski, Kaszubski, Leszczyński, Winiarz, Oleksiuk, Kudelski, Polberg,

Dąbski i Czechowicz (późniejszy aktor). Była to środowiskowa grupa amatorów pięściarskich. Zespół walczył na początku w starym domu kultury, później w centralnej stołówce WSK. Z czasem do drużyny dołączyli bokserzy z OWKS Lublinianka, Ognia i Budowlanych. Byli to bracia T. i H. Góralscy, Pomiankiewicz, Bogudziński, Berejowski, Wilk, Sygacz, J. Kołodyński, Makar, L. Piątek, Komendarski i Steciuk. Z naszego regionu doszli także Dąbrowski, Bachenek i Biesiada. Drużynę wzmocnili również zawodnicy z innych zakątków kraju, tacy jak Przyłucki, Kita i Czajęcki.

Z tych zawodników – po pewnym czasie – wyłonił się szkielet ligowej drużyny, która zaczęła po latach odnosić sukcesy na ligowych ringach.

Nie zadzieraj z Kitą

– To byli bokserzy z różnych środowisk – wspomina Mieczysław Kruk. – Taki Zbyszek Kita na przykład przyjechał do nas z Warszawy. Miał niesamowicie silny cios z lewej ręki. Wrócił potem do siebie. Spotkałem go po latach na znanym Bazarze

Różyckiego. Sprzedawał futra.

Kitę zapamiętał także – i to na długo – kibic, który po jakimś meczu pogardliwie wyraził się w Świdniczance o bokserach Avii. Kita to usłyszał. A że mówiono o nim „cwaniak z Warszawy”, to od razu chciał wytłumaczyć niewdzięcznemu kibicowi, że się myli. Zakończyło się – niegroźnym na szczęście – nokautem. Oczywiście nie Kity...

W 1954 r. drużyna bokserów KS Stal Świdnik po raz pierwszy – po zdobyciu mistrzostwa okręgu – walczyła o awans do II ligi. „Sztandar Ludu” z 30.10.1954 r. odnotował:

WYGRANA BOKSERÓW STALI ŚWIDNIK

Rozegrany w sobotę w Świdniku mecz o mistrzostwo klasy A pomiędzy Stalą i Ogniem zakończył się wygraną drużyny ze Świdnika 18:2. Najładniejszą walkę stoczyli Bieniek z Chmielewskim. A oto wyniki:

Pomiankiewicz wypunktował Świca
Boguciński zwyciężył Chojnowskiego
Kołodzyński po wyrównanej walce wygrał 2:1 z Jabłońskim
Góralski uległ Sygaczowi
Bieniek pokonał Chmielewskiego 2 do remisu
Krasnożon wygrał z Kielszną przez ko. w I starciu



Zbigniew Kita, niesforny warszawiak

Dąbrowski wypunktował Kanara
Pozostali zawodnicy Stali: Bachanek, Oleksiuk i Biesiada zdobyli punkty bez walki
Walki w ringu prowadził ob. Ceglarz b. uważnie
Punktowali ob[ywatele] Miecznikowski, Sobocki i Szczerbik.

Przez kolejne 3 lata ta szuka nie udawała się świdniczanom. Na drodze naszym bokserom stawiały takie zespoły, jak Budowlani Warszawa, Polonia Świdnica czy Stal Stalowa Wola.

Zespół wzmocniła grupa nowych zawodników, takich jak: Bieniek, Głowala, Guliński, Kmeć, Łapiński, Sokołowski, Młynek, Krajewski, Małek, Koško, Zemlik, Kapa, Jamowicz, Drewicz, Raczyński, Trojanek i Chmielewski.

Jak Czajęcki przytył

Jednym z najważniejszych dla historii boksu Avii był mecz o wejście do II ligi w 1957 r. O wszystkim miał zadecydować pojedynek ze Stalą Rzeszów. Odbył się on w Radomiu. Avia wygrała 14:6, a bohaterem na ringu był Stanisław Czajęcki. Rzeszowianie byli faworytami w wagach cięższych. Trener Kowalski postanowił wystawić Czajęckiego o dwie kategorie wyżej. Zastanawiał się, co można zrobić, żeby w krótkim czasie bokser zyskał na wadze.

– Nie wiem, ile wypił kawy, ale jak stanął na wadze, to brzuch miał pokaźny – śmieje się Mieczysław Kruk, naoczny świadek tego wydarzenia. – Udało się, zmieścił się w wadze i wygrał, chociaż po tej kawie ledwo dyszał.



Avia w latach 50., od prawej: Krasnożon, Kukier, Góralski, Sygacz, NN, Trojanek, Chmielewski, W. Bachanek i Steciuk

A wygrał z nie byle jakim przeciwnikiem. Stanisław Wisz, z którym się zmierzył, należał do czołowych polskich bokserów. W latach 50. był nawet wicemistrzem Polski.

Po skończeniu kariery Czajęcki wyjechał do USA, gdzie m.in. prowadził delikatesy w Chicago.

W tym pamiętnym meczu awans wywalczyli: Góralski, Przyłucki, Wilk, Sygacz, Kita, Trojanek, Dąbrowski, Krasnożon, Bachanek, Wodkiewicz

i Biesiada. Kierownikiem sekcji był wtedy Edward Zdunek, a trenerem został wkrótce Jan Kaźmierczak (teść Witolda Czerniaka, kierownika sekcji siatkówki).

Po rocznym pobycie w II lidze zespół został zdegradowany do A klasy. Drużynę opuścili czołowi pięściarze: Przyłucki, Czajęcki i Krasnożon. W 1958 r. zespół ponownie awansował do II ligi. Doszli wtedy tacy zawodnicy, jak: Kukier, Łapiński, Biedroń, Małek, Krajewski i Drewicz.



Edward Zdunek (z prawej), kierownik sekcji bokserskiej w latach 1954–1960, walcie przyczynił się rozwoju tej dyscypliny w Avii. Obok Bolesław Szałach, działacz ogniska TKKF Świt

Avia na Koziołku

Zanim wybudowano halę w Świdniku, bokserzy przez kilka lat walczyli w hali Koziołek przy ul. Lubartowskiej w Lublinie. Nie było w niej krzeseł. Kibice siedzieli na prowizorycznych ławkach. Do dziś zawodnicy wspominają, że przychodziło im walczyć w oparach dymu papierosowego. A to

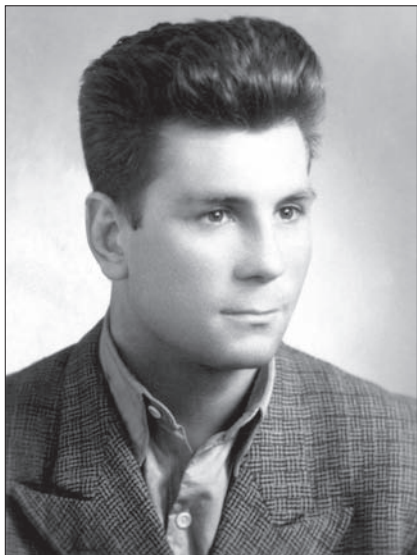
często przeszkadzało. Mało też kto pamięta, że w hali Koziołek wystąpił swego czasu piosenkarz Marino Marini ze swoim słynnym przebojem *Nie płacz, kiedy odjadę*. Tu odbyła się także pierwsza projekcja filmów panoramicznych. Były to westerny.

– W tej hali odbyło się wiele wspaniałych walk – wspomina Mieczysław Kruk. – Pamiętam m.in. pojedynki naszego Kowalskiego z Leszkiem Drogoszem, który wtedy był na fali. Kowalski miał go już w trzeciej rundzie – jak to się mówi – „na widelcu”, ale ostatecznie przegrał na punkty.

Do historii przeszła też walka Czajęckiego z Bogdanem Guzińskim – również w Koziołku. Pięściarz z Łodzi przyjechał na mecz z Avią opromieniony sławą. Otóż udało mu wcześniej rzucić na deski Leszka Drogosza. To był jedyny przypadek w karierze Drogosza, kiedy był liczony. Ostatecznie jednak Guziński przegrał, ale jego wyczyn poszedł w świat.

Czajęcki w tej walce pokazał niesamowitą klasę. Ośmieszył swojego rywala. Po wygranym pojedynku wszyscy obecni na hali wstali z miejsc i zgotowali świdniczaninowi owację na stojąco. A najbardziej klaskały kobiety. Dostyc licznie przychodziły na mecze, kiedy walczył Czajęcki. A to z tego powodu, że bokser był bardzo przystojnym mężczyzną.

– Był nie tylko przystojnym, ale przede wszystkim znakomitym pięściarzem – przekonuje Mieczysław Kruk. – Wystarczy popatrzeć na zdjęcie. Na jego twarzy nie widać żadnych śladów po urazach. A to oznacza, że przeciwnikom rzadko udawało się go trafić.



Stanisław Czajęcki
– to na jego walki
chętnie przycho-
dziły kobiety

Jako pięściarz zasłynął także z niecodziennej sytuacji, kiedy walczył w akademickiej reprezentacji kraju na stadionie Budowlanych w Warszawie. Jego przeciwnikiem był bokser z ZSRR. Czajęcki miał w tej walce ogromną przewagę. W końcu wyprowadził tak mocny cios, że jego przeciwnik osunął się na liny i wypadł poza ring. Nie dał jednak za wygraną. Chciał dalej walczyć, ale zanim podniósł się z ziemi i dotarł z powrotem na ring – sędzia ogłosił zwycięstwo Czajęckiego.

W obronie męża

Również w hali Koziołek doszło do incydentu, o którym sympatycy boksu dyskutowali jeszcze przez wiele miesięcy. Na ringu spotkali się Jerzy Krasnożon i starszy z braci Łukomskich ze stołecznej

Polonii. Przez dwie pierwsze rundy prowadził Krasnożon. W trzeciej jego przewaga nie podlegała dyskusji. Wszyscy spodziewali się jednego werdyktu: zwycięstwa zawodnika Avii. Sędziowie byli jednak innego zdania. Ogłosili zwycięstwo Łukomskiego. Kibice głośnymi gwizdami dawali wyraz swojej dezaprobaty. Ten mecz oglądała także Barbara Krasnożon, żona świdnickiego pięściarza. Niewiele myśląc, przedarła się przez tłum kibiców i doszła do stolika sędziowskiego. Zdzieliła torebką w głowę dwóch z nich. Trzeci arbiter uciekł.

W latach 1958–1960 sekcją bokserską kierował Bolesław Klimañski. W 1960 r. Avia ponownie spadła z II ligi. Nowym trenerem został Henryk Kukier, którego w 1965 r. zmienił Zbigniew Cebulak.

Na ponowny awans do ligi kibice czekali do 1964 r. Funkcje kierowników pełnili w tym czasie: Edward Zdunek, Karol Szczotka, Franciszek Dąbrowski, Leszek Maciesowicz, Waclaw Czuwaj i Stanisław Czyż.

Bombardier Kowalski

W 1965 r. do drużyny bokserskiej dołączył Waldemar Kowalski. Przybył z Warmii Olsztyn. Na początku nie było mu łatwo dostać się do pierwszego składu. Szybko zaaklimatyzował się jednak w Świdniku i stał się mocnym punktem zespołu. „Bombardier ze Świdnika” – tak często można było o nim przeczytać w prasie. Pięć lat później, na zakończenie sezonu, Kowalski został wybrany najlepszym bokse-rem Avii.

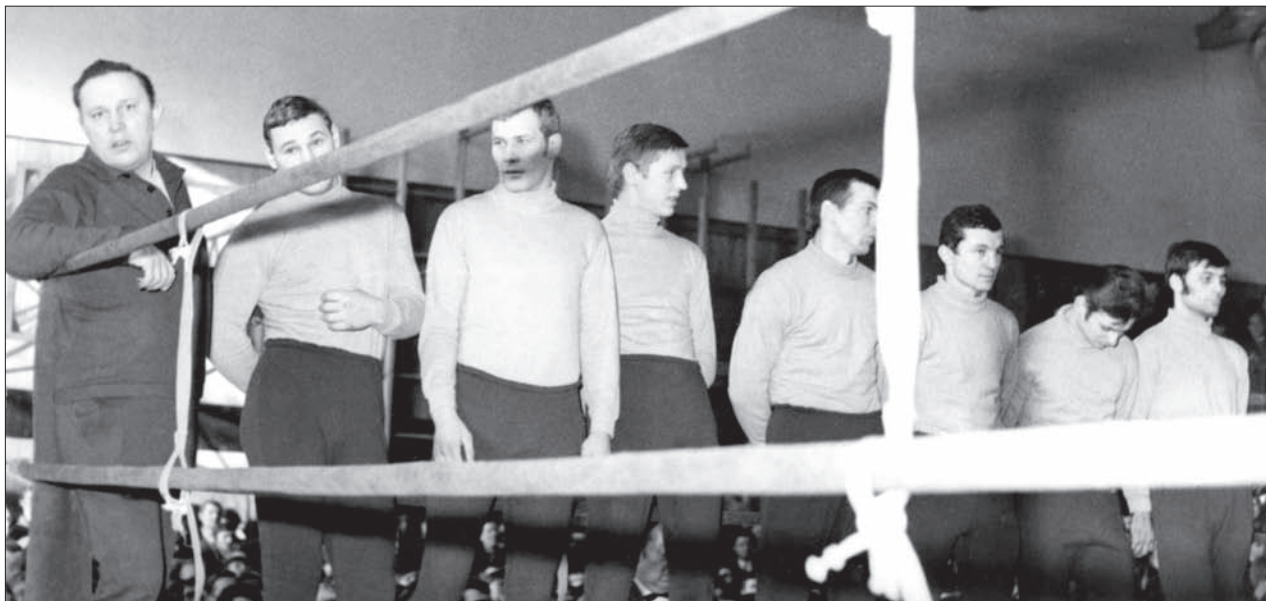
W grudniu 1970 r. po zwycięskich barażach z Górnikiem Wesola pięściarze WSK wywalczyli historyczny awans do I ligi. Pierwszy mecz odbył się 13 grudnia na Śląsku. Taktyka była prosta – przegrać jak najniżej, by potem odrobić straty w Świdniku.

Avia przegrała 8:12. Jedną z najbardziej pamiętnych walk stoczył wtedy właśnie Waldemar Kowalski z utytułowanym Marianem Kasprzykiem. W drugiej rundzie Kasprzyk odsłonił się i Kowalski – ku rozpaczy miejscowych, a ucieście licznych kibiców ze Świdnika – zadał precyzyjny cios, po którym Kasprzyk był liczony. Kowalski wygrał ten pojedynek. Podobnie jak w rewanżowym meczu w Świdniku.

Znów był lepszy, a Avia wygrała mecz 15:5 i zdobyła upragniony awans.

Waldemar Kowalski zasłynął także tym, że stoczył jeden z najkrócej trwających pojedynków ligowych. Stefan Skalka, wielokrotny medalista Polski, wytrzymał na ringu zaledwie kilkanaście sekund, zanim Kowalski rzucił go na deski. Pan Waldemar pewnie do dzisiaj nie wie, że Mieczysław Kruk podpatrzył kiedyś na treningu, jak motywuje się do walki.

– Kowalski mnie wtedy nie widział – śmieje się pan Mieczysław. – Ale posłyszałem, jak walcząc z cieniem mruczał pod nosem: „żebym go tylko pierwszy trafił, żeby go tylko pierwszy trafił...”. A to był klucz



Rok 1971. Bokserzy trenera Cebulaka (pierwszy z lewej, obok niego – Wiater, Wólkiewicz, Sitkowski, Kowalski, Karbowniczek, Petek i Stańko

do zwycięstwa. Jak trafił, to rzeczywiście rywal miał już niewielkie szanse, żeby wytrwać do końca walki.

Kowalski po zakończeniu kariery był kierownikiem obiektów Avii. Zorganizował wiele spotkań z dawnymi kolegami z ringu. Nie zapomniął i nie zapomina do dzisiaj o tych, którym los spłatał figła i znaleźli się w trudnej sytuacji życiowej.

– Był zawsze koleżeński – nie tylko w sporcie – mówią o nim jego koledzy.

Te daty przeszły do historii boksu w Świdniku

Po meczach 13.12.1970 i 10.01.1971 z Górnikiem Wesoła Avia wywalczyła upragniony awans do I ligi.

Wynik meczu 3.12.1970 r. – Górnik Wesoła–Avia Świdnik był 12:8 (na pierwszym miejscu pięściarzy Avii). Jan Andrachiewicz wygrał z Tasarkiem przez przewagę w II rundzie; Guliński uległ 1:2 Markowskiemu; Czyszczoń pokonał Rylę; Stańko przegrał z Walasem; Petek jednogłośnie przegrał z Bendkiem; Kowalski pokonał Kasprzyka przez przewagę w II rundzie; Dybała przegrał z Baszczowskim; Sitkowski wygrał w II rundzie ze Stańkiem; Wólkiewicz uległ Kotlarskiemu; Marzec przegrał na punkty z Walickim.

Rewanż 10.01.1971 r. – Avia Świdnik–Górnik Wesoła 15:5. Andrachiewicz zremisował z Chmielem; Papierz pokonał jednogłośnie na punkty Tasarkę; Czyszczoń wygrał z Markowskim; Stańko pokonał Wadę; Petek uległ Bendkowi; Karbowniczek pokonał Grzanę; Kowalski wygrał

jednogłośnie na punkty z Kasprzykiem; Sitkowski znokautował w I rundzie Stańkę; Wólkiewicz wygrał z Kotlarskim; Wiater uległ w I rundzie (przewaga) Walickiemu.

Boks a polityka

Warto dodać, że mecz z Górnikiem Wesoła mógł nie dojść do skutku z przyczyn... politycznych. Władze partyjne spodziewały się tłumów na tym meczu. A tłum – po wydarzeniach 1968 r. – mógł być dla nich niebezpieczny. Bali się tego. Ostatecznie jednak mecz się odbył. A to dzięki pertraktacjom Karola Szczotki z władzami partyjnymi. Działacz Avii zagwarantował, że podczas meczu nie dojdzie do żadnych incydentów, które „mogłyby uderzyć w podstawowe struktury państwa ludowego”. Dlatego na meczu było bardzo wielu porządkowych. Pojawili się też apele – także w zakładowym radiowęźle – o niewnoszenie alkoholu na halę.

Po tym meczu z Górnikiem Wesoła sędzia ringowy – Jan Brzeżański nie szczędził pochwał świdnickiej publiczności:

[...] Jestem pełen uznania dla świdnickich kibiców, którzy po sportowemu dopingowali swoich zawodników, ale równocześnie wykazali dużo obiektywizmu. [...] Chociaż walki toczyły się o dużą stawkę, nie miałem trudnego zadania. Zasługa w tym obu trenerów, którzy potrafili tak ustawić zawodników, że moje interwencje nie były potrzebne. W całym spotkaniu nie udzieliłem ani jednego napomnienia. Wynik jest sprawiedliwy. Wygrała drużyna lepiej przygotowana, zwłaszcza pod względem kondycyjnym.

„Sztandar Ludu”, 11.01.1971 r.



Jan Andrachiewicz zdobywał dla Avii wiele punktów



Ryszard Sitkowski ciężko pracował na treningach



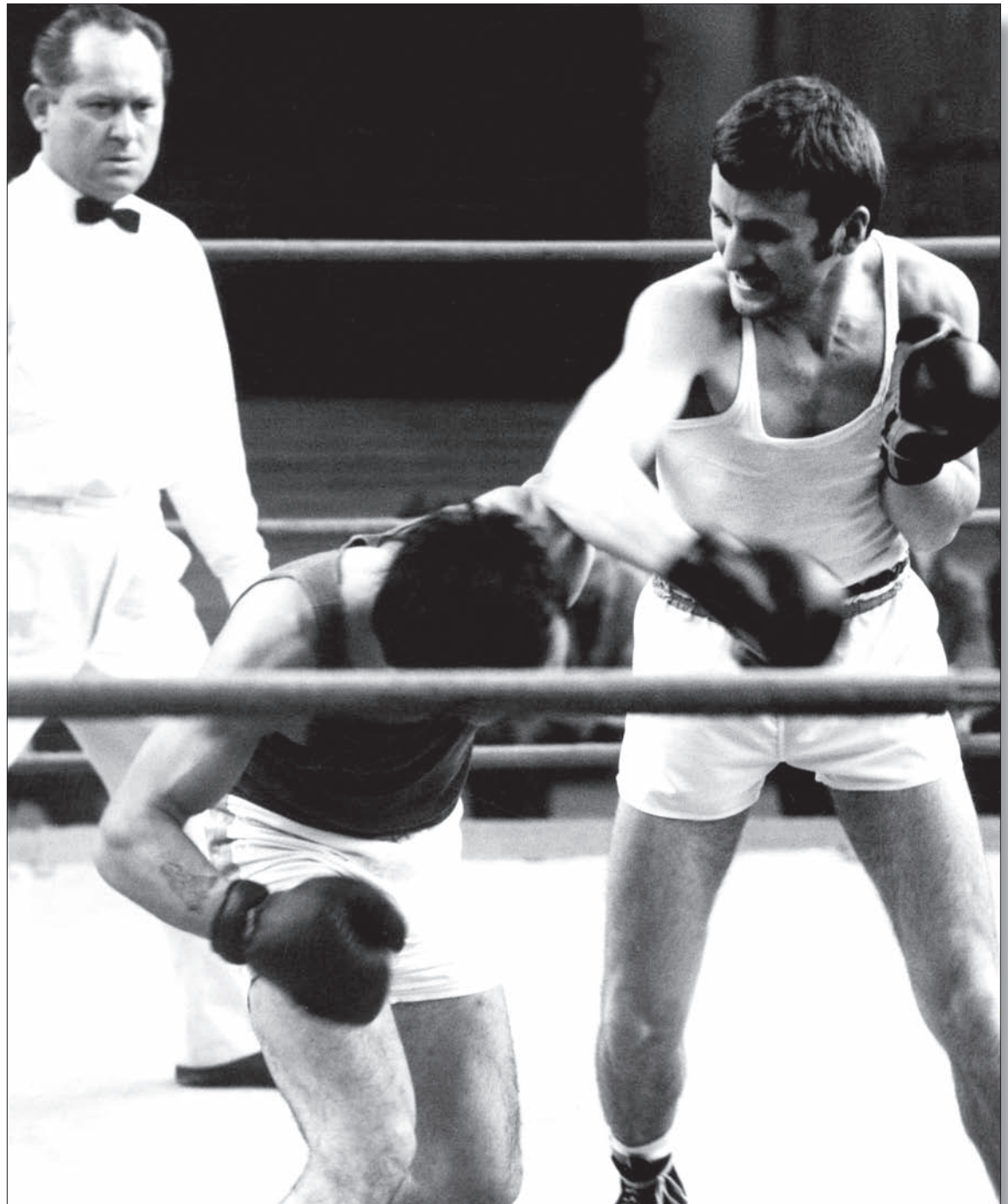
Jerzy Wiater nie czuł respektu przed żadnym rywalem



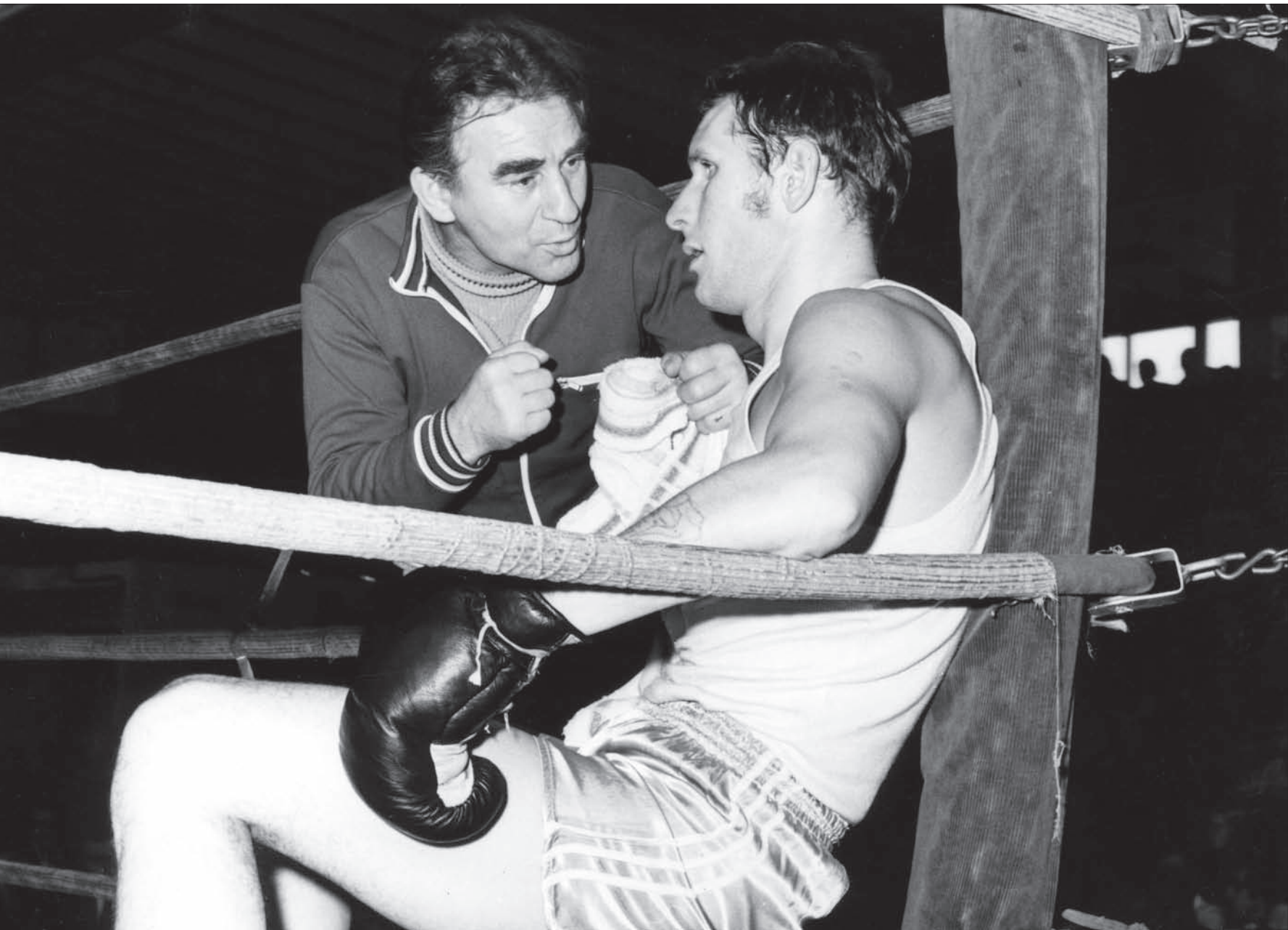
Jerzy Lewandowski był mistrzem Polski juniorów



Bokerska ekipa Avii po zwycięskim meczu z Sokółem Piła pali z radości po zwycięskim meczu kapelusza Henryka Górnego, klubowego lekarza. Od lewej: Rajmund Józwiński, sekretarz klubu, trzeci – Stefan Dudzik, działacz, szósty – Wiesław Furmankiewicz, obok niego Leszek Piątek, dziewiąty – Jan Komendarski, obok Włodzimierz Steciuk; pierwszy z prawej Tadeusz Ścibior



Piotr Osiak był silnym punktem zespołu, groźny rywal Kowalskiego



Józef Kruża zanim został trenerem, był czołowym polskim pięściarzem. W narożniku Józef Radzewicz

Oni wywalczyli awans do I ligi

Zawodnicy: Ryszard Sitkowski, Waldemar Kowalski, Ryszard Petek, Jerzy Wiater, Jan Andrachiewicz, Bogdan Papierz, Jan Komendarski, Stanisław Guliński, Józef Czyszczoń, Grzegorz Dybała, Zbigniew Rajchert, Mieczysław Wólkiewicz, Czesław Marzec, Marian Karbowniczek, Zenon Wybraniec, Marian Michalak, Zbigniew Stańko.

Trenerzy: Zbigniew Cebulak, Jerzy Krasnożon

Zarząd: F. Dąbrowski, J. Adamczyk, S. Bednarski, S. Dudzik

Prezes: Józef Madej

Prezes honorowy: Władysław Janik

Hala Avii była wówczas jeszcze w budowie. W tej sytuacji pięściarze WSK walczyli w lubelskim obiekcie MOSiR (wówczas WOSTiW) przy Alejach Zygmuntońskich.

Przed pamiętnym meczem z Legią Warszawa, najsilniejszą wówczas drużyną w kraju, dla kilkuset kibiców zabrakło miejsc w hali (Avia wygrała 11:9). Pierwszy skład wówczas tworzyli: Jan Andrachiewicz, Papierz, Czyszczoń, Stańko, Karbowniczek, Petek, Kowalski, Sitkowski, Wólkiewicz i Wiater. W zespole byli także: A. Andrachiewicz, Grudziński, Osiak, Wyszomirski, Janik, Lewandowski i Radzewicz.

O nadzwyczajnej popularności boks w tamtym okresie świadczy fakt, że w plebiscycie „Kuriera Lubelskiego” na sportowca roku 1971 w dziesiątce

laureatów znalazło się dwóch pięściarzy Avii: Ryszard Sitkowski i Waldemar Kowalski.

W tym samym roku pięściarze Avii zdobyli 4 miejsce wśród najlepszych drużyn kraju. Był to ogromny sukces, biorąc pod uwagę, że liga była bardzo silna: Legia, Wybrzeże Gdańsk, BBTS Bielsko-Biała, Gwardia Warszawa, Gwardia Wrocław, Turów Zgorzelec czy Błękitni Kielce – to te m.in. kluby tworzyły historię polskiego boks.

Gdzie ten Świdnik jest?

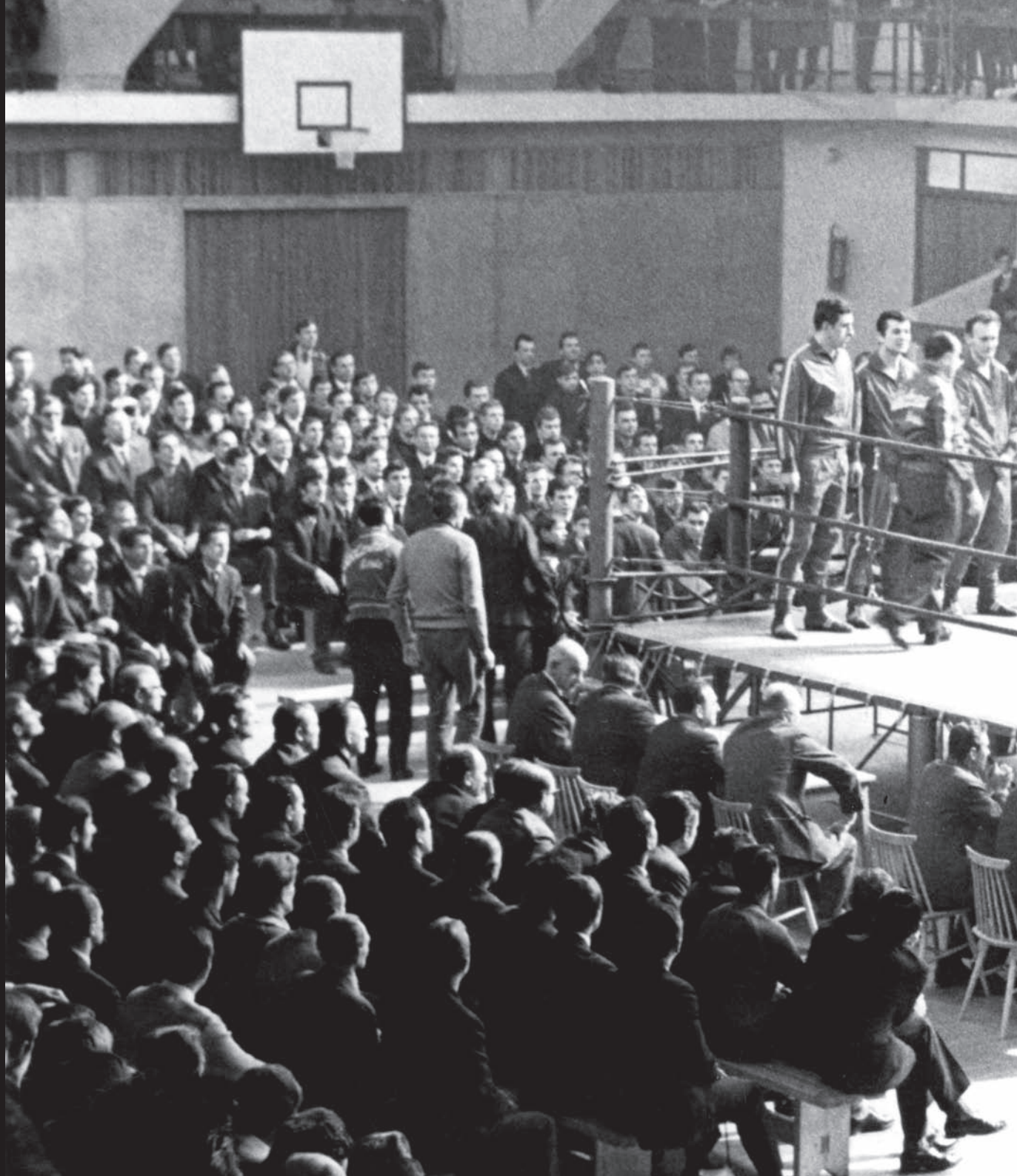
O Świdniku mówiło się coraz częściej. Kiedy Avia pokonała utytułowaną Gwardię Warszawa, a był to wówczas zespół z pionu milicyjnego, pułkownik, który opiekował się tym klubem – wezwał do siebie trenera. Zbesztął go, po czym poprosił, żeby pokazał na mapie, gdzie leży ten Świdnik.

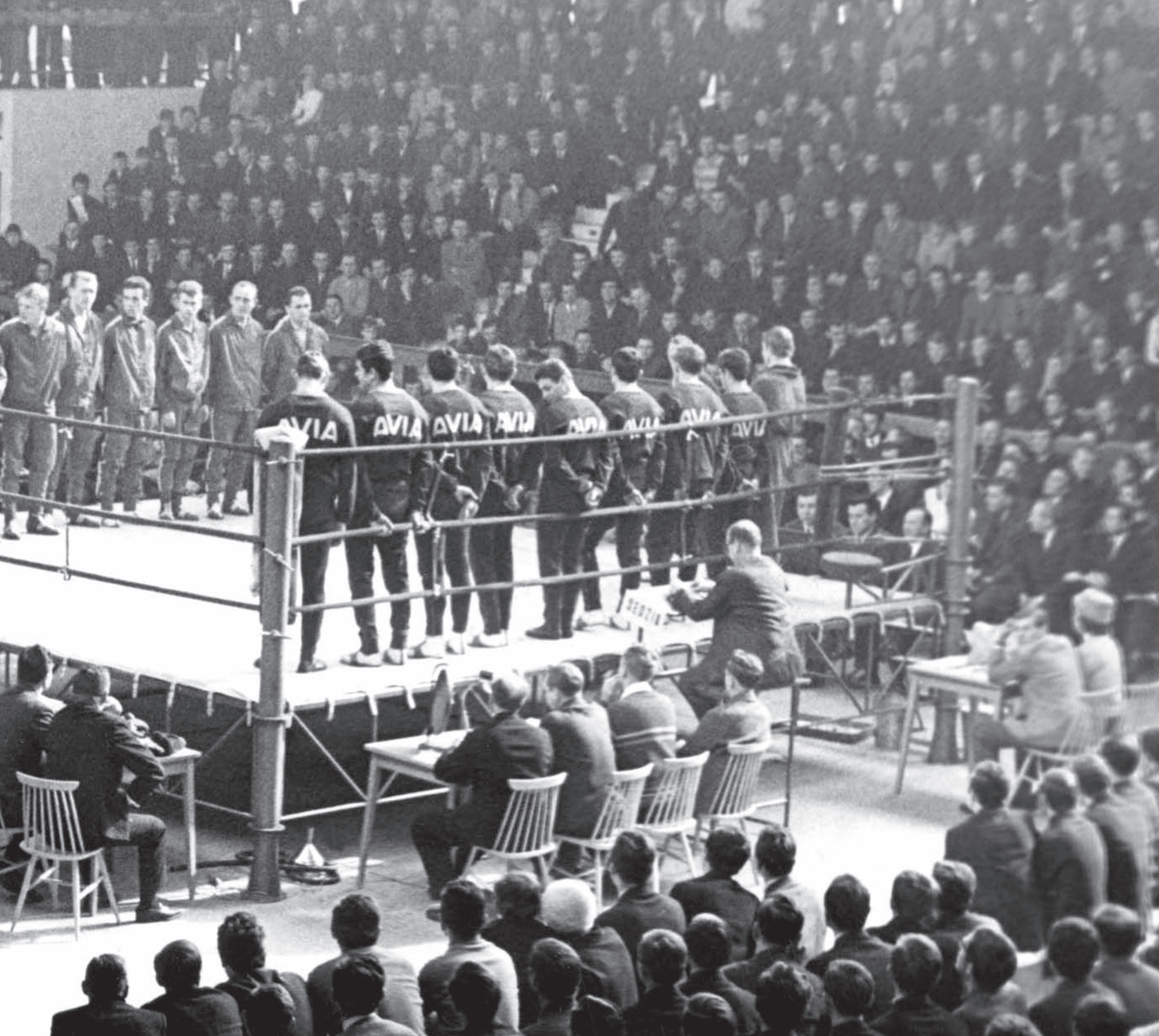
– W latach 70. ubiegłego wieku mieliśmy bardzo solidny zespół – wspomina Józef Radzewicz, były bokser, obecnie szkoleniowiec Avii. – Nic dziwnego, że i wyniki były. Na nasze mecze przychodziło nawet 2–2,5 tys. kibiców.

– Dało się wyżyć wtedy z boks?

– Pieniądze może nie były takie jak dziś dostają sportowcy, ale nam wystarczało. Na koniec sezonu podliczano zdobyte punkty i to wpływało na wysokość premii. Sekcja działała prężnie. Trzymali ją w ryzach tacy działacze, jak m.in. Karol Szczotka i Stefan Dudzik.

Na mecze pięściarzy Avii (na
zdjęciu lubelska hala MOSiR)
przychodziły tłumy kibiców.
Boks był wtedy bardzo
popularną dyscypliną





Największy sukces bokserów

Józef Radziewicz najbardziej pamięta pojedynek w 1975 r. ze stołeczną Legią, w której występowało wówczas wielu utytułowanych bokserów. Hala Avii pękała w szwach. Doszło do wielu ciekawych pojedynków, chociażby takich jak Wyszomirski – Gajda, Lewandowski – Szczerba, czy wreszcie pojedynek Radziewicza z Rudkowskim.

– To była chyba moje życiowa walka – wspomina Radziewicz. – Niestety, przegrałem. Sam Rudkowski przyznał po walce, że wygrał niezasłużenie. Avia w tym meczu zremisowała 10:10.

Józef Radziewicz jako pierwszy w Polsce w 1980 r. zajął się trenowaniem kobiet w tej dyscyplinie, która przecież od zawsze „zarezerwowana” była dla mężczyzn.

Za mały ring

Do historii przeszło także ligowe spotkanie z Budowlanymi Olsztyn. Na ten mecz pojechało jedynie 7 pięściarzy Avii. Pozostali byli chorzy. Pewny walkower. Na trybunach 1500 widzów. Sytuację uratował ówczesny kierownik zespołu – Bolesław Klimañski. Mianowicie tuż przed meczem wszedł na ring z „metrówką” w dłoni i z kamienną twarzą zaczął mierzyć ring. – Jest o metr za krótki – triumfalnie obwieścił zaskoczonym gospodarzom. Mecz się w końcu odbył, ale jako spotkanie towarzyskie. W ten sposób Avia uratowała punkty. Nie było walkoweru.

W latach 50. i 60. pięściarze Avii toczyli także pojedynki na międzynarodowej arenie. Były to mecze towarzyskie w Łucku i we Lwowie. Te zespoły gościły również w Świdniku. Avia walczyła także w Belgradzie z drużyną Radnicki.

Wierny kibic

Piotr Kostjan, mieszkaniec Świdnika, kibicuje Avii od 1965 r. O boksie wie prawie wszystko.

– Pojedyunki Avii to było wielkie święto w Świdniku – wspomina. – Mecze rozgrywane były zawsze w niedzielę o godz. 11. Na początku nie wszyscy mieścili się w hali. Wiele osób stało na zewnątrz. Dla mnie do dziś największymi twórcami sukcesu są trenerzy Cebulak i Krasnożon.

To oni wprowadzili Avię do ligi. W tamtych latach trenerzy siedzieli na hali czy też boisku od rana do wieczora. I sukcesy były. Zarówno byli zawodnicy, jak i działacze podkreślają wspaniałą atmosferę w zespole.

– To była zgrana paczka – mówi Edward Dziedziura. – Jak było trzeba, to dawali z siebie wszystko. Było też wesoło. Pamiętam, jak kiedyś w hotelu zabrali ukradkiem pidżamę Stefana Dudzika i od wewnątrz „potraktowali” ją krzakiem dzikiej róży. Małe kolce były niewidoczne, ale swoje zrobiły. Stefan wieczorem przebrał się w nią i razem z bokserami graliśmy jeszcze w karty. Co on się nadrapał...

Nie do śmiechu było z kolei pijanemu rowerzystce, którego pięściarze zauważyli na szosie, kiedy wracali z meczu. Spał w rowie. Zatrzymali autokar,

zapakowali nieboraka do środka razem z rowerem. Ten nawet się nie obudził, kiedy go wysadzali – tyle że kilkadziesiąt kilometrów dalej.

Na mecze przychodzili przede wszystkim pracownicy WSK. Biletem była zakładowa legitymacja. Każdy z pracowników zakładów przeznaczał część pensji na klub. Dlatego Avia w latach 70. i 80. nie narzekała na brak pieniędzy. Zakładowy autobus był zawsze do dyspozycji. Wystarczyło, że zebrała się grupa chętnych na wyjazd na mecz i autobus punktualnie podjeżdżał w umówione miejsce.

– Zawodnicy wszystkich sekcji znali się bardzo dobrze – mówi Piotr Kostjan. – Siatkarze znali piłkarzy, ci z kolei bokserów itd. Wzajemnie sobie kibicowali. Były to bliskie więzi. Dzisiaj różnie z tym bywa.

Ryszard Sitkowski jest pewny, że gdyby ligowy boks powrócił, to hale byłyby znów pełne kibiców. – Na dobre mecze przyszłoby kilka tysięcy widzów spragnionych tej dyscypliny – powiedział.

On sam – w czasach, gdy reprezentował barwy świdnickiego klubu – ścigał do hali tłumy kibiców. Teraz od kilku lat jest na zasłużonej emeryturze. Nadal mieszka w Świdniku. Swoją bogatą karierę zakończył w 1982 r. – po 20 latach potyczek na ringu.

– Do dzisiaj mam kontakt z chłopakami z drużyny – mówi pan Ryszard. – Spotykamy się, wspominamy.

Sitkowski czterokrotnie był powoływany do kadry narodowej.

– Czuje pan niedosyt?

– Tyle razy zyskałem uznanie w oczach selekcionera – mówi. – Nie mnie to osądzać. Fakt, że

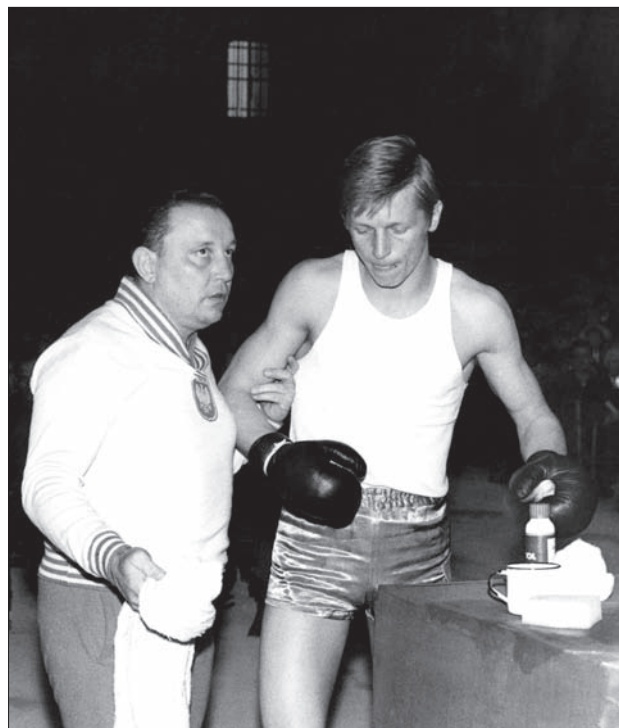
miałem silnego konkurenta w swojej wadze – Witolde Stachurskiego.

Debiut w kadrze był pechowy dla Sitkowskiego. Walczył na Torwarze z bokserem z ówczesnej NRD – Brauske. Doznał kontuzji ręki.

Sitkowski z maczugą

Ryszard Sitkowski najmilej wspomina dwóch trenerów: Cebulaka i Krużę.

Pamięta, że treningi u nich nie należały do lekkich.



Ryszard Sitkowski przed walką. Obok trener Zbigniew Cebulak

– Do dziś wspominam tzw. robienie siły – śmieje się pan Ryszard. – Mieliśmy drewniane maczugi i waliliśmy nimi w opony, które były ułożone na specjalnych stojakach. Zdarzało się, że niektórym te maczugi pękały. Ale po takich treningach siła rzeczywiście była.

Cebulak wprowadził także inną metodę ćwiczenia siły u pięściarzy. Zamiast typowego worka treningowego jego zawodnicy używali worków wypełnionych piaskiem. Podobno efekty były widoczne. Zdaniem Cebulaka, ta metoda treningowa przyniosła efekt, a najsilniejszym ciosem mógł się szcycić właśnie Ryszard Sitkowski.

Pan Ryszard do dziś ma nienaganną sylwetkę.

– Przez tyle lat nauczyłem się, że można szybko schudnąć albo szybko przytyć – mówi. – W zależności od tego, w jakiej kategorii miałem walczyć.

I chudł. Albo tył. Rekord zrzucenia wagi to 7 kg. Oczywiście w krótkim czasie. Bez pomocy tak popularnych dziś – „diet cud”. Ile to kosztowało wysiłku – wie tylko ten, kto musiał „robić wagę”.

O gabinetach odnowy, masażach, odżywkach nikt wtedy nie myślał. Czasami przed walką dostawali zastrzyk z glukozą. Z „odżywek” – świeża woda.

– Ale nikt nie marudził – dodaje Sitkowski. – Do dziś uważam, że sport to najlepsza metoda wychowawcza.

Jego wiernym kibicem była żona Halina. Ale – jak zaznacza – nigdy boksowi nie lubiła. I zdarzało się, że po walce strofowała męża.

– Za to, że kogoś za mocno uderzyłem – przyznaje ze śmiechem.

Mało kto wie o tym, że niewiele brakowało, aby Ryszard Sitkowski – zamiast na ringu – swoją sportową karierę rozwijał na piłkarskim boisku. Okazało się, że zaczynał właśnie od piłki nożnej – w Czarnej Białostockiej. Stamtąd przeszedł do Łabęd na Śląsku, gdzie był trzecioligowy zespół. Na szczęście szybko zorientował się, że jego miejsce jest na ringu.

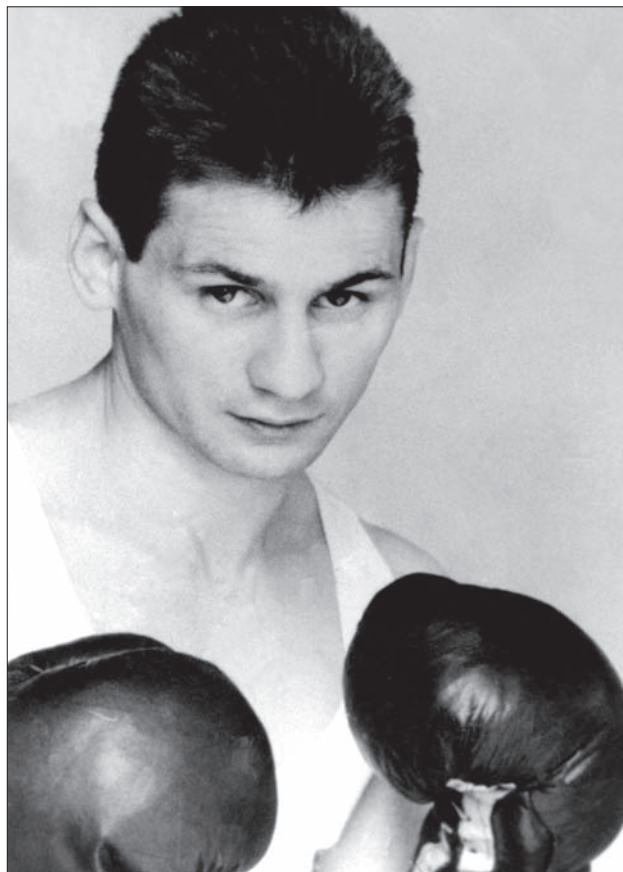
Legenda – Ryszard Petek

Niekwestionowaną legendą świdnickiego boksu jest niewątpliwie Ryszard Petek. Do Świdnika trafił w 1965 r. trzy miesiące wcześniej niż Waldemar Kowalski.

„Szermierz pięści” – tak nazywano tego boksera. W swojej karierze stoczył prawie 400 walk, przegrał zaledwie 20 razy. Startował głównie w wagach lekkiej i lekkopółśredniej, ale największy sukces odniósł w wadze piórkowej. Zdobył w niej złoty medal podczas Mistrzostw Europy w Rzymie. Dwukrotnie był mistrzem Polski: w 1964 r. i w 1973 r. W barwach Avii walczył w latach 1965–1975. Karierę zaczynał w Elektryku Toruń, potem boksował w Brdzie Bydgoszcz.

– To był niesamowity bokser – wspominają koledzy z drużyny. – Mógł walczyć na ringu ubrany w kozuch i w każdej kategorii – od muszej do ciężkiej. I w każdej dałby sobie radę.

W kadrze narodowej występował 5 razy, w tym trzykrotnie walczył przeciwko bokserom USA. Podczas jednej z walk był o krok od znokautowania



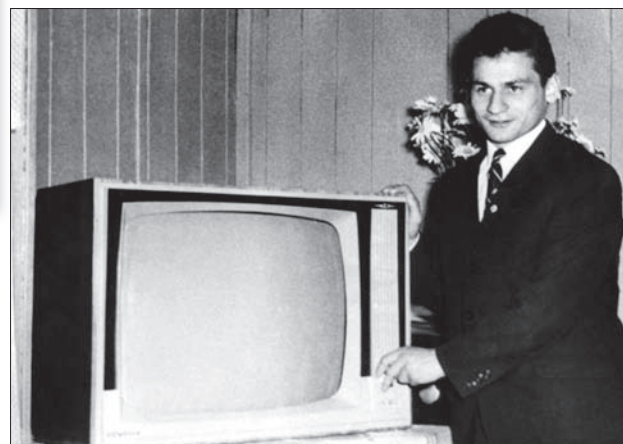
Petek w swojej karierze przegrał zaledwie zaledwie 20 walk czarnoskórego przeciwnika. Szkoda mu się go zrobiło. Pozwolił mu dotrzeć do końca walki. Tuż po końcowym gongu kibice rzucili się na Petka i wiskali mu dolary. Za to, że oszczędził ich zawodnika. Zebrała się z tego pokaźna kwota – kilkaset dolarów. Na tym nie koniec. Wieczorem do Petka przyszedł jeden z Polonusów.

– Zostań w Ameryce, po co będziesz wracać do Polski – namawiał go. – Zostaniesz tu zawodowcem, w jeden dzień zarobisz nawet 100 dolarów. Masz wielki talent, zrobisz tu karierę. Petek kategorycznie odmówił. Nie chciał zostawić rodziny w Polsce.

– Petek cieszył się ogromnym szacunkiem nie tylko wśród kibiców – mówi Piotr Kostjan. – Nigdy nie spotkałem boksera, który podczas sparingów głośno uprzedzał przeciwnika, gdzie zada cios. A tak robił Petek.

Najlepszy pięściarz Świdnika mieszka obecnie w Bydgoszczy. Jest na emeryturze. Na boksie nie zrobił kokosów. Za złoty medal Mistrzostw Europy w Rzymie dostał czarno-biały telewizor i motocykl WSK.

– Z uwagi na rywalizację w wagach, w których boksowali tacy zawodnicy, jak Kulej czy Grudzień,



Ryszard Petek za złoty medal Mistrzostw Europy w 1967 r. dostał czarno-biały telewizor



Ryszard Petek (z lewej) w każdej walce dawał z siebie wszystko

Ryszard Petek miał mniej okazji do występów na wielkich imprezach – uważa Piotr Kostjan. – Przykładem jest olimpiada w 1968 r. w Meksyku. Petek był pewnym kandydatem na wyjazd. Pojechał jednak Kulej.

Niespełnione talenty

Jak w każdym klubie, także w Avii zdarzały się talenty, które nie do końca się rozwinęły. Starsi kibice pamiętają z pewnością nieżyjącego już Piotra Ćwikłę. Z zawodu był kierowcą. Wierzył w siłę swojego ciosu, dlatego często chciał walkę kończyć nokautem. I posyłał swoich przeciwników na deski.

– Niestety, był trudny do prowadzenia – mówią jego dawni koledzy. – Krnąbrny, porywczy, często podpadał.

Po kolejnej wpadce wezwał go dyrektor handlowy zakładu. Zbeształ go. Ćwikła nie pozostał mu dłużny. Na tym skończyła się jego kariera.

Innym dużym talentem – nie do końca rozwinętym – był Krzysztof Wróblewski. Występował w wadze do 51 kg.

– To mógł być jeden z najlepszych polskich bokserów – twierdzi Józef Radziejewicz. – Nie wykorzystał do końca swojej szansy.

Według Piotra Kostjana inaczej również mogła potoczyć się kariera Wiesława Furmankiewicza.

– To był ogromny talent – uważa P. Kostjan. – Walczył w wadze ciężkiej, ale na ringu poruszał się jak zawodnik wagi lekkiej. Technicznie był świetnie przygotowany, ale w sporcie mógł zająć o wiele dalej.

Do legendy przeszła też ligowa potyczka Jana Komendarskiego na Konwiktorskiej w Warszawie. Nasi bokserzy walczyli tam z Polonią. Komendarski wygrał w swojej wadze jednogłośnie. Ale stołeczna publiczność długo jeszcze po meczu wspominała ten pojedynek. A miała co wspominać. Przeciwnikowi – po piekielnie mocnym ciosie Komendarskiego – spadły buty. Tak przynajmniej twierdzą świadkowie tego meczu. Sam Komendarski do dziś śmieje się z tego.

– Mecz przerwali, musiałem czekać, aż przeciwnik zmieni buty, bo te, w których walczył, po prostu pękły. A solidne były. Skórzane.

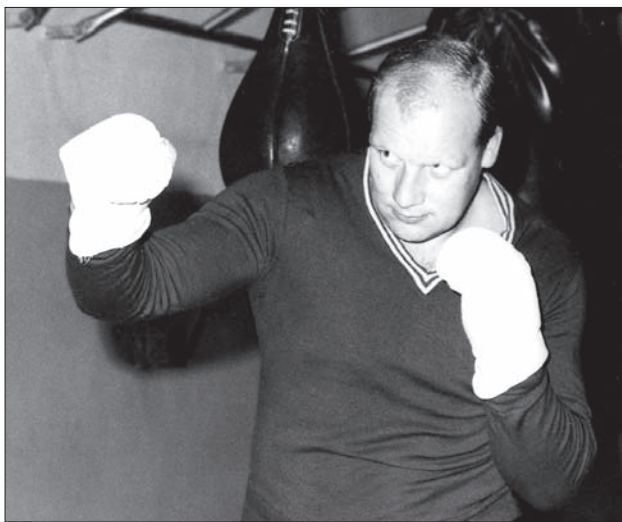


Władysław Maciejewski po zakończeniu kariery zawodniczej trenował Karolinę Michalczuk (olimpijkę z Londynu)

„Incident” na weselu

Wesele znanego boksera Wiesława Furmankiewicza pamiętają nieliczni. A już na pewno jak przez mgłę – Mieczysław Kruk. To było tak:

– Mama Wiesia poprosiła mnie i Tadzia Góralskiego, żebyśmy popilnowali biesiadnego stołu, jak goście pojedą do kościoła w Kazimierzówce – zaczyna opowieść pan Mieczysław. – Oczywiście, że się zgodziliśmy. Byliśmy zresztą dumni, że to akurat nam zaufała. Jak już wszyscy pojechali, to nie wytrzymaliśmy. Chcieliśmy spróbować tego, co na stole stało w butelkach. I trochę wypiliśmy dla fasonu. Niedużo. Tak na spróbowanie. Nie przypuszczaliśmy jednak, że – po pierwsze – zamiast wódki – będzie



Wiesław Furmankiewicz ma w swoim dorobku m.in. tytuł mistrza Polski juniorów

to spirytus z miodem. A po drugie, że mamy takie słabe głowy. Inaczej mówiąc, najedliśmy się wstydu, bo jak goście wrócili, to my smacznie spaliśmy przy stole. Na weselu byli zresztą wszyscy czołowi bokserzy Avii.

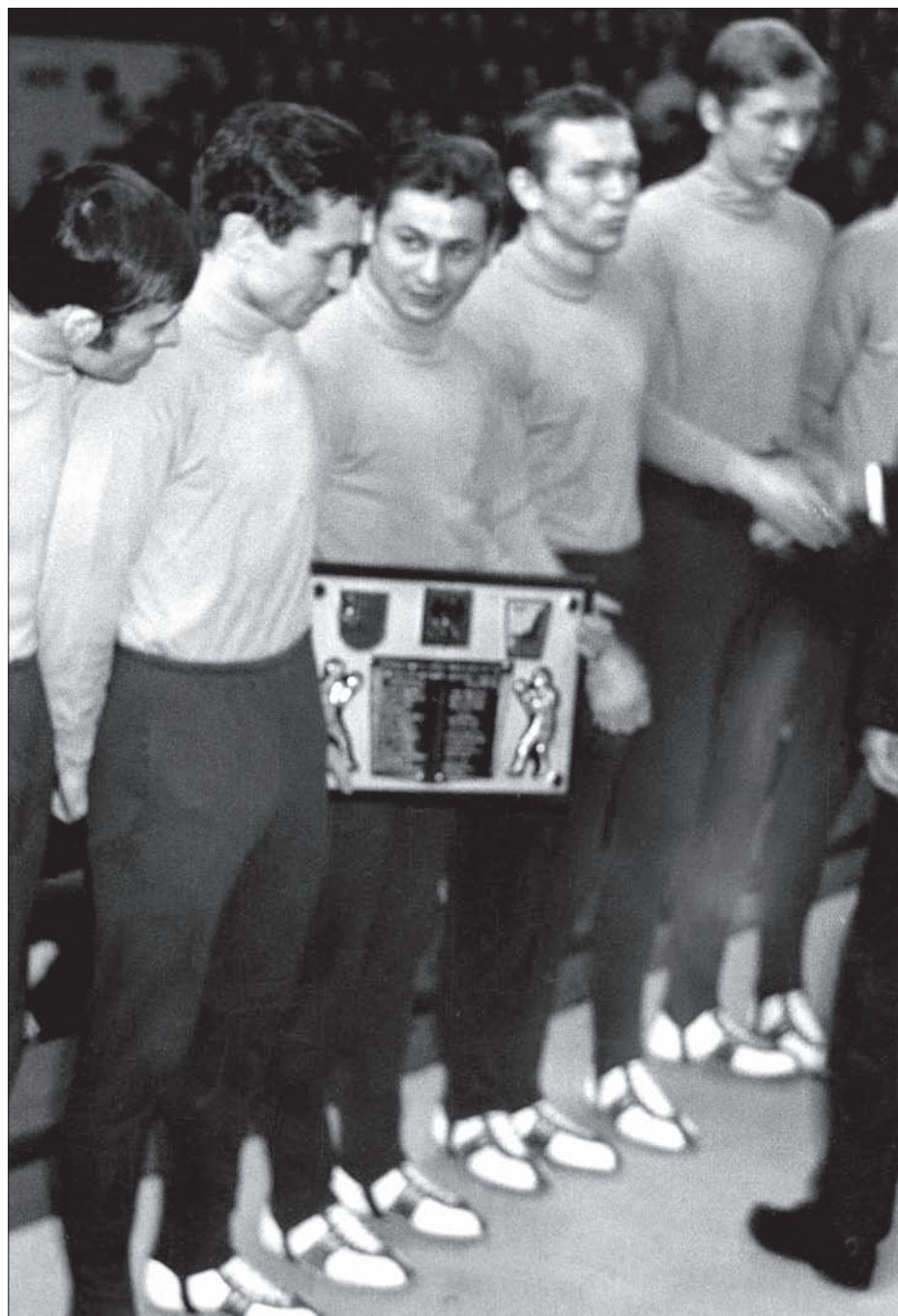
Ale to nie byli jedyni pechowcy na tym weselu. Sporo strachu miał tego dnia Karol Szczotka, ówczesny kierownik sekcji bokserskiej. W trakcie wesela – nieco „zmęczony” biesiadą – postanowił się zdrzemnąć. Zauważył w sieni drabinę. Po niej wszedł na stryszek. Kiedy się obudził, chciał zejść na dół tą samą drogą. Nie wiedział jednak, że ktoś w tym czasie zabrał drabinę. Skończyło się na szczęście niegroźnym upadkiem. Po chwili pan Karol siedział już przy stole.

Jednym z najbardziej stylowo walczących zawodników był Bogdan Wilk.

– Słynął z precyzyjnego lewego prostego – mówi Mieczysław Kruk. – Większość jego przeciwników miała – widoczne z daleka – czerwone od ciosów nosy. Był rzeczywiście precyzyjny.

Avia potrafiła wygrać w lidze 20:0, np. z zespołem z Pabianic, i... tyle samo przegrać, ale nigdy w takim stosunku przed własną publicznością.

W latach 80. XX w. kryzys dotknął sekcji bokserskiej. Klubowa kasa była pusta. Podjęto trudną decyzję o zawieszeniu działalności sekcji. Od tamtej pory odbywały się jedynie nieliczne mecze towarzyskie i okolicznościowe turnieje. Były wprawdzie nieśmiało próby stworzenia ośrodka boksu zawodowego w Świdniku. Warto jednak wspomnieć, że dzięki



To oni stanowili o sile Avii. Od lewej: Stańko,
Karbowniczek, Petek, Kowalski i Sitkowski

Waldemarowi Kowalskiemu i Jerzemu Kulejowi doszło w latach 80. do pierwszego w Polsce pojedynku zawodowego w boksie. Pojedynek odbył się w Poznaniu. A na ringu spotkał się m.in. świdniczanin Dziewulski z Sosnowskim.

Warto też wspomnieć, a mało kto o tym pamięta, że w Świdniku walczyli tacy wspaniali i znani prawie wszystkim bokserzy, jak Andrzej Gołota, Przemysław Saleta i Dariusz Michalczewski. Wówczas stali jeszcze u progu swojej kariery.

Oni zdobywali medale

1953 r. Wrocław – T. Góralski, S. Czajęcki – brąz
1957 r. Gdańsk – E. Przyłucki, B. Wilk – brąz
1958 r. Łódź – H. Góralski – brąz
1960 r. Warszawa – H. Kukier – złoto
1966 r. Wrocław – R. Petek – brąz
1967 r. Łódź – R. Petek – srebro
1969 r. Mielec – R. Petek – srebro, M. Wólkiewicz – brąz
1970 r. Opole – R. Petek – srebro
1971 r. Katowice – R. Sitkowski – srebro
1973 r. Łódź – R. Petek – złoto, R. Sitkowski – brąz
1975 r. Wrocław – R. Sitkowski – srebro

12 wspaniałych – według Mieczysława Kruka

Były spiker Avii pokusił się o ułożenie listy 12 najlepszych bokserów świdnickiego klubu. Są to: Kukier, Petek, Czajęcki, Kowalski, Sitkowski, Wilk, Kołodyński, Kita, Wólkiewicz, Komendarski, Wiater, Osiak.



Bogdan Wilk słynął z nienaganej techniki



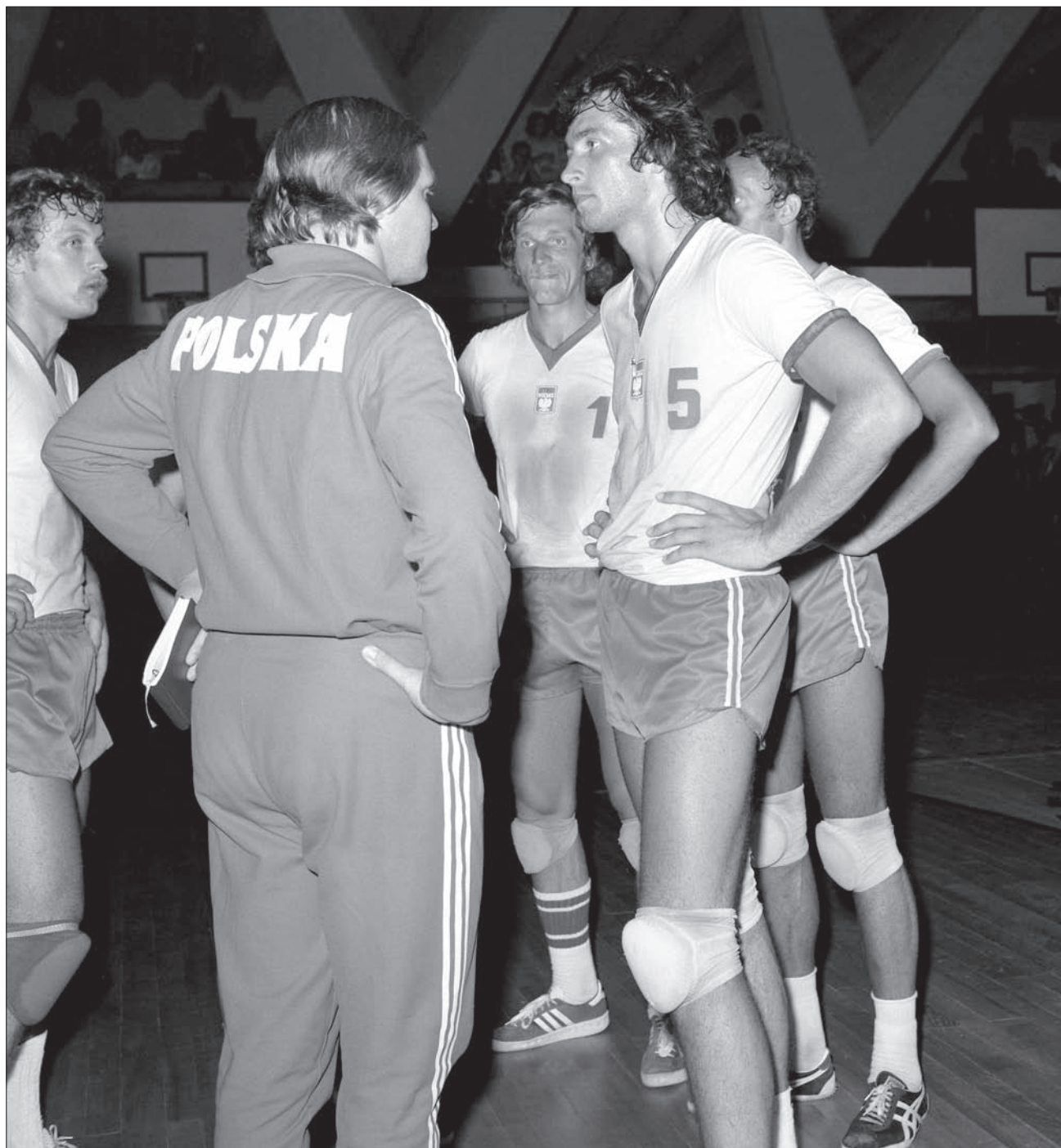
Józef Wyszomirski (z lewej) podczas treningu



Ryszard Petek był ulubieńcem kibiców, obojga płci



To oni m.in. tworzyli historię pięściarstwa w Avii: od lewej – Ryszard Sitkowski, Ryszard Petek, Zbigniew Cebulak i Waldemar Kowalski



Tomasz Wójtowicz
w reprezentacji Polski

Siatkówka

Siatkówka w Świdniku zaczęła się od sekcji kobiecej, która powstała już w 1952 r. Był to jednak tylko epizod. Jej historia zakończyła się po trzech latach od dnia założenia. Pierwszymi siatkarkami Avii były: Janina i Kazimiera Dziedzic, Helena Zając, Maria Oniszko, Eugenia Białowas, Mieczysława Mordel, Teresa i Bronisława Wawer, Maria Dorożuk, Hanna Wajner, Genowefa Białowas i Dorota Fila. Trenerami zespołu byli Ryszard Czajkowski i Tadeusz Niedzielski.

Potem przyszła kolej na męską siatkówkę. Mecze i treningi odbywały się najpierw na stadionie piłkarskim, a później w sali świdnickiego LO. Pierwszą drużynę organizowali Ryszard Czajkowski i Mieczysław Słonec.

Siatkarze w latach 1950–1970

Henryk Pać, Leopold Wielgomas, Ryszard Czajkowski, Tadeusz Niedzielski, Andrzej Lodowski, Bartłomiej Koper, Józef Boguszewski, Igor Magryta, Ryszard Wójcik, Lucjan Czajkowski i Marian Smoliński. Później do zespołu dołączyli Zygmunt Kamieniobrodzki, Zdzisław Pitucha, Mieczysław

Krzeszowiec, Mieczysław Słonec, Stanisław Werman, Lucjan Lasek, Jan Kierszulis, Jan Ukalski, Bogdan Czerep, Ryszard Rewiński, Kazimierz Janowski, Marian Guz, Wojciech Michalik, Jan Wyrwisz, Stefan Obraniak, Edward Zawadzki, Ryszard Kot, Tadeusz Tomczyk, Jan Nosek, Waldemar Pielak, Władysław Knichał, Ryszard Styka, Stanisław Bilski, Zenon Kwieciński, Józef Zygmontczuk, Edward Karbowski, Jerzy Miszczuk, Ryszard Woźniczko, Feliks Kamiński, Henryk Pać, Stefan Bednaruk, Jerzy Wołoczko, Adam Nieradko, Edmund Chadała, Jan Krasnopolski.

W 1956 r. siatkarze Avii wywalczyli awans do ligi międzywojewódzkiej rzeszowsko-kielecko-lubelskiej. Dwa lata później – w 1958 r. – Avia po raz pierwszy awansowała do drugiej ligi.

Od początku powstania sekcji do 1959 r. szkoleniem siatkarzy zajmowali się: Włodzimierz Cieplak, Zbigniew Drobek, Mieczysław Krzeszowiec, Lucjan Czajkowski i Waldemar Pielak.

Włodzimierz Cieplak był wojskowym w randze majora. Został oddelegowany do WSK jako



Siatkarze Avii w 1964 r. grali w lidze międzywojewódzkiej. Od lewej stoją: Kazimierz Jasiński, Lucjan Czajkowski, Jan Nosek, Edward Karbowiak, Tadeusz Tomczyk, Jerzy Wotoczko, Józef Zygmontczuk i Stefan Bednaruk

przedstawiciel wojskowy w zakładzie. Przez wiele lat był opiekunem, kierownikiem i trenerem zespołu. Miał duży wpływ na dyrekcję zakładu, która dzięki temu nie żałowała pieniędzy na rozwój siatkówki.

Włodzimierz Cieplak w 1972 r. wrócił w swoje rodzinne strony – do Góry Kalwarii. Tam też tragicznie zginął. Przed jego domem jadący tir uderzył go lusterkiem w głowę.

– W latach 60. ubiegłego wieku, kiedy zaczynałem grać w Avii, to młodzież garnęła się do sportu – wspomina Józef Zygmontczuk, który przez trzy sezony grał w świdnickim zespole. – Wówczas chodziłem do technikum. Lekcje kończyłem o 20 i o tej samej porze zaczynał się trening. Ale jakoś sobie radziłem. Wielu sportowców mieszkało wtedy w hotelu. Ja w pokoju byłem z Tadziem

Skalińskim. Pamiętam, że palił wtedy papierosy. Tak go zniechęcałem do tego, że rzucił palenie i do dziś nie sięga po papierosa – dodaje ze śmiechem pan Józef.

Nie wiadomo, czy to rzucenie palenia spowodowało, że T. Skaliński może pochwalić się tym, że nikt w Avii nie miał wtedy takiego wysokości dosiężnego jak on – 97 centymetrów robi również dzisiaj wrażenie. Żeby to zobrazować, to trzeba sobie wyobrazić, że zawodnik o wzroście 180 cm pakuje piłkę oburącz do kosza. To potrafił Skaliński.

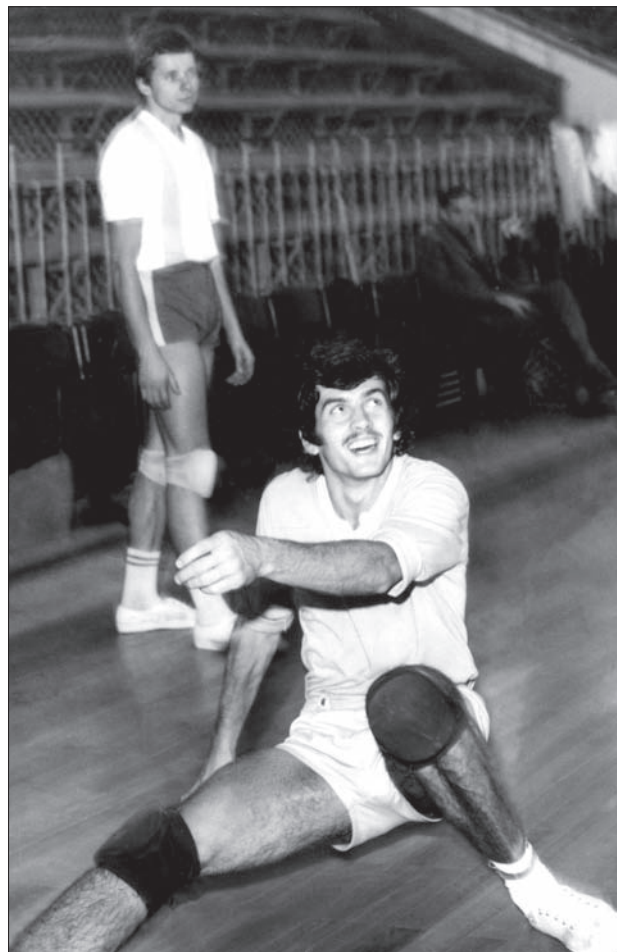
Ten skoczny siatkarz przeżył też dosyć niecodzienną historię. Razem z Zygmontczukiem zajmowali pokój w budynku, gdzie dziś mieści się szpital. Kiedyś wracali z dłuższego zgrupowania, a w hotelu wszystkie światła zgaszone. Pusto. Żywej duszy. Okazało się, że hotel w tym czasie zlikwidowano.

Józef Zygmontczuk po zakończeniu kariery został policjantem, był m.in. zastępcą komendanta wojewódzkiego policji w Lublinie. I nie był jedynym funkcjonariuszem, który grał w Avii w siatkówkę. Jego kolegami po fachu był także Tadeusz Skaliński i Andrzej Łuszczuk.

Kazimierz Patrzala również należał do zawodników, którzy przez wiele lat bronili barw Avii.

– To był wspaniały okres – mówi. – W Polsce liczyło się wtedy kilka klubów. W tym gronie była też Avia. Najbardziej zacięte mecze graliśmy zawsze z Resovią.

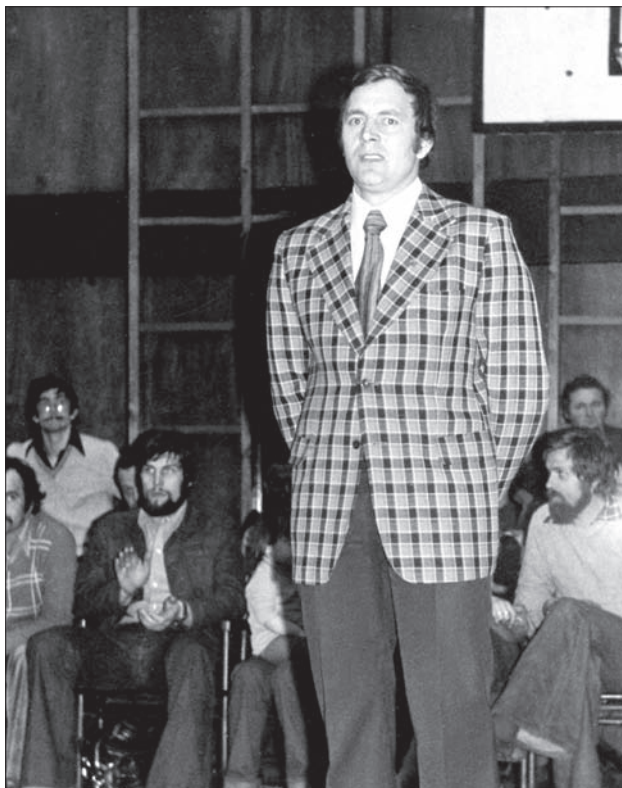
Przygodę z siatkówką zaczął w 1968 r. u trenera Waldemara Pielaka, ówczesnego nauczyciela



Tadeusz Skaliński był jednym z najbardziej skocznych siatkarzy Avii

w przykładowej szkole. Pielak sam był wcześniej zawodnikiem.

– Treningi mieliśmy najpierw w „Bronku”, ale graliśmy też sporo na kortach – mówi były siatkarz,



Kazimierz Patrzala

obecnie radny. – To była zgrana paczka: ja, Smo-liński, Chadała, Krasnopolski, Nieradko, Karbowniczek, potem Miszczuk oraz wielu innych.

Gra o medale

W sezonie 1974/1975 Avia awansowała do najwyższej klasy rozgrywkowej. Wówczas w składzie występowali m.in. Tomasz Wójtowicz i Lech Łasko, wybitni reprezentanci kraju.

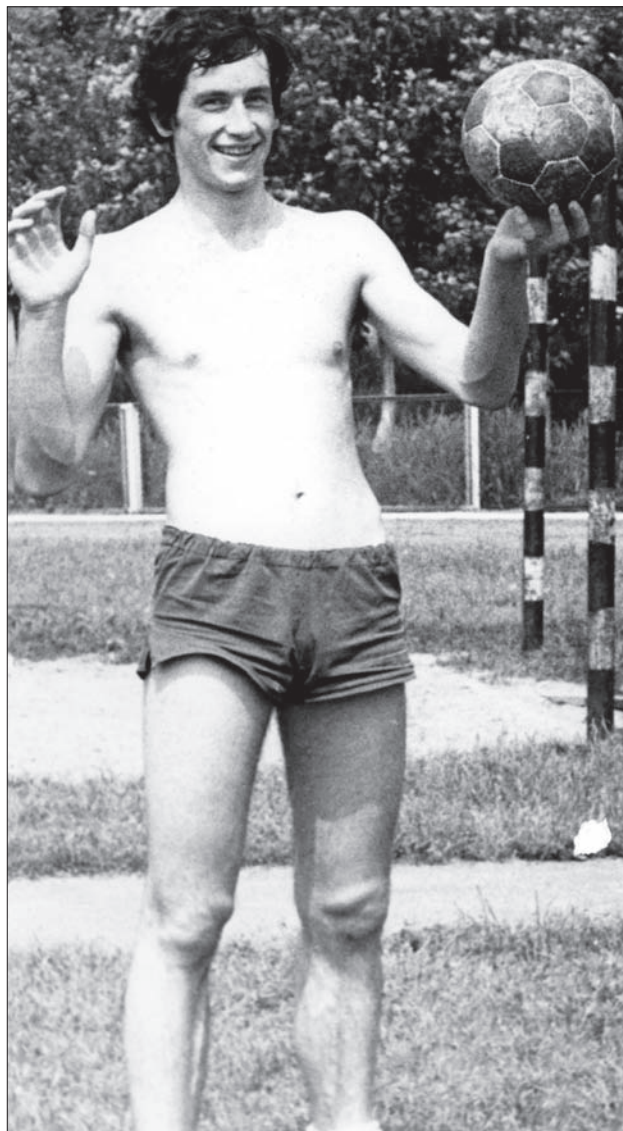
– Było dwóch Wójtowiczów: Tomek i Wojtek – wspomina Mieczysław Kruk. – Od razu było wiadomo, że Tomek w siatkówce osiągnie bardzo wiele. Niedługo potem stał się filarem zespołu. Był liderem tej drużyny, bardzo koleżeński, ściągał kibiców do hali. Pamiętam, jakie to było wydarzenie, kiedy jako jeden z pierwszych w Polsce zaczął atakować z drugiej linii. To było coś niesamowitego i robiło na przeciwnikach ogromne wrażenie.

– Tomek miał wielki talent – dodaje Witold Czerniak, długoletni kierownik sekcji. – Hubert Wagner, z którym zresztą dobrze się znałem, powiedział kiedyś, jak zobaczył Tomka w akcji, że musi go mieć u siebie. I po kilku latach stolica zabrała nam Tomka, jego brata Wojtka i ich ojca. A wszystko załatwił jeden podpis – samego generała Jaruzelskiego. Był to rozkaz powołania Tomka do wojska i reprezentowania barw stołecznej Legii. A z rozkazami – jak wiadomo – nie ma dyskusji.

Witold Czerniak do dziś doskonale pamięta, jak ściągał do Avii późniejszą gwiazdę światowej siatkówki.

– Tomek był wtedy zawodnikiem MKS AZS i grał już w kadrze Polski juniorów – mówi pan Witold. – O przejściu Tomka do Avii rozmawialiśmy w ich mieszkaniu na Królewskiej w Lublinie. Był ich ojciec, Tomek i jego brat. Udało się ich przekonać.

Młody Wójtowicz zadebiutował w Avii w dosyć nietypowy sposób. Do końca musiał czekać na potwierdzenie gry w Świdniku z Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Witold Czerniak – w dniu meczu



Jedno z pierwszych zdjęć Tomasza Wójtowicza, które ukazało się w prasie. Jeszcze o nim nie było głośno...

– pojechał w tym celu do Warszawy. Załatwił potrzebne dokumenty. I pewnie Wójtowicz wyszedłby na boisko od początku meczu, gdyby nie fakt, że kierownikowi zabrakło w drodze powrotnej... benzyny. Stanął w Jastkowie. Kiedy dotarł do hali, mecz już trwał. Szybko pokazał sędziom przy stoliku zgłoszenie i Wójtowicz, który przez cały czas rozgrzewał się – od razu wszedł na parkiet. Avia wygrała.

Po igrzyskach w Montrealu, gdzie polscy siatkarze zdobyli złoto, Świdnik był na ustach kibiców z całego kraju. To za sprawą dobrej postawy – zwłaszcza – Tomasza Wójtowicza.

– Jego ojciec zdradził mi z euforią, że zaraz po igrzyskach dostali pismo z Japonii – opowiada Mieczysław Kruk, były redaktor naczelny „Głosu Świdnika”. – Gra Tomka zrobiła na nich takie wrażenie, że zaproponowali mu wyjazd do Japonii i kontrakt trenera.

Wójtowicz przyznaje z kolei, że nie pamięta takiej propozycji, ale nie ukrywa, że Japończycy interesowali się nim.

– Do dzisiaj mam w domu wiele gazet o siatkówce, które mi Japończycy przez lata przysyłali.

W latach 70. Avia miała skład, który z powodzeniem walczył o najwyższe trofea.

Leszek Sowiński, rozgrywający, jest porównywany z dzisiejszym Pawłem Zagumnym. Na boisku widział wszystko. Do tego był niesamowicie sprawny. Świetnie pływał. Robił też bez problemu salto w przód i w tył. I to z miejsca. Autorami największych sukcesów w tamtych latach byli Kazimierz



Siatkarze Avii przed towarzyskim meczem z reprezentacją Japonii w lubelskiej hali MOSiR. Od lewej stoją: Siennicki, Łasko, Patrzala, M. Rzędzicki, Pyc, Miszczuk, Zieliński, Skaliński, Szklarz, R. Rzędzicki, W. Wójtowicz



Jedna z akcji Avii w towarzyskim meczem z Japonią



Lech Łasko i Tomasz Wójtowicz tworzyli legendę nie tylko świdnickiej, ale i światowej siatkówki

Wójtowicz i Jerzy Welcz. Pierwszy odpowiadał za przygotowanie motoryczne siatkarzy, drugi – za taktykę.

– Mieliśmy wtedy rzeczywiście mocny skład, ale jednak mistrzostwo Polski było poza naszym zasięgiem – nie ukrywa Tomasz Wójtowicz, który od 2005 r. jest komentatorem siatkówki w Polsacie. – Byliśmy jednak młodą drużyną, ale powiedzmy szczerze, następców też nie było widać.

Trenerski duet

Trener Wójtowicz – jak wspominają zawodnicy – był znakomitym szkoleniowcem. Umiał dotrzeć do zawodników. Często zostawał po treningu i ćwiczył z kimś indywidualnie. A zajęcia były ciężkie. Potrafił z zawodnika wycisnąć ostatnie poty. Miał też czasami niekonwencjonalne metody, jak np. kilkaset odbić piłki od... drzewa (tych w okolicach hali nie brakowało). I miało to swój sens. Kora jest chropowata i po każdym odbiciu piłka leciała w innym kierunku. A o to trenerowi chodziło...

Kazimierza Wójtowicza ściągnął do Świdnika Witold Czerniak.

– Pamiętam, że polecił go Adam Nieradko, który był wówczas kapitanem w zespole. Powiedział, że jest taki gość w Lublinie, który zna się na siatkówce i szuka roboty. Umówiłem się z nim. Po kilku minutach rozmowy wiedziałem, że mam do czynienia z fachowcem.

I tak było. Kilka lat później dołączył do niego trener Welcz. Obaj stworzyli zgrany i ceniony duet.

Świdniccy szkoleniowcy dobrze znali się ze słynnym „Katem” – Hubertem Wagnerem, który z polskimi siatkarzami sięgnął m.in. po olimpijskie złoto w Montrealu w 1976 r., i także w Świdniku wprowadzili niektóre z jego metod treningowych.

– Najgorsze, że wpadły im w oko ołowiane pasy – śmieje się Kazimierz Patrzala. – I z tymi 8-kilogramowymi obciążeniami musieliśmy skakać i biegać. Do dziś śnią mi się po nocach. Ale i efekty były.

O tym, że świdniczanie byli świetnie przygotowani do gry na najwyższym poziomie, przekonali się najlepsze zespoły kraju już na... rozgrzewce. A to za sprawą Henryka Siennickiego i Tomasza Wójtowicza. Piłka – po ich atomowym ścięciu – odbijała się od podłogi, a potem od... sufitu hali. To robiło wrażenie na przeciwnikach, a kibice mieli nie lada widowisko. Żaden inny siatkarz nie potrafił tak mocno uderzyć piłki jak oni. Miało to też minusy. Na żadnej hali w kraju nie trzeba było tak często wymieniać żarówek. A po uderzeniach Siennickiego i Wójtowicza taką czynność trzeba było wykonywać kilka razy w tygodniu.

Henryk Siennicki był zresztą nietuzinkowym zawodnikiem. Koledzy do dziś się śmieją, że nie lubił, jak ktoś go nazywał dwumetrowcem.

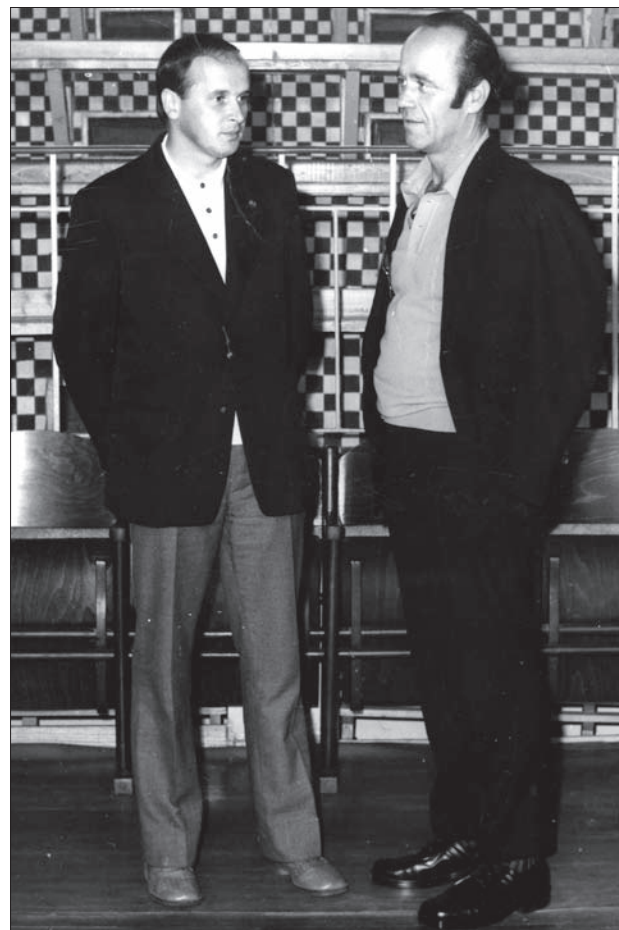
– Przepraszam, mam 199 cm – odpowiadał z poważną miną.

W grze przeszkadzały mu nieco okulary. Miał sporą wadę. Gorzej widział po zmroku. Przeciwnicy o tym wiedzieli i często nie szła mu gra w halach, gdzie nie było dobrego oświetlenia, jak np. w Nowej Hucie. Zdarzało się, że trenerzy, widząc już, że ma problemy z przyjęciem zagrywki, sadzali go na ławce już po kilkunastu minutach gry.

Witold Czerniak pamięta do dziś wiele spotkań Avii. Ale najbardziej utkwił mu w pamięci mecz o awans do II ligi w 1972 r.

– Graliśmy ze Stalą Mielec – wspomina. – Było 2:2 i w piątym, decydującym, secie przegrywaliśmy 14:15. Piłka meczowa dla Stali. Przez głowę

przeleciała mi myśl, że te całe przygotowania, harówka chłopaków na treningach, że to wszystko poszło na marne. Zagrywka Stali, ktoś odebrał, ktoś miał wystawić piłkę do ataku i wtedy głośny krzyk



Twórcy sukcesów siatkarzy Avii: Jerzy Welcz (z lewej) i Kazimierz Wójtowicz



Henryk Siennicki (z prawej) słynął z atomowego uderzenia, obok – Kazimierz Patrzała

Józia Marciniaka: „Daj to!” Rozgrywający mu wystawił, Józio precyzyjnie uderzył i był to przełomowy moment w tym spotkaniu. Chłopaki już nie stracili punktu. Wygraliśmy.

Pamiętny był także mecz o wejście do I ligi z Gwardią Wrocław. Świdniczanie na Dolnym Śląsku gładko przegrali i rewanż w Świdniku miał być tylko formalnością. Przeciwnicy czuli się tak pewnie, że do Świdnika przyjechali ubrani w gustowne garnitury. W nich mieli fetować późniejszy awans. Ale się przeliczyli i to siatkarze Avii mogli się po tym meczu ubrać w garnitury i świętować sukces.

Każdy siatkarz, który za kadencji Witolda Czeraniaka trafiał do sekcji, musiał nie tylko udowodnić, że należy mu się miejsce w składzie. Musiał się także uczyć. I nie było wymówek. Trener wymagał, aby każdy z zawodników miał przynajmniej średnie wykształcenie.

– W Avii był klimat do siatkówki – wspomina Patrzała. – Mieliśmy dobrą bazę, płacili nam dobrą, średnią pensję, jaka wtedy była w WSK, i ok. 700 zł premii; tyle wtedy zarabiała np. sprzedawczyni. Do tego co najmniej dwa razy w roku był wyjazd za granicę.

Avia nie miała problemu z naborem do sekcji. Młodzież garnęła się do sportu. I było z kogo wybierać. Siatkówka przez lata stawiała się niezwykle popularna. Na mecze świdniczan przyjeżdżali kibice nawet z innych regionów Polski. A hala Avii pękała w szwach długo przed rozpoczęciem meczu.

– Kibice przez te wszystkie lata byli niesamowici – mówi Kazimierz Patrzała. – Na parkiecie porozumiewaliśmy się między sobą tylko gestami. Był taki tumult, że – poza dopingiem – nic nie było słychać.



Przed wyjazdem na kolejny mecz. Od lewej: Józef Madej, Henryk Siennicki, Kazimierz Wójtowicz, Kazimierz Patrzala, Wojciech Wójtowicz, ósmy z lewej – Zdzisław Pyc, Rusakiewicz, Lech Łasko, Sowiński „Sowa”, Tomasz Wójtowicz, trzeci z prawej – Mieczysław Rzędzicki, i ostatni Witold Czerniak





Tłumy witały olimpijczyków z Montrealu na stadionie Avii . Wójtowicz i Łasko przeszli do historii polskiej siatkówki



W tym składzie Avia należała do ścisłej czołówki siatkarskiej ekstraklasy: u góry od lewej: Tomasz Wójtowicz, Mirosław Rusakiewicz, Mieczysław Szklarz, Henryk Siennicki, trener Jerzy Welcz, Andrzej Łuszczuk, przed nim pochylony Ryszard Zieliński, Kazimierz Patrzala, kierownik zespołu Witold Czerniak. Dolny rząd: Tadeusz Skaliński, trener Kazimierz Wójtowicz, Jerzy Miszczuk, Wojciech Wójtowicz, Zdzisław Pyc, Ryszard Rzędzicki i Mieczysław Rzędzicki



Hubert Wagner (z mikrofonem), Józef Madej (pierwszy z lewej) z siatkarzami Tomaszem Wójtowiczem (drugi z prawej) i Ryszardem Boskiem (drugi z lewej) na spotkaniu z młodzieżą w Zespole Szkół Technicznych w Świdniku

To był prawdziwy kocioł. My byliśmy już do tego przyzwyczajeni, ale przyjezdni mieli z tym kłopoty, zwłaszcza że kibice w naszej hali siedzieli bardzo blisko boiska. To dodatkowo stwarzało niesamowitą

atmosferę. Jak grałem potem z Mietkiem (Rzędzikiem) w Jugosławii, to też mieliśmy do czynienia z żywiołowym dopingiem fanów, ale w Świdniku było to lepiej zorganizowane. Zresztą nasi kibice dobrze

się znali na siatkówce. Wiedzieli, kiedy ktoś pokazał klasę i doceniali to.

– Który mecz utkwił panu najbardziej w pamięci?

– Kiedyś graliśmy w Świdniku z Płomieniem Miłowice – mówi Patrzała. – Przegrywaliśmy już 0:2. Udało się nam jednak doprowadzić do tie-breaku. W piątym, decydującym secie było 13:13. Leszek Sowiński wystawił mi piłkę do ataku, ale nie było to precyzyjne zagranie. W ostatniej chwili – zamiast ściąć – lekko musnąłem piłkę palcami i zmyliłem blok rywali. To był decydujący moment spotkania, bo zaraz potem zdobyliśmy kolejny punkt i wygraliśmy cały mecz 3:2.

Płomień Miłowice do dziś śni się Tadeuszowi Skalińskiemu. I nie jest to bynajmniej miły sen. Wszystko przez bolesną kontuzję.

– Dostałem potężne uderzenie piłką w palec – opowiada. – Patrzę, a ja nie mam palca. Autentycznie. Wszedł jakoś do środka. Od razu zabrali mnie do szpitala. Tak jak stałem. W koszulce. Tam lekarz chciał mi go wyciągnąć, ale byłem tak przerażony, że się nie zgodziłem. Dopiero jak mi zrobili jakieś zastrzyki znieczulające, to mi go wyciągnęli. Ale pielęgniarka podczas zabiegu musiała mnie cały czas trzymać za głowę.

Siatkarze dobrze i z sentymentem wspominają także pierwszy wyjazd na Zachód – do Holandii. W daleką podróż wybrali się starym, pocziwym jelczem, tzw. ogórkiem, który wzbudzał wielkie zainteresowanie w Niemczech i Holandii. Kierowca (nie miał wtedy zmiennika) miał w pewnym momencie

dosyć tego, że go wszyscy na autostradzie wyprzedzają, nawet leciwe ciężarówki i rozpędził autobus. Wszyscy z przerażeniem obserwowali, jak w miarę wzrostu prędkości, zwiększa się także częstotliwość niebezpiecznej wibracji karoserii i w momencie, kiedy pierwsze śrubki zaczęły się samoczynnie odkręcać, zwolnili.

Tragiczne wypadki

W sezonie 1975/1976 Avia zdobyła brązowy medal mistrzostw Polski, ale – jak się później okazało – było to ostatnie trofeum klubu ze Świdnika. We wrześniu 1976 r. doszło do tragicznego wydarzenia, które wstrząsnęło nie tylko Avią, ale całą Polską. W wypadku na al. Warszawskiej w Lublinie zginął Henryk Siennicki i Zdzisław Pyc. Samochód prowadził wówczas Lech Łasko. Wracali z meczu w Sosnowcu. Łasko miał wtedy 18 lat. Chciał wypróbować nowy samochód, zastawę – dlatego nie jechał na mecz klubowym autokarem. Samochód dostał za złoty medal w Montrealu.

– To był straszny widok – wspomina Patrzała. – Tylko mnie i trenera Wójtowicza milicja dopuściła do miejsca wypadku. Zastawa uderzyła prawą stroną w autobus. A po tej stronie – z przodu – siedział Siennicki. Z tyłu Pyc. Niestety, nie przeżyli. W samochodzie jechał jeszcze Tadeusz Skaliński i kobieta, która dosiadła się do nich w Puławach.

Sam Tadeusz Skaliński niewiele pamięta z tego wypadku.

– Było wtedy ciemno – mówi. – Rozmawialiśmy, nagle zobaczyłem jakiś błysk i straciłem przytomność. Jak się ocknałem, to ręką dotykałem trawy. Nie wiem, jak się znalazłem na ziemi. Czułem, jak krew mi ścieka po twarzy. Krzyczałem, żeby mi ktoś pomógł. Usłyszałem od kogoś, że inni są w gorszym stanie. I znów straciłem przytomność. Obudziłem się w szpitalu na Jaczewskiego. W drzwiach sali, gdzie leżałem, stał Mietek i Rysiek Rzędziccy. Nie mogli ze mną rozmawiać, dopóki nie zostałem przesłuchany przez prokuratora. Potem dowiedziałem się, ale nie pamiętam od kogo, że Pyc i Siennicki nie żyją.

Mama Skalińskiego miała przed wypadkiem niedobre przeczucia. Kiedy się dowiedziała, że nie jedzie autokarem, nie kryła niepokoju.

– Pamiętam, jakby to było wczoraj, że odradzała mi jazdę samochodem z Leszkiem – dodaje T. Skaliński. – Nie lepiej ci będzie razem z innymi w autokarze? – spytała. – Do tego zaoszczędzisz, bo nie będziesz się musiał składać na benzynę.

Po tej tragedii Avia już się nie podniosła. Łasko wyjechał do Wrocławia. Do zespołu doszli nowi, młodzi zawodnicy, ale zespół coraz częściej musiał się bronić przed spadkiem, niż walczyć o medale.

Kolejna wielka tragedia świdnickiego klubu miała miejsce w 2004 roku. Wówczas doszło do tragicznego w skutkach wypadku z udziałem siatkarzy Avii. 17 października bus wiozący siatkarzy Avii wracających ze spotkania z Orłem Międzyrzecz w okolicach Bogucina (na trasie Warszawa–Lublin) czołowo zderzył się z tirem, a śmierć poniosło trzech

ówczesnych graczy drużyny Krzysztofa Lemieszka: Wojciech Trawczyński, Jakub Zagaja i Łukasz Jąloza. Zginął także wieloletni kierowca klubowy – Stefan Sznajder.

O tej tragicznej w skutkach katastrofie pisał m.in. „Dziennik Wschodni”, 18 października 2004 r.

[...] Kierowca najprawdopodobniej chciał ominąć leżącą na drodze gałąź. – Wykonał gwałtowny manewr. Wtedy doszło do tragedii. W chwili wypadku padał deszcz, droga była mokra i śliska.

W busie zginęli zawodnicy, którzy dopiero w tym sezonie przeszli do Avii: 25-letni Wojciech Trawczyński grał wcześniej w Skrze Bełchatów, 22-letni Jakub Zagaja przeszedł do Avii z AZS Opole, a 19-letni Łukasz Jąloza z MOS Warszawa. Łukasz zdecydował się na przenosiny do Świdnika ze swoim bratem.

Cała trójka okazała się silnym wzmocnieniem Avii. Zagaja i Trawczyński wychodzili na parkiet w podstawowym składzie. Wszyscy zdążyli rozegrać trzy mecze.

– Jechałem wtedy do Warszawy – przypomina sobie Piotr Kostian. – W Jastkowie policja zorganizowała objazdy. O tym, że to był wypadek naszych siatkarzy, dowiedziałem się dopiero po powrocie do Świdnika.

Od tamtych wydarzeń drużynę prowadziło dwóch szkoleniowców: Krzysztof Lemieszek i Sławomir Czarnecki. Ten drugi przejął zespół w połowie sezonu 2006/2007 i doprowadził do trzeciego miejsca w lidze. Jednak w kolejnym sezonie, w którym Avia wygrywała z najlepszymi ekipami ligi (Treflem Gdańsk i Gwardią Wrocław), świdniczanom zabrakło punktu, aby awansować do play-off

o PlusLigę. Czarnecki podjął decyzję o rozstaniu z drużyną, którą przejął ponownie Lemieszek. Avia pod jego wodzą zajęła trzecie miejsce w bezpośredniej potyczce o awans do finału play-off, przegrywając z Siatkarzem Pamapołem Wieluń 0:3.

Warto wspomnieć, że w Avii grali również Mariusz i Andrzej Kowalowie. Ten drugi w 2012 r. poprowadził – jako trener – zespół Resovii do tytułu mistrza Polski.

Siatkarskie legendy



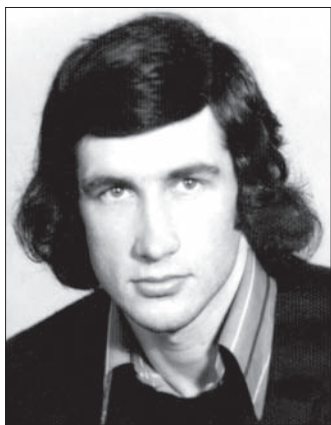
Lech Łasko ps. Kreska, mechanik, trener, jeden z czołowych siatkarzy polskich (1975–1984), czterokrotny wicemistrz Europy, złoty medalista olimpijski z Montrealu (1976), uczestnik IO w Moskwie (1980).

Urodził się 2 czerwca 1956 w Świdniku, absolwent Technikum Mechanicznego, czołowy siatkarz (197 cm, 88 kg) Polski (1975–1984), zawodnik lubelskiego Startu, Avii Świdnik i Gwardii Wrocław, z którą odniósł wiele sukcesów, zdobywając: 3 tytuły mistrza Polski (1980–1982), 2 wicemistrza (1983, 1984) i brązowy medal MP (1979), który wywalczył także w barwach Avii (1976). Był również z Gwardią

zdobycwą Pucharu PZPS (1981) i finalistą Pucharu Europy Mistrzów Krajowych 1980/1981, gdzie Polacy zajęli 3 miejsce. 261-krotny reprezentant Polski (1975–1984) rozpoczynał wielką karierę międzynarodową (jak prawie wszyscy nasi czołowi siatkarze) od brązowego medalu mistrzostw Europy juniorów w niemieckim Osnabrück (1975). Potem szybko zadomowił się w drużynie seniorów (miał 20 lat) i wyleciał na Igrzyska Olimpijskie do Montrealu na największą przygodę sportową życia. Miał grać w pierwszej szóstce. 18 lipca 1976 r. w montrealskiej hali Centre Paul Sauve podczas inauguracyjnego spotkania Polaków z Koreą Płd. wyszedł na boisko wraz z Gawłowskim, Boskiem, Wójtowiczem, Rybaczewskim i Skorkiem. Ale biało-czerwoni długo nie mogli się rozkręcić (po godzinie przegrywaliśmy w setach 0:2 i w trzecim też prowadzili rywale), trener Wagner zmuszony był więc do eksperymentów i zmian. Kiedy wreszcie właściwie poukładał zespół, okazało się, że funkcjonuje on lepiej i korzystniej bez Łaski, który po pierwszym meczu już prawie nie grał, a Sadalski i Bebel występowali tylko incydentalnie (podstawowa szóstka: Gawłowski, Wójtowicz, Skorek, Bosek i w zależności od rywala – Stefański, Karbarz lub Rybaczewski; najlepszym i najskuteczniejszym zmianowym świata był Zbigniew Zarzycki).

Łasko jednak przez wiele następnych lat był jednym z najlepszych atakujących i blokujących zawodników. Poza igrzyskami olimpijskimi był 4-krotnym srebrnym medalistą mistrzostw Europy: w Belgradzie (1975), Paryżu (1979), Sofii (1981)

i Berlinie (1983), 2-krotnym finalistą MŚ 1978 Rzym (8 miejsce), 1982 Buenos Aires (6 miejsce) i uczestnikiem Pucharu Świata w Tokio (1982), gdzie polska drużyna zajęła 4 miejsce. Najlepszy siatkarz Polski w klasyfikacji „Przeglądu Sportowego” (1982). Po zakończeniu kariery sportowej w kraju wyjechał do Włoch, gdzie grał (Dipo Vinerate) jak wielu polskich siatkarzy. Odnaczony m.in. złotym i srebrnym Medalem za Wybitne Osiągnięcia Sportowe. Żonaty. Mieszka we Włoszech (pod Mediolanem). Jego syn Michał jest reprezentantem Włoch, uczestnikiem mistrzostw świata w 2006 r., mistrzem Europy z 2005 r. i wicemistrzem Europy z 2011 r.



Tomasz Wójtowicz sportową karierę rozpoczął w MKS Lublin. Później był zawodnikiem AZS Lublin, Avii Świdnik oraz Legii Warszawa (1968–1990).

Był wicemistrzem Europy juniorów z Hiszpanii (1972) i brązowym medalistą

ME w holenderskim Voorburgu (1973).

2-krotny mistrz Polski (1982, 1983) i wicemistrz (1981) z Legią Warszawa oraz 3-krotny

brązowy medalista MP: 1976 (Avia Świdnik) i 1978, 1980 (Legia Warszawa).

W jego klubowych osiągnięciach jest także Klubowy Puchar Europy Siatkarzy, jako owoc 8-letnich występów we Włoszech, m.in. w Santalu Parma (1985).

W barwach narodowych rozegrał aż 325 spotkań (1973–1984), zdobywając m.in.: tytuł mistrza świata w Meksyku (1974) i 2-krotnie miejsce w finałach MŚ 1978 w Rzymie (8 miejsce) i 1982 w Buenos Aires (6 miejsce) oraz 4 srebrne medale w ME w Belgradzie (1975), Helsinkach (1977), Paryżu (1979) i Berlinie (1983, najlepszy atakujący). Był także 3-krotnym uczestnikiem Pucharu Świata: w Pradze (1973) – 2 miejsce, w Tokio (1977) – 4 miejsce i ponownie w Tokio (1981) – 4 miejsce.

Dwukrotnie występował na Igrzyskach Olimpijskich: w Montrealu (1976 – złoty medal) i Moskwie (1980 – 4 miejsce). Po IO w Moskwie wyjechał do Włoch, gdzie przez 8 lat występował w zespołach w Modenie, Parmie (z Santal Parma zdobył PEMK 1985), Ferrarze i Città di Castello.

Został nominowany do nagrody dla siatkarza stulecia w wielkim plebiscycie organizowanym przez FIVB (ostatecznie na siatkarza stulecia wybrano Amerykanina Karcha Kiraly'ego), a w 2002 jako pierwszy Polak trafił do siatkarskiej Galerii Sław mieszczącej się w Holyoke.

Obecnie Tomasz Wójtowicz jest komentatorem w telewizji Polsat.



Wojciech Doroba
na obchodach święta
1 maja w Świdniku, lata 80.

Sporty motorowe

Wraz z rozpoczęciem produkcji motocykli w WSK powstanie sportów motorowych w Świdniku było już tylko kwestią czasu. Tak też się stało. Na entuzjastów ścigania się na jednośladach nie trzeba było długo czekać.

Duże zasługi przy powstawaniu sekcji przy WSK miał m.in. Mieczysław Ziemiński, ówczesny zastępca dyrektora handlowego (w latach 1963–1969 był prezesem klubu; po zakończeniu pracy w WSK został attaché handlowym przy polskiej ambasadzie w Rumunii).

Tymczasem garstka – na początek – zawodników zaraziła tym sportem wkrótce innych.

W pierwszych latach istnienia sekcji do wyróżniających się zawodników należeli m.in. Jan Remigiusz Szczerbakiewicz, Jan Kopiel, Józef Bucior, Roman Szczerbakiewicz, Kryspin Kmiecik, Jan Podeszwa, Ryszard Korba, Jerzy Brendler i Zbigniew Matysiak.

Potem dołączyli do nich Eugeniusz Rechul, Stanisław Grześ, Janusz Komenda, Jan i Tadeusz Buciorowie, Zbigniew Domina (późniejszy pilot

samolotowy i śmigłowcowy, wychowanek Stanisława Kasperka), Piotr Mackiewicz i Krzysztof Komenda.

Zawodnicy sami sobie przygotowywali motocykle do startów. Trenowali głównie w pobliskich lasach, wyjeżdżali także często do Kazimierza Dolnego.

– Tam były dobre warunki do szlifowania formy – mówi Zbigniew Matysiak.

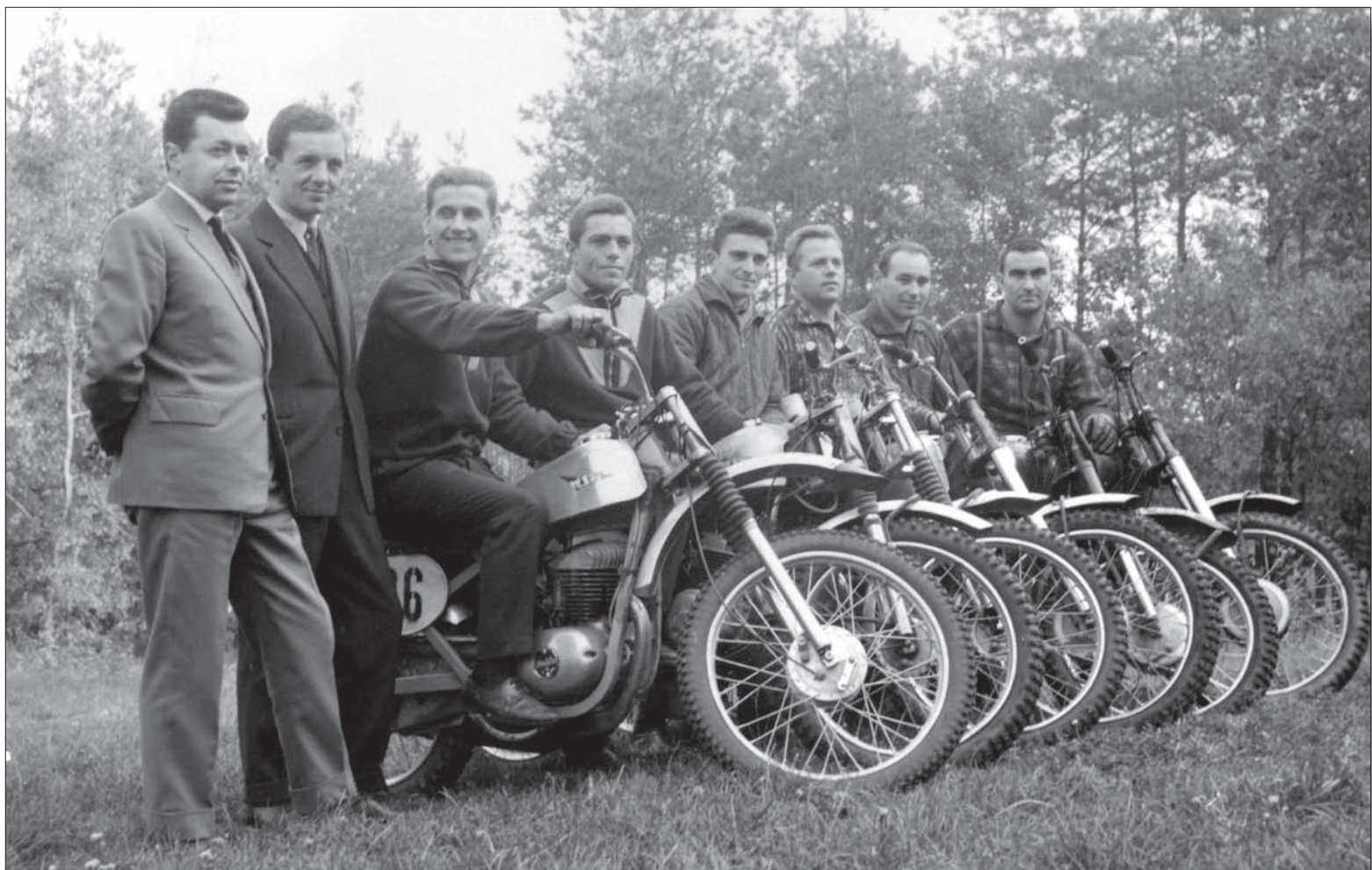
Zawodnicy nie mieli też większych problemów np. z dorobieniem w zakładzie brakującej części do motocykla.

– Trzeba było jedynie wypełnić specjalny druk – wyjaśnia Jan Kopiel, jeden z pierwszych zawodników sekcji.

W 1956 r. świdniczanie po raz pierwszy sięgnęli po najwyższe trofeum – mistrzostwo Polski.

Jerzy Brendler – kłody pod nogi

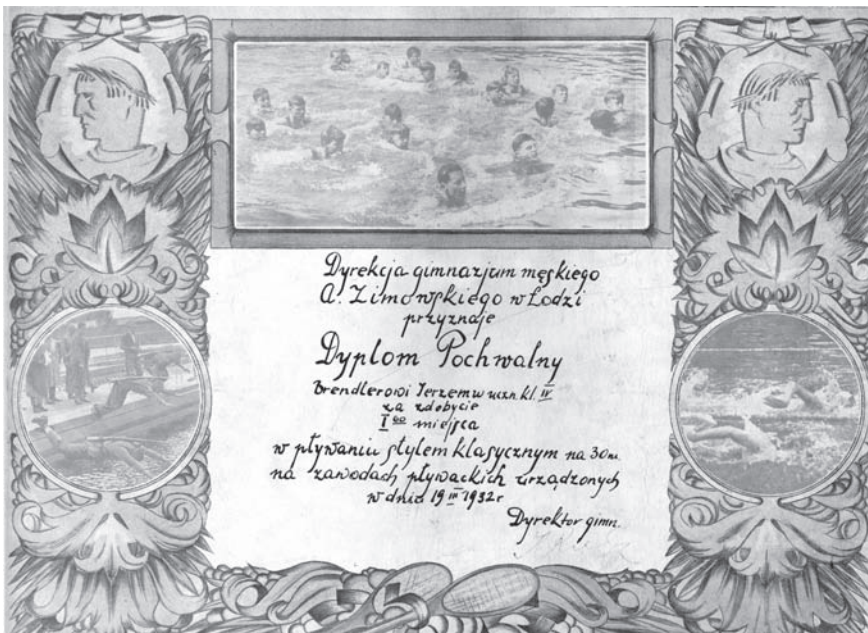
Jerzy Brendler był jednym z najbardziej wszechstronnych sportowców Świdnika. Już przed wojną pięciokrotnie stawał na najwyższym podium mistrzostw Polski w skokach do wody, brał też udział – z sukcesami – w ulicznych wyścigach motocyklowych.



Zawodnicy Avii przed jednym z pierwszych sezonów. Od lewej Mieczysław Ziemiński, Adam Kuklewicz, Jan Szczerbakiewicz, Jan Kopiel, Józef Bucior, Roman Szczerbakiewicz, Kryspin Kmieć i Zbigniew Matysiak



Rok 1963 – od lewej: Jan Szczerbakiewicz, Jerzy Brendler, Józef Bucior, Zbigniew Matysiak, Jan Kopiel, Mieczysław Ziemiński, Kryspin Kmiecik, Stanisław Grześ, Adam Kuklewicz i Roman Szczerbakiewicz



Jerzy Brendler już przed wojną odnosił sportowe sukcesy, a jedną z jego pasji były skoki do wody



Jerzy Brendler (z szarfą) po raz dziewiąty zdobywa tytuł mistrza kraju, obok niego Wojciech Zawadzki, były zawodnik wyścigowy

Jego życiorys był niezwykle pogmatwany. Z pochodzenia był Niemcem. Przez to miał później wiele kłopotów. Jak miał 12 lat (urodził się w 1918 r.), zabrał ojcu samochód. Mieszkali wtedy z rodziną w Łodzi. Dojechał aż pod Piotrków. Tam go zatrzymała policja.

– Ojciec miał od małego niesforny charakter – mówi Joanna Kurtz, córka Jerzego Brendlera. – Był niesamowicie wysportowany. Pamiętam, że jak odwiedzał nas na koloniach, a było nas ośmioro, to z daleka robił już salta w powietrzu.

Po wojnie znalazł się z rodziną w Bytomiu. Tam zaczął jeździć na żużlu. Potem trafił do Częstochowy, gdzie kontynuował karierę na torze. Wreszcie

w 1956 r. Brendlerowie zamieszkali w Świdniku. Dostali lokum w baraku koło wiaduktu. Jak powstał w mieście basen, to klucz na pływacki obiekt wisiał u nich na kredensie, a żona Jerzego Brendlera sprzedawała bilety wstępu na basen. Wkrótce pięcioro Brendlerów zaczęło trenować w powstającej sekcji pływackiej. W zawodach na 15-lecie PRL brała udział cała ich rodzina.

– Ojciec śigał się na motorach jeszcze w 1972 r., a miał już wtedy 54 lata – mówi pani Joanna. – Pamiętam, jak kiedyś szykował się na Rajd Tatrzański, gdzie główną nagrodą dla najstarszego zawodnika miał być motocykl. W domu – jeszcze przed startem ojca – już go „sprzedaliśmy” i podzieliśmy pieniądze. Temu na to, tamtej na co innego, takie dzielenie skóry na niedźwiedziu. Ojciec wrócił rzeczywiście z nagrodą. Było to... koło od motocykla – śmieje się pani Joanna.

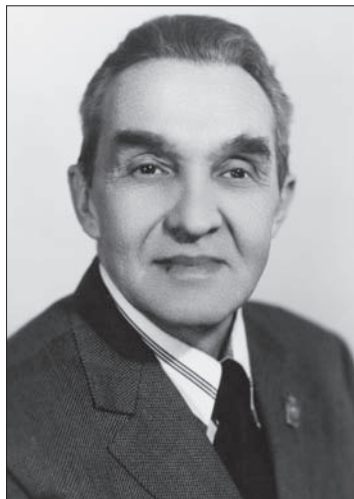
Jerzy Brendler nie miał lekko ani w życiu, ani w sporcie. Gorzej widział na jedno oko. Gdy miał 14 lat, kolega strzelił do niego z łuku i trafił w oko. Na wyścigach jeździł z lekko przekrzywioną głową. Wtedy lepiej widział.

W 1958 r. zatrudnili go w WSK.

– Nie było mu łatwo – wspomina Mieczysław Kruk. – Fama poszła w mieście, że zatrudniono Niemca. Wiele osób rzucało mu kłody pod nogi, ale szybko przekonali się, że Brendler to „swoją chłop”. I do dzisiaj tak go w Świdniku wspominają.

Joanna Kurtz dobrze pamięta te czasy.

– Było, minęło – mówi. – Ale pamiętam, że ryśowali nam swastyki na domu.



Jedno z ostatnich zdjęć Jerzego Brendlera

– Lubiliśmy się – tak go wspomina Zbigniew Matysiak. – Od niego uczyłem się wyścigów. Był wspaniałym motocyklistą.

Znany był z tego, że przed każdym wyścigiem z utęsknieniem czekał na... deszcz. Na mokrej nawierzchni jeździł lepiej niż wielu jego przeciwników na suchej. Jerzy Brendler zmarł w 1985 r.

Jan Kopiel – spod Zamościa do Świdnika

Jan Kopiel przyjechał do Świdnika w 1956 r. Miał nakaz pracy w WSK. Mieszka tu do dziś. Od dziecka ciągnęło go do motoryzacji. Nic dziwnego, że zaraz po przyjeździe zgłosił się do sekcji motocyklowej.

– Na początku każdy przerabiał sam sobie motocykle – wspomina. – Dużo się zmieniło wraz z uruchomieniem produkcji motocykli na zakładzie,



Jan Kopiel w 1967 r. był najlepszym rajdowcem Polski

a o pewnym już profesjonalizmie w sekcji można mówić z chwilą powołania zespołu fabrycznego.

W pierwszym zespole jeździli wówczas – oprócz Jana Kopieła – Józef Bucior i Jan Szczerbakiewicz. Po tragicznej śmierci Buciora zastąpił go z czasem Eugeniusz Rechul. Na ważne zawody wyjeżdżały

nawet dwa zespoły fabryczne, także z zawodnikami z innych klubów.

Dla Jana Kopieła, podobnie jak i dla wielu innych zawodników, motocykle były najważniejsze.

– Pamiętam, że jak na zawodach w Niemczech zarobiłem pierwsze marki, to wszystkie zainwestowałem w sprzęt – mówi pan Janek. – Żadne tam pierścionki dla narzeczonej czy perfumy – dodaje ze śmiechem. – Kto nie inwestował w sprzęt, ten nie miał wyników.

W 1967 r. był najlepszym rajdowcem Polski. Podczas jednego z rajdów omal nie doszło do tego, że mógł to być jego ostatni wyścig w życiu.

– To było w Karpaczu – mówi. – Jechałem jakieś 130 km/h, kiedy z przeciwka – zza zakrętu – wyjechała karetka na sygnale.

– Nie miałem gdzie uciekać. Ściąłem kilka słupków i wpadłem do rzeki. Miałem tak opuchniętą głowę, że widziałem swoje czoło. Ale jakoś się z tego wykaraskałem. Ale skutki odczuwam do dziś. Przed tym wypadkiem nigdy nie zapisywałem numerów telefonów. Po prostu je pamiętałem. Po tym zdarzeniu już mnie pamięć zawodzi. A wie pan, co zostało z mojego motocykla po tej kraksie? Dwie skrzynki części – takie po jabłkach.

Jasio „Motorek”

W klasyfikacji indywidualnej Jan Szczerbakiewicz, później zwany „Jasiem Motorkiem”, nie miał sobie równych. To 27-krotny mistrz kraju w rajdach szybkich i obserwowanych, 13-krotny najlepszy raj-

dowiec w Polsce. Jedną z najwybitniejszych postaci tej dyscypliny.

Trzykrotnie stawał na najwyższym podium Rajdu Tatrzańskiego – najstarszej tego typu imprezy w Polsce, a z dziesięciu sześciodniówek motocyklowych przywiózł 3 złote, 4 srebrne i 3 brązowe medale. Pan Jan dziesięciokrotnie okazał się najlepszy także podczas Rajdu Sudeckiego. To on – jako pierwszy – zwyciężył w 1962 r. w plebiscycie krakowskiego „Tempa” na najlepszego sportowca Lubelszczyzny.

Kilka lat temu przyznał, że jednego, czego mu zabrakło w jego wieloletniej karierze, był udział w rajdzie Paryż–Dakar. Jan Szczerbakiewicz reprezentował barwy Avii przez 20 sezonów.

– Pamiętam, jak w miejscu, gdzie dziś jest w Świdniku fontanna, był kiedyś ogromny dół – mówi Piotr Kostian, długoletni kibic Avii. – I oczywiście Szczerbakiewicz nie wytrzymał. Musiał sprawdzić, jak się wjeżdża i wyjeżdża z takiego dołu. Widocznie mu się to spodobało, bo to było przez pewien czas jego ulubione miejsce do jazdy.





***Na niezawodnym motocyklu
sportowym WSK – już przez***

***szereg kolejnych lat
Jan Szczerbakiewicz
uzyskuje tytuł Motorowego
Mistrza Polski w klasie
125 ccm.***





Jan Szczerbakiewicz (za kierownicą) w latach 1961, 1962 i 1963 został uznany za najlepszego rajdowca w Polsce

Zresztą Szczerbakiewicz często wybierał najbardziej dziwne miejsca do jazdy motocyklem.

– Kiedyś szedłem koło bramy północnej w zakładzie, kiedy usłyszałem motocykl – opowiada Mieczysław Kruk. – Patrzę, jedzie Jasio. Pokręcił się wkoło tym motocyklem i wpadła mu w oko wyśoka na kilka metrów przyzma. Na niej było wszystko: jakieś połamane drewniane skrzynki, druty, szkło, jakieś szyny. I chyba tego szukał. Zaraz wjechał na sam szczyt i zjechał. Ani razu się nie podparł. Cały Jasio.

Byli zawodnicy podkreślają, że na zawodach motocykl pana Jana można było zobaczyć już z daleka.

– On miał taką technikę jazdy, że omijał największe kałuże i przyjeżdżał na metę zawsze czystym motocyklem – mówi jego kolega, Jan Kopiel. – Dla mnie był najlepszym polskim motocyklistą w historii. Dziś już takich zawodników nie ma.

Pan Jan ostatni raz jechał motocyklem w 2010 r., kiedy był w Stanach Zjednoczonych.

– Nie wytrzymałem – śmieje się. – Ale te dzisiejsze motocykle są już zupełnie inne.

Mimo choroby (pana Jana czeka operacja biodra), były mistrz wciąż z błyskiem w oku wspomina lata, które poświęcił sportom motocyklowym.

– Na Sokole 600 ścigał się jeszcze mój wuj – opowiada. – W jednym z wyścigów wygrał niecodzienną nagrodę – żywego orła. Zmarł przed moim urodzeniem, ale razem ze starszym o 6 lat bratem byliśmy od dziecka zafascynowani motoryzacją. Po wojnie wyjechalśmy na zachód – do Lubania, ale już w 1950 r. zameldowaliśmy się w Świdniku. Romek

(brat) dostał tu mieszkanie. Już w Lubaniu miał swój motor, który mu podkradałem i jeździłem po polach. W sumie to on mnie nauczył jeździć.

Chyba zrobił to dość skutecznie, bo już w 1955 r. Szczerbakiewicz zdobył tytuł mistrza okręgu, a rok później – kraju.

– To były wspaniałe lata – wspomina z rozrzewaniem. – Byliśmy popularni, do dziś pamiętam nasz pierwszy zagraniczny wyjazd i smak niemieckiej lemoniady. Na sporcie nie dorobiłem się, ale nie jeździliśmy dla pieniędzy. Ale nagrody były. Przez wiele lat nie miałem w domu np. problemów ze sztukami. Cztery razy z rzędu wygrywałem jakiś rajd i cztery razy z rzędu główną nagrodą były właśnie sztuce. Podobnie jak zegarki. Kiedyś też organizator uparł się, żeby zwycięzca dostawał zegarek marki „Pobieda”. Ale na co mi było tyle zegarków? – śmieje się.

– W Polsce miał pan wielu konkurentów, jak np. Malca z Warszawy, a kto z Avii dorównywał panu umiejętnościami?

– My mieliśmy bardzo mocny zespół. Zdarzało się przegrywałem i z moim bratem i z Kmiecikiem. Dobry był także Gienek Rechul. To nie jest tak, że ja zawsze byłem najlepszy.

Piłkarz na motorze

Mało kto wie, że Jan Szczerbakiewicz miał także epizod związany z występem na wesołym miasteczku w tzw. beczce śmierci. Namówił go do tego Bogdan Jaświłko, który był jedną z najbardziej barwnych postaci Avii.



Sekcja motorowa Avii pod koniec lat 60. Od lewej: Jerzy Brendler, Jan Szczerbakiewicz, Jan Kopiel, Eugeniusz Rechul, Piotr Maciewicz, Kazimierz Mazurek, Stanisław Grześ, Janusz Komenda, Roman Szczerbakiewicz, Kryspin Kmiecik i Zbigniew Matysiak

Do legendy przeszedł jego wyczyn, kiedy spacerował się kilkaset metrów po balustradzie mostu na Wiśle w Warszawie.

– Jakby co, to umiem pływać – powiedział wtedy kolegom, którzy odradzali pomysł takiego „spaceru”. Ale nie było rady, nie dało się go powstrzymać. Na co dzień trenował piłkę nożną i występował z powodzeniem w ligowych meczach. Mieszkał w hotelu robotniczym razem z innym piłkarzem – Sławomirem

Nowakiem. Grał także w hokeja, boksował, ale jego największą pasją były motory. Zaprzyjaźnił się z Janem Szczerbakiewiczem. W Świdniku zakochał się. Ojciec wybranki miał wesołe miasteczko. Wyjechał z nią, ale motorów nie zdradził. W wesołym miasteczku miał swój 45-minutowy program. Jeździł z nim po całym kraju. W popisowym numerze kierował motocyklem z zawiązanymi oczami, do tego prawie w całkowitej ciemności. Nie zapomniał



Bogdan Jaświlko był wszechstronnym sportowcem. Nie tylko grał w piłkę, ale również w hokeja, pływał i ścigał się na motocyklach

jednak o swoim przyjacielu. Namówił go do jazdy w becze śmierci. Ale Szczerbakiewicz nie podzielał jego entuzjazmu. Po jednej rundzie w becze, kiedy omal się nie przewrócił, dał sobie spokój z cyrkowymi występami.

Jaświlko występował ze swoją beczką m.in. na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Tam też – zupełnie przypadkowo – znalazł się Krzysztof Komenda, również świdnicki motocyklista. Kiedy dowiedział się, że jego kolega ma występ – postanowił to zobaczyć.

– W pewnym momencie motocykl zaczął się palić – opowiada o zdarzeniu sprzed kilkudziesięciu lat. – A wkoło było pełno benzyny. Przestraszyłem się nie na żarty, a Bogdan zjechał spokojnie z beczki, wyjął gaśnicę i z kamienną twarzą ugasił płonący motocykl. Okazało się – i to ja odkryłem – że miał

pęknięty pływak. Z niego benzyna ciekła na niczym nieosłoniętą i gorącą rurę wydechową i po jakimś czasie zapalała się. Chciałem mu to szybko i po koleżeńsku naprawić, ale – ku mojemu zdumieniu – jemu wcale na tym nie zależało. „Niewinny” pożar tylko wzbudzał emocje u widzów. I o to chodziło. Przez naprawę popsułbym mu tylko widowisko – śmieje się pan Krzysztof.

Jaświlko występował potem w duecie z Czechem. Jego karierę zakończyła jednak przedwczesna śmierć. Zmarł, nie mając nawet 50 lat. Jego grób w Białymstoku odwiedza często były piłkarz i szkoleniowiec Avii – Czesław Krygier. Obydwaj pochodzą z tego samego miasta, a na tym cmentarzu pochowany jest ojciec pana Czesława.

Gienek. Po prostu Gienek

W 1965 r. do Świdnika przyjechał Eugeniusz Rechul. Miał wtedy 21 lat.

– Wcześniej mieszkalem w Krakowie – wspomina pan Eugeniusz. – Ojciec zajmował się m.in. tuningowaniem motocykli i samochodów. Naprawiał silniki, był znanym i świetnym fachowcem. Do tego ścigał się na motocyklach. To on mnie zaraził pasją do wszystkiego, co jest napędzane silnikiem, a zwłaszcza do motocykli.

Jako 19-latek dostał prezent od klubu: swój pierwszy motocykl. Tyle że pan Gienek musiał go sobie sam... złożyć. Mieścił się w kilku walizkach. Nic dziwnego, że do dzisiaj żaden motocykl nie ma przed nim tajemnic.



Młody Eugeniusz Rechul uwielbiał jazdę na jednym kole.
W ten sposób mógł przejechać całe lotnisko w Świdniku

Ale wróćmy do jego przyjazdu do Świdnika. Działacze Avii nie przyjechali po młodego Gienka bez odpowiedniego rozeznania. Doszły do nich wieści o młodym, dobrze zapowiadającym się wówczas zawodnikowi Hutnika Nowa Huta. Ojciec nie był zachwycony wyjazdem syna do Świdnika, ale ostatecznie Eugeniusz Rechul rozpoczął tu swoją karierę. Lubelszczyzna nie przywitała go ciepło. Pech chciał, że przyjechał w czasie zimy stulecia. Pan Gienek brnął w kilkumetrowych zaspach, żeby dotrzeć do celu.

– Początki były ciężkie – mówi. – Totalna amatorszczyzna. Nie było ani profesjonalnych motocykli, ani nowoczesnego sprzętu. Widać to nawet na starych, pożółkłych już fotografiach.

– Większość motocykli sami modyfikowaliśmy – tłumaczy E. Rechul. – Tu się przerobiło amortyzator, tam poprawiło wydech i jazda na wyścigi. Nikt wtedy nie myślał o kaskach czy kombinezonach. Jeździliśmy w ubraniach z brezentu, a na nogach – buty, tzw. saperki. Miały jedynie wzmacniane podeszwy i czuby. Ale dla mnie ten wyjazd i perspektywa zrobienia kariery to było jak bajka. Świat stał przede mną otworem. Człowiek był młody i chytry na sukces. A jak wygrałem najpierw Rajd Sudecki, a potem Tatrzański, to było spełnienie moich marzeń.

Rajdowcy, którzy przez wiele lat bronili barw Świdnika, do dzisiaj z błyskiem w oku opowiadają o tamtych wyścigach i zawodach.

– Proszę pana, 150 km na godz. na równiutkiej jak stół drodze, to potrafi każdy motocyklista – tłumaczy

Zbigniew Matysiak. – Ale niech spróbuje jechać wąziutką leśną ścieżką z prędkością 50 km/h, ocierając się o drzewa. My mieliśmy świadomość, że przy 30 km/h można było – przy uderzeniu głową o pień – pożegnać się z tym światem. Motocykl ważył wtedy nawet i 160 kg. Trzeba było mieć naprawdę krzepę i umiejętności, żeby na takim sprzęcie nie tylko szczęśliwie dojechać do mety, ale i w niezłym czasie.

– W porównaniu z rywalami z innych państw to sprzętowo byliśmy daleko w tyle – dodaje E. Rechul. – Ja sam, na Rajdzie Sudeckim woziłem ze sobą worki z wodą i polewałem co jakiś czas silnik, żeby go schłodzić. I mimo takich prymitywnych metod osiągaliliśmy sukcesy. My ten sport po prostu kochaliśmy i kochamy do dzisiaj.

Motocykliści nazywali swoje pierwsze stroje „barburami” – od nazwy Burberry, angielskiej firmy odzieżowej w tej branży. Najmodniejszy był wtedy kolor czerwony takiego stroju i obowiązkowo koszula w kratę. Tak też jeżdżono podczas pierwszych wyścigów motocyklowych. Zawodnicy mieli też rękawice początkowo z irchy, ale nie było to najlepsze rozwiązanie. Wielu nakładało po prostu zwykłe rękawice, takie jakich używa się w warsztatach.

W latach 1952–1953 rajdy sponsorowała organizacja Ligi Przyjaciół Żołnierza (od 1962 r. nosiła nazwę Ligi Obrony Kraju). Liga zrzeszała także zawodników, którzy wtedy w dość prymitywnych warunkach przygotowywali motocykle do startów. Jednym z ulubionych miejsc, gdzie spotykali się rajdowcy, była jedyna w tym czasie kawiarnia

w Świdniku: „Ja i Ty”. Mieściła się w miejscu, gdzie dziś jest punkt handlowy Telewizji Kablowej Świdnik przy ul. Wyszyńskiego.

Motory i wyścigi były w Świdniku bardzo popularne. Także wśród kadry zarządzającej zakładem.

– Taki np. Władysław Janik, dyrektor naczelny WSK, to był dopiero wspaniały człowiek – mówi pan Gienek. – Pamiętam, jak kiedyś jechaliśmy nyską do Paryża na zawody. Po drodze złapaliśmy gumę. I niech pan sobie wyobrazi, że jednym z pierwszych,



Eugeniusz Rechul wielokrotnie stawał na najwyższym podium. A wcale nie miał z górki...



Zbigniew Matysiak do dzisiaj wspomina rajdy podczas siarczystych mrozów, jak ten przy temperaturze -20°C

który zakasał rękawy i wziął się za zmianę koła, był nie kto inny, jak właśnie Janik.

Takimi właśnie nyskami jeździli na większość zawodów. Najpierw woził ich Waldemar Hackenberg, potem Lucjan Paciejewski, a na koniec Tadeusz Pracownik.

– Pamiętam, że Gienio zawsze chodził swoimi ścieżkami, był zawsze fair – wspomina Mieczysław

Kruk. – Niby królem motocykli był Szczerbakiewicz, ale Gienek mu dorównywał umiejętnościami. Zresztą obaj byli znakomitymi zawodnikami.

Liczne urazy i kontuzje w końcu wyeliminowały E. Rechulę ze sportu.

Jak Komenda zwał ormowcom

Motocykliści byli w Świdniku bardzo popularni. Trudno ich było zresztą nie zauważyć. Młodzi, wysportowani, na lśniących motorach wzbudzali powszechny podziw. Czasami fantazja ich ponosiła, kiedy wjeżdżali lub zjeżdżali po schodach w najbardziej nietypowych miejscach, zresztą nie tylko w Świdniku. Niektórym zdarzało się wjechać po stoku na lubelski Zamek i z niego zjechać. Milicja próbowała poskromić niesfornych motocyklistów, brylował w tym zwłaszcza milicjant, którego nazywali „Dyzio”, ale niewiele mogli zrobić. Słynny „Dyzio” był – jak się potem okazało – przyjacielem Jana Szczerbakiewicza.

– Zналиśmy się bardzo dobrze – mówi pan Jan. – Przesympatyczny człowiek, były partyzant. Kiedyś, jak widział, że jadę ul. Świerczewskiego w Lublinie, to wstrzymał ruch. Był i służbistą, i kawalerzem. – Oczywiście, zdarzało się, że któryś przejechał ulicą na jednym kole, ale nie było to nagminne – śmieje się Krzysztof Komenda, jeden z „niesfornych” (tak jak i jego starszy brat Janusz, który był m.in. dwukrotnym mistrzem kraju). – W Świdniku milicja się nas tak bardzo nie czepiała, gorzej z ormowcami.



Krzysztof Komenda, wynalazca i aktywny członek aeroklubu po zakończeniu kariery został sędzią sportów motocyklowych

Ci próbowali kiedyś go zatrzymać w miejscu, gdzie teraz jest tunel. Młody Komenda wyminął funkcjonariuszy, dodał gazu i wjechał z impetem na ul. Kolejową. Szybko schował motor, wbiegł do baru, gdzie do dziś mieści się m.in. modelarnia i zdążył się jeszcze przebrać w fartuch, kiedy do środka wbiegli ormowcy.

– Widział pan motocyklistę? – spytali go.

– Tak, pojechał w tamtą stronę – powiedział. I wskazał ręką w kierunku torów.

To samo powiedział przypadkowy przechodzień, którego po chwili zaczepili mundurowi. A to był znajomy pana Krzysztofa, który domyślił się, że w tej okolicy, o tej porze, to tylko Komenda może zwiewać ormowcom.

Pan Krzysztof, niewiele brakowało – po jednym z wyścigów – a wziąłby udział w bardzo egzotycznym rajdzie w Mongolii. Wziąłby, gdyby nie jego

dość dobry... słuch. Udało mu się przypadkowo usłyszeć rozmowę dwóch działaczy. Planowali między sobą, że po przyjeździe do Mongolii – zamiast na trasę rajdu – pójda na targ, żeby kupić jak najwięcej kozuchów. Krzysztof Komenda nie miałby nic przeciwko temu, gdyby nie fakt, że kozuchy chcieli kupić m.in. za jego – należną mu, o czym nie wiedział – dietę.

– Pomyślałem sobie wtedy, że jak to, ja mam gdzieś po piachach jeździć, a oni będą na mnie interesy robić? I zrezygnowałem z wyjazdu. Po jakimś czasie powiedziałem im, dlaczego. Głupio im pewnie do dzisiaj.

Dawaj dętkę!

Podczas pierwszych rajdów organizatorzy nie zwracali zbytnej uwagi na zabezpieczenie trasy wyścigu czy też zapewnienie – tak jak dzisiaj – pomocy medycznej. Niewiele lepiej było też z pomocą techniczną. Zdarzało się, że podczas takiego rajdu – na trasie przejazdu można było natknąć się na furmankę albo na pieszego.

– Pamiętam, jak na jakimś rajdzie Szczerbakiewicz złapał gumę – opowiada Krzysztof Komenda. – Dojechał jakoś na tym „kapciu” do dzisiejszego, motocyklowego pit-stopu. A był to kocyk rozłożony na trawie i pijani jak bela – jak się później okazało – serwisanci.

– Dętka! Dętka! – krzyczał już z daleka Szczerbakiewicz, żeby mechanicy zdążyli wszystko przygotować.



Avia w latach 70. Na parkingu przy WSK. Od lewej: Jacek Iwanicki, Jan Bucior, Eugeniusz Rechul, Edward Pranagal, Tadeusz Bucior, Wiesław Doroba, Jerzy Radomski, Zbigniew Morawski, Ryszard Siuda, Ryszard Musyl, Tadeusz Pracownik (kierowca) i Kryspin Kmiecik, kierownik sekcji motorowej

– Jaka dętka, o co chodzi? – wybełkotał ten, który jako jedyny miał jeszcze siłę wstać.

Gdyby nie pomoc Komendy, który pożyczył mu swoją dętkę (wbrew regulaminowi zawodów), Szczerbakiewicz tego rajdu prawdopodobnie by

nie ukończył albo dotarłby do mety na dalekiej pozycji.

Jak podkreślają zawodnicy, w rajdach czy wyścigach – oprócz umiejętności – trzeba było mieć też dużo szczęścia.

– Co z tego, że ktoś zrobił jednego dnia wspaniały wynik, jak drugiego motor mu nie odpalił – mówi Zbigniew Matysiak. – A na odpalenie silnika była minuta. Jeśli w tym czasie motor nie odpalił, to odejmowano punkty i to była strata trudna do odrobienia.

Pod koniec lat 70. ubiegłego wieku rajdowcy Avii ścigali się dwoma zespołami. W zespole fabrycznym, którym opiekował się Roman Szczerbakiewicz, startowali m.in.: Krzysztof Serwin, Edward Pranagał, Alfred Polisiakiewicz i Ryszard Siuda. W drużynie klubowej występowali nadal m.in. Eugeniusz Rechul i Andrzej Ciepiał. Opiekował się nimi Wiesław Dorożba. W wyścigach ulicznych rywalizowali natomiast Stanisław Grześ i Ryszard Wierzchowski.

Zbigniew Matysiak do dzisiaj wspomina swojego wychowanka – Zdzisława Knapa, który mógł w tym sporcie wiele osiągnąć. Niestety, los chciał inaczej.

– To był dobry zawodnik – mówi pan Zbigniew. – Nie potrafił się jednak odnaleźć w życiu. Został zamordowany, a jego zwłoki odnaleziono na budowie Politechniki Lubelskiej.

Zbigniew Matysiak do dziś jest uważany za największego dowcipnisia w świdnickim zespole. Nikt inny tylko on wpadł w Kazimierzu na pomysł, żeby przenieść mikrusa (polski samochód z końca lat 50.) kolegi na taras słynnej restauracji Esterka.

Serwinowie na motorze i rowerze

Pod koniec lat 70. zaczęło być głośno o nowej gwiazdzie świdnickich motocyklistów – Krzysztofie Serwinie. W 1979 r. – jako 23-latek – wystartował

w mistrzostwach Europy. I pokazał, co potrafi. Na 100 startujących zawodników zajął wysokie, siódme miejsce. W tym samym roku Serwin wziął udział w sześciodniówce w Niemczech. Tygodnik „Sportowiec” napisał wówczas, że gdyby w tej ekipie było sześciu Serwinów, to można by myśleć o pierwszym miejscu. To świadczy o klasie zawodnika Avii.

Zaczynał na motocyklu, którego dostał „w spadku” po starszym bracie – Jerzym. To on zaczął jako pierwszy jeździć wyczynowo. Krzysztof dopiero zaczynał. Jako pierwszy na jego talencie poznał się Roman Szczerbakiewicz.

– Jutro masz przyjść na trening – usłyszał od niego pewnego dnia.

Wkrótce dostał klubowy motocykl i o Serwinie było coraz głośniej.

– Na początku pomagał mi trochę Jasio Szczerbakiewicz i Gienek Rechul – mówi pan Krzysztof. – Gienek wstawił się kiedyś za mną w klubie i dostałem lepszy motocykl. Niedługo potem byłem już w kadrze Polski.

Krzysztof Serwin może się pochwalić tym, że jako jeden z nielicznych motocyklistów ukończył aż 9 sześciodniówek, najważniejszych imprez motocyklowych na świecie. W 1984 r. zdobył tytuł wicemistrza świata. Trzy lata później doznał groźnej kontuzji barku. Ale z motocyklem się nie rozstał. W 2003 r. znów wrócił do sportu. I po 15 latach przerwy w startach uplasował się w pierwszej dziesiątce w klasyfikacji generalnej mistrzostw kraju. Ten wyczyn powtórzył rok później.



Krzysztof Serwin przez wiele brał udział w najważniejszych imprezach motocyklowych na świecie

Krzysztof Serwin ma godnych następców. Jego syn, Karol Serwin w trialu rowerowym nie ma sobie równych w kraju. Był m.in. mistrzem Europy seniorów i dwukrotnym mistrzem świata w tej dyscyplinie. W trialu starowali także dwaj inni Serwinowie: Remigiusz (był wicemistrzem Polski juniorów) i Igor.

Dorobowie – od seniora do juniora

To nazwisko jest dobrze znane kibicom sportów motorowych. Przygodę ze sportem i zamilowanie do motocykli rozpoczął senior Wiesław Doroba, ojciec Grzegorza i Wojciecha. Wiesław Doroba przez wiele lat był zawodnikiem oraz długoletnim szkoleniowcem sekcji motocyklowej klubu. Jako zawodnik wielokrotnie zdobywał tytuły indywidualnego mistrza Polski w rajdach oraz wiele tytułów drużynowych. Startował zarówno w kraju, jak i za granicą. Zanim zapalał miłością do motocykli, wcześniej uprawiał wiele dyscyplin sportowych: lekkoatletykę, hokej na trawie, tenis. Odnosił sukcesy w kolarstwie: m.in. w Wyścigu Ziemi Lubelskiej i Wyścigu Dookoła Polski.

Grzegorz Doroba, starszy syn Wiesława, był zawodnikiem sekcji motocyklowej i specjalizował się w rajdach obserwowanych i trialu. W swojej karierze zdobył wiele tytułów klubowego mistrza Polski. Indywidualnie w mistrzostwach Polski wywalczył piąte miejsce w grupie A, czyli dwudziestu najlepszych rajdowców w kraju. W latach 1984–1987 był członkiem kadry narodowej i brał udział w mistrzostwach świata oraz Pucharze Narodów. Jest jednym z twórców MotoStrefy WSK – izby pamięci świdnickiej wueski



Wiesław Doroba XIX Rajd Podhalański, 4 VI 1972 r.

oraz autorem monografii poświęconej motocyklom produkowanym w Świdniku.

Najmłodszym i najbardziej utytułowanym zawodnikiem w rodzinie był Wojciech Doroba. Już jako junior osiągnął wiele sukcesów w kraju i za granicą. Wielokrotnie wygrywał z zawodnikami na motocyklach z większymi silnikami. Z uwagi na jego sukcesy ówczesny minister komunikacji wydał specjalną zgodę na wcześniejsze wydanie mu prawa jazdy, by mógł on startować w zawodach na sportowym motocyklu z prawdziwego

zdarzenia, a Zarząd Główny Polskiego Związku Motorowego nie szczędził pieniędzy na zakup dla niego specjalnych motocykli najlepszych światowych firm.

W latach 80. ub. wieku Wojciech Doroba był najlepszym polskim zawodnikiem na mistrzostwach świata w motocyklowym trialu. Był filarem kadry

narodowej i wieloletnim reprezentantem Polski. Brał udział w mistrzostwach świata zarówno indywidualnych, jak i Trial des Nations. Szesnaście razy sięgał po tytuł indywidualnego mistrza oraz wicemistrza Polski w rajdach motocyklowych. Brał również udział z plebiscytach na najlepszego sportowca Lubelszczyzny.



Grzegorz Doroba na Mistrzostwach Świata w Myślenicach, 1985 r.

Zmierzch motocykli

Mimo licznych sukcesów, medali, tytułów nad sekcją zaczęły się jednak z czasem gromadzić ciemne chmury. Tak w 1979 r. pisał „Sztandar Ludu”:

W związku z planowaną likwidacją produkcji motocykli w Świdniku, warto chyba już w tej chwili zastanowić się nad

przyszłością sekcji motocyklowej Avii. Szkoda bowiem, aby został zmarnowany dotychczasowy dorobek, na który pracowano przez wiele lat. [...]

Byli zawodnicy zgodnie przyznają, że największe sukcesy odnosili w latach 1960–1975. Potem nastąpiła inna epoka i teraz żyją już tylko wspomnieniami...



Dużą popularnością cieszyły się także zmagania, w których brali udział motocykliści amatorzy z WSK – i nie zawsze sobie radzili...



Klubowe nyski. To nimi rajdowcy jeździli na zawody, a motocykle były przewożone na specjalnych przyczepkach zrobionych w WSK



Rok 1981. Zawodnicy sekcji motocyklowej FKS Avia Świdnik (stoją od lewej): Jan Bucior, Eugeniusz Rechul, Tadeusz Bucior, Wiesław Doroba, Ryszard Siuda, Edward Pranagal, Ryszard Musyl



Ostatnia ekipa motocyklowa Avii, rok 1986 (stoją od lewej): Edward Pranagal, Wiesław Doroba, Grzegorz Doroba, Piotr Trała, Wojciech Doroba, Ryszard Siuda, Tomasz Zawada, poniżej: Paweł Pranagal, Tomasz Pikulski, Józef Drozd



Pływanie

Sekcja pływania w Avii do 1969 r. skupiała bardziej grupę amatorów, którzy zaczynali od pływackich zawodów na rzekach, aniżeli tworzyła profesjonalną drużynę. Warto jednak wspomnieć, że istniały w tym czasie trzy sekcje: pływania, skoków do wody i piłki wodnej. Pierwszym instruktorem pływania był Janusz Moniak, później szkoleniem zajęli się także Elżbieta Muszka, Ryszard Lipiński i Konrad Wąsik. Z otwarciem krytego basenu (22 lipca 1969 r.) pływanie w Avii nabrało rozmachu. W klubie pojawił się Marian Raczyński, trener, który przyjechał na Lubelszczyznę z Opola. Tam trenował pływaków. A jednym z motywów wyjazdu był fakt, że na pływalni w Opolu... zawalił się dach. Do Świdnika przyjechał m.in. dzięki zaangażowaniu Witolda Wiechnika (ojca pływaków – Zbigniewa i Henryka) oraz Michała Habdasa, ówczesnego kierownika sekcji.

– W Świdniku była wówczas dobra atmosfera do trenowania – wspomina. – Władze wojewódzkie chciały, żeby w każdym mieście, gdzie są kryte baseny, były także sekcje pływackie. A Avia miała wówczas bazę sportową, której mogło pozazdrościć

niejedno – nawet większe od Świdnika – miasto. Załazek profesjonalnej sekcji był, należało więc pomyśleć o szkoleniu na szerszą skalę. Miasto – przy pomocy klubu – wprowadziło obowiązkową naukę pływania dla najmłodszych. To przez wiele lat przynosiło efekty. Do sekcji trafiali najlepsi.

Pierwsza selekcja zawodników

W 1969 r. odbyła się już pierwszy nabór do sekcji. Po nim z 30-osobowej grupy zostało 12 pływaków. Wśród nich wyróżniał się szczególnie Bogdan Adamkowski, który myślał nawet o występie w 1972 r. na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium. Ale zamiast na igrzyska trafił na dwa miesiące do aresztu. Dziś opowiada o tym bez emocji, ale wtedy nie było mu do śmiechu. A wszystko zaczęło się po zawodach z okazji 50-lecia Polskiego Związku Pływackiego.

– Mieliśmy bankiet w Pałacu Kultury i Nauki – wspomina. – Jeden z działaczy, Gotfryd Gremłowski, wyszedł na świeże powietrze. Tam zaczęło go dwóch mężczyzn. Jak się później okazało, byli to ubecy po cywilnemu. Doszło do szarpaniny. Ktoś

krzyknął, że biją Gremłowskiego i wszyscy wybiegliśmy, żeby go bronić. Po chwili podjechały nieoznakowane radiowozy. My przez cały czas myśleliśmy, że mamy do czynienia z grupą chuliganów. Oni wszyscy byli po cywilnemu. Zatrzymali kilku z nas. Zanim się wszystko wyjaśniło, przesiedziałem dwa miesiące w Białolece. Przez to nie wziąłem udziału m.in. w prestiżowym Grand Prix. Żeby było śmieszniej, to zatrzymali mnie w dniu moich urodzin.

Adamkowskiego do pływania namówił Kazimierz Pawlak, nauczyciel wychowania fizycznego i pierwszy w historii absolwent warszawskiej AWF ze Świdnika. – Wspaniały człowiek – mówi pan Bogdan. – Wiele mu zawdzięczam. W barwach Avii pływałem od 1967 do 1974 r.

Bogdan Adamkowski wielokrotnie zdobywał medale dla Avii. Najbardziej pamięta dwa wyścigi: pierwszy – o mistrzostwo CRZZ na lubelskiej hali MOSiR.

– Najpierw płynąłem na 400 metrów – wspomina były zawodnik świdnickiego klubu. – Zaraz potem był start na 1500 metrów. Faworytem był kolega z Anilany Łódź i rzeczywiście miał nade mną przez cały czas sporą przewagę. Ale w pewnym momencie złapałem drugi oddech. Zacząłem go gonić. Słyszałem, jak publiczność zaczęła mnie głośno dopingować. Mimo że miał jakieś pół basenu przewagi, udało się go dogonić i wygrałem. Drugi pamiętny wyścig – też na 1500 m – miał miejsce podczas mistrzostw Polski. Na sąsiednim torze startował bardzo dobry zawodnik. Był faworytem. Po mniej więcej 800



Świdnik ma odkrytą pływalnię. Jej pierwszym kierownikiem był Janusz Moniak (z lewej). Obok – Bolesław Szałach, sekretarz Ogniska TKKF Świt

metrach zauważyłem kątem oka, że sąsiedni tor jest pusty.

– Pomyślałem, że albo coś poplątałem przy nawrocie, albo mi tak dobrze idzie – śmieje się pan



Mistrzostwa okręgu na basenie Avii w 1970 r.

Bogdan. – Okazało się jednak, że rywala najprawdopodobniej złapał skurcz i zakończył wyścig.

Pierwszy „złotek”

Pierwszy, historyczny medal dla pływaków Avii zdobył w 1970 r. Ryszard Bukszyński (brąz na 50 m stylem dowolnym).

Wkrótce do Adamkowskiego dołączyli kolejni zawodnicy, którzy z roku na rok robili coraz większe postępy. Byli to: Zbigniew Wiechnik, Kazimierz Sinicki i Zdzisław Stypiński. Ta grupa wiodła prym na ogólnopolskich arenach. Niecodziennego wyczynu dokonał m.in. Zbigniew Wiechnik. Na II Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży w 1971 r. na siedem możliwych startów aż siedmiokrotnie stawał na najwyższym podium! To rekord, którego na Lubelszczyźnie nie udało się do dziś nikomu pobić.

Cała czwórka (Adamkowski, Wiechnik, Sinicki i Stypiński) wielokrotnie wygrywała w sztafecie 4 × 200 m stylem dowolnym – również w zawodach międzynarodowych.

Pierwszy rekordzista

Andrzej Miciul w 1969 r. w kategorii młodzików pobił rekord Polski na 400 m stylem zmiennym. Był to pierwszy, historyczny rekord należący do pływaków Avii.

Obowiązkowa nauka pływania i powstanie klas sportowych o tym profilu przyniosło wkrótce efekty. Do sekcji systematycznie dołączały kolejne talenty:

Ewa Madej, Mariola Jędrasik, Jacek Miciul i Waldemar Wasil.

O pływakach ze Świdnika było coraz głośniej. Avia była bliska reprezentowania klubu przez swojego zawodnika na olimpiadzie. Aleksandra Miciul, która wystąpiła w Sydney, broniła jednak już barw Zielonej Góry, gdzie wyjechała tuż przez igrzyskami.

Zdzisław Stypiński

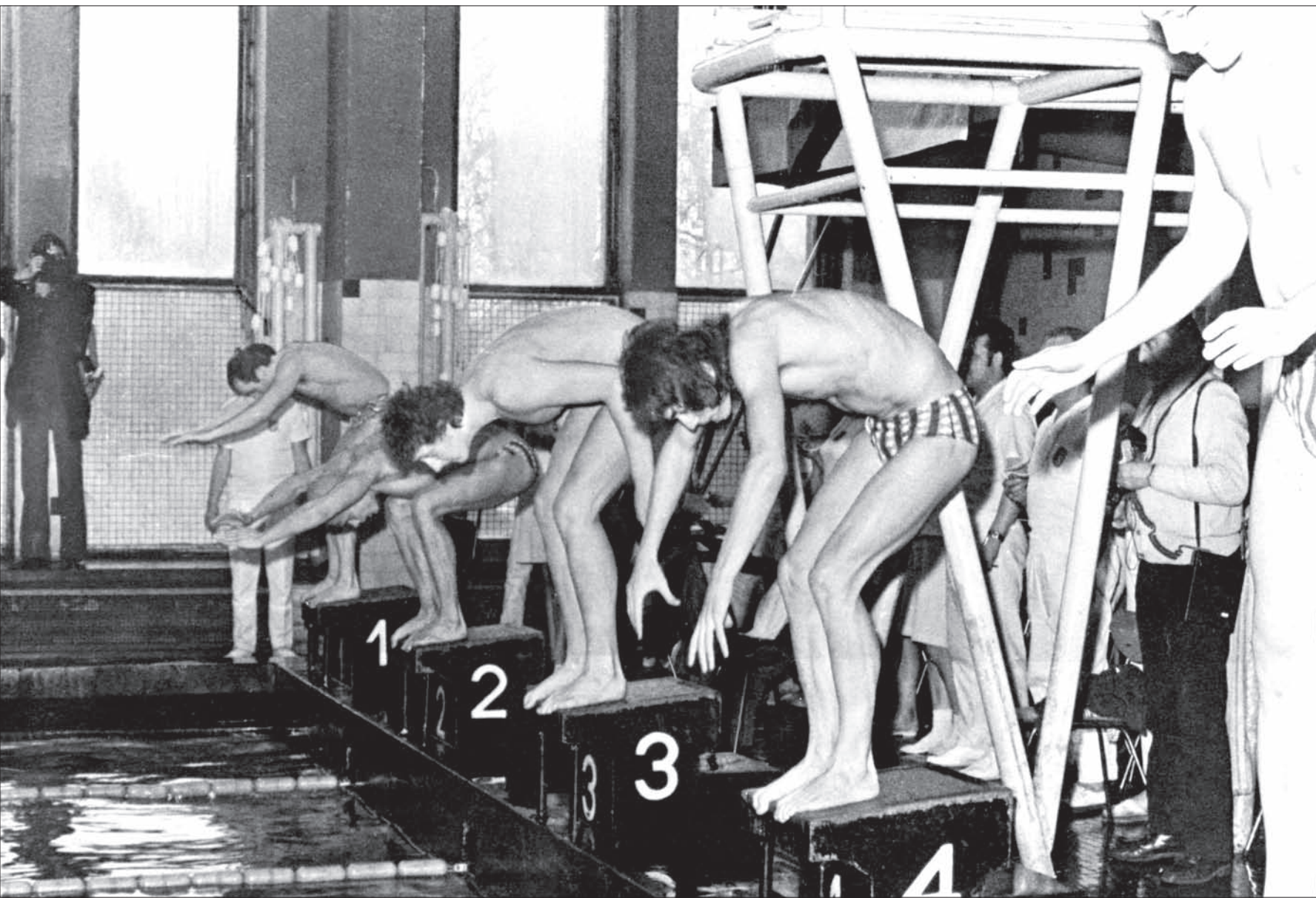
Zdzisław Stypiński jest członkiem tej grupy pływaków Avii, która w połowie lat 70. należała do najsilniejszych w Polsce. Ale droga do sukcesów nie była łatwa...

– Jak zaczynałem pływać, to jeszcze nie było krytego basenu – wspomina pan Zdzisław. – Mieliśmy jednak odkryty basen z podgrzewaną wodą, a takich wtedy w Polsce było niewiele. Przez wiele lat do Świdnika przyjeżdżały na zgrupowania zespoły z całej Polski.

Gorzej było w zimie. Pływacy Avii trenowali na sali bokserskiej, a na pływanie dojeżdżali do Ostrowca Świętokrzyskiego, który miał już wcześniej od Świdnika kryty basen.

– Trenowaliśmy dwa razy dziennie – dodaje Z. Stypiński. – Zaraz po lekcjach i drugi raz wieczorem. W domu byliśmy zazwyczaj około 21. Klub dbał o nas. Dostawaliśmy obiady w „Lotniczej”, wcześniej też w „Świdniczance”.

Zdzisław Stypiński razem z Kazimierzem Sinickim i Zbigniewem Wiechnikiem reprezentowali w 1973 r. kadrę Ludowego Wojska Polskiego, mimo



Zdzisław Stypiński (drugi z prawej) na zawodach w Krakowie



Pływacy Avii w latach 60. Od lewej, górny I rząd: trener Janusz Moniak, Wiesław Makarewicz, Bogdan Adamkowski, Jan Nastaj, Krystyna Koziaara; II rząd: Anna Wilk, Zofia Stopa, Leszek Krusiński, Ryszard Sinicki; III rząd: Teresa Stopa, Zbigniew Wiechnik, Teresa Szymanowska, Wojciech Zych; IV rząd: Jolanta Konieczna, Grażyna Rubach

że w wojsku wtedy nie byli. A było to tak: do Stypińskiego zadzwonił jakiś oficer i spytał, czy nie chciałby razem z Sinickim i Wiechnikiem pojechać do Żyliny (wtedy Czechosłowacja) na zawody z udziałem pływaków z klubów pionu wojskowego.

– Nie wiem, dlaczego wybrali nas, z Avii – mówi pan Zdzisław. – Ale zgodziliśmy się.

Na zawodach spisali się bardzo dobrze. Zajęli w sztafecie trzecie miejsce, ale później ich szybko zdyskwalifikowali. Powód? Zawodnik z ich zespołu tak się cieszył z sukcesu, że nie czekając aż się zakończy wyścig pozostałych drużyn – wskoczył do basenu. A tego zabraniały przepisy.

Nie obyło się jednak bez zgrzytu. Na bankiecie jeden z dowódców najpierw bacznie im się przyglądał, a potem burczał pod nosem:

– Co to za wojsko? Kto to widział, żeby takie długie włosy nosić?

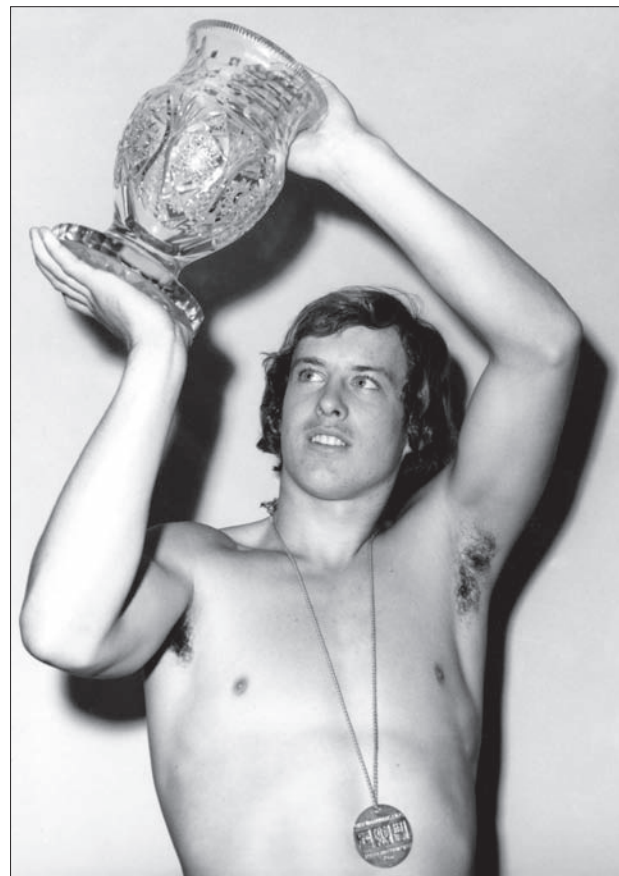
Stypiński zakończył karierę w 1976 r. Ale do sportu powrócił. I oczywiście do Avii. Od 2006 r. znów można go spotkać na basenie. Szkoli młodzież.

Bracia Siniccy

W latach 70. i 80. ubiegłego wieku w Avii pływały – z mniejszymi lub większymi sukcesami – całe rodziny. Wśród nich byli m.in. bracia Siniccy. Pierwszy zaczął trenować Ryszard, potem Marek. I obydwaj pochwaliли się trenerowi Konradowi Wąsikowi, że w domu mają jeszcze jednego brata – Kazia. – To go przyprowadźcie – powiedział trener. I w ten sposób trio Sinickich przez wiele lat reprezentowało barwy Avii.

– Po szkole od razu biegliśmy na pływalnię – wspomina Kazimierz Sinicki. – Potem zaczęły się coraz bardziej profesjonalne treningi, pływalismy już dwa razy dziennie. I przyszły wyniki.

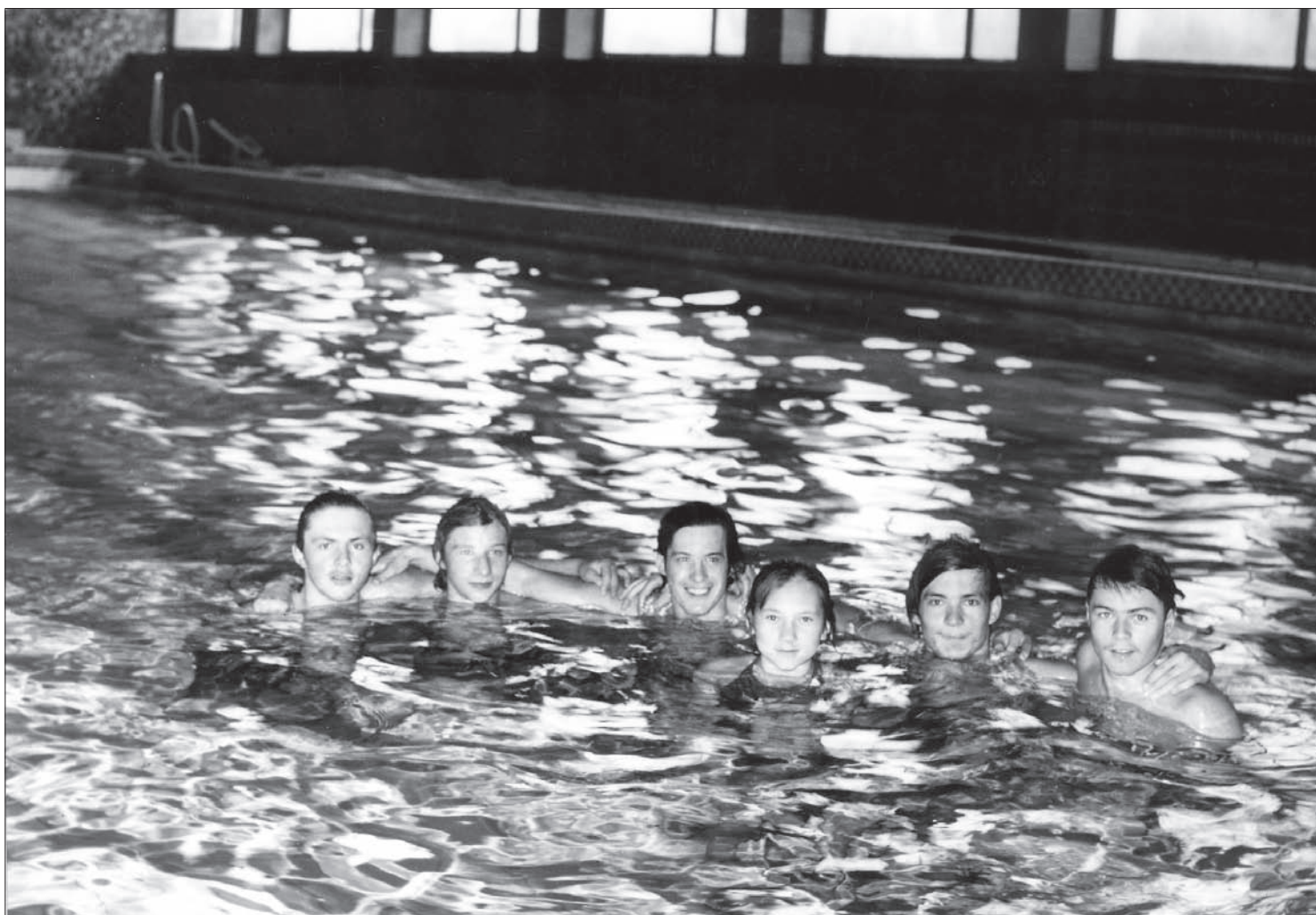
Własna baza treningowa, zaangażowanie klubu i WSK oraz duża popularność pływania sprawiły, że



Kazimierz Sinicki wielokrotnie miał w swojej karierze powody do takiej radości. Znowy wygrał...



Pływacka grupa Avii w 1971 r. Przez następne lata zdobyli dla barw Avii ponad 100 medali. Na zdjęciu m.in.: wielokrotni medaliści mistrzostw kraju: Małgorzata Górską, Piotr KonstanciuK, Eliza Ciesielska, Dariusz Zach, Bogdan Frącz, Waldemar Wasil, Dariusz Psuja, Mariola Jędrasik, Robert Klin, Marzena Juszczynska, Ewa Madej, Andrzej Barwiał oraz Ewa Czerwińska i Małgorzata Stroińska. U góry trener Konrad Wąsik



Rano szkoła, potem basen, a w weekendy zawody i tak przez wiele lat. Od lewej: Andrzej Miciul, Andrzej Sztefek, Kazimierz Sinicki, Eliza Ciesielska, Zdzisław Stypiński i Marek Kowalczyk



Zbigniew Wiechnik należy do najbardziej utytułowanych zawodników sekcji pływackiej Avii

Avia w tej dyscyplinie brylowała w kraju. Niewiele klubów w Polsce stać było wtedy na wyjazdy na zagraniczne zgrupowania. A pływacy Avii przez wiele lat wyjeżdżali m.in. w czerwcu na obóz w bułgarskie góry. Tam największy problem mieli ze zbyt gorącą wodą w basenie, który był zasilany termalnymi źródłami. Bułgarzy próbowali nawet wodę schładzać, ale z mizernym skutkiem. Mimo wysiłków gospodarzy zawodnicy wciąż musieli trenować w zbyt ciepłej wodzie.

Z tych wyjazdów niektórzy wracali nie tylko z lepszą formą, ale i z... grubszym portfelem. Bułgarzy chętnie kupowali wtedy od zawodników plusz. Na tym materiale była niezła przebitka. A plusem było to, że z czasem nie musieli specjalnie szukać chętnych na ten deficytowy u nich towar, bo wcześniej mieli na niego konkretne zamówienia.

W tym czasie tzw. suchą zaprawą pływaków zajmował się Kazimierz Pawlak, który na co dzień był nauczycielem wf.

Zawodnicy, którzy pływali w latach 70., na pewno do dziś wspominają wyjazd w roku 1972 do Genui. Oprócz wspomnień związanych ze zwiedzaniem muzeum z prochami Krzysztofa Kolumba i fabryki czekolady pamiętają z pewnością zawody, które odbywały się o... północy.

– Pływaliśmy przy zapalonych jupiterach – wspomina Kazimierz Sinicki. – To były niesamowite wrażenia.

Jak oszukali Zbigniewa Wiechnika

Rok 1976 roku Igrzyska Olimpijskie w Montrealu. Marzenia i cel każdego sportowca, także młodego

go wtedy 21-letniego wychowanek Avii, ale wówczas już zawodnika AZS AWF Warszawa – Zbigniewa Wiechnika. W zimie uzyskał minimum olimpijskie. Jedzie na igrzyska!

– To było niesamowite przeżycie – wspomina dziś pan Zbigniew. – Kiedy dostałem telegram, że mam się zgłosić do przymiarki olimpijskiego garnituru, to nie przypuszczałem, że kolejne miesiące będą dla mnie koszmarem.

Władze sportowe i urzędnicy doszli do wniosku, że w Montrealu może być za wielu pływaków. Tłumaczyli to m.in. zbyt dużymi kosztami. W końcu zapadła decyzja: pływacy – w tym Wiechnik – muszą jeszcze raz osiągnąć minimum olimpijskie. Ale to nie koniec.

– Dali nam trzy szanse na dokonanie tego – mówi Z. Wiechnik. – Wyśrubowali do tego takie czasy, żeby nikomu nie udało się uzyskać tego minimum. Poza tym wszyscy byliśmy w innej fazie przygotowań.

Za pierwszym razem – według zmienionych przez działaczy reguł – Wiechnikowi nie udało się uzyskać minimum. Zrobił to za drugim razem. Płynął sam. I zaskoczył wszystkich, a najbardziej chyba działaczy. Osiągnął ponownie minimum i do tego pobił dotychczasowy rekord Polski. Po drugiej próbie kolejnych już nie było. Zostały odwołane. Wydawało się, że igrzyska dla byłego pływaka Avii są już pewne. Mimo to pan Zbigniew na igrzyska i tak nie pojechał. Tak zadecydowali panowie zza biurka.

– Do dzisiaj, a minęło już kilkadziesiąt lat, nie mogę się pogodzić z faktem, że mnie oszukano

– mówi. – Czary goryczy dopełnił fakt, że co kilka tygodni była zmiana decyzji. Raz jadę, raz zostaję. Kiedy już zapadła ostateczna decyzja, że zostaję w kraju, to zadzwonili z Komitetu Olimpijskiego, że mam do odebrania uszyte już stroje. Ale, jeśli chcę je odebrać, to muszę za nie... zapłacić. Pewnie kupiłbym na pamiątkę, ale koszt zakupu był nie na moją, studencką wtedy kieszeń. To, co mnie spotkało, mogę nazwać jednym słowem: to było świństwo.

Zbigniew Wiechnik zaczynał swoją karierę w 1967 r. u trenera K. Wąsika. 12-letni wtedy Zbyszek miał blisko na basen. Musiał tylko przejść przez tory. Razem z nim trenował o dwa lata młodszy brat – Henryk. Obaj wcześniej przyrzekli rodzicom, że będą uważać na przejściu przez tory kolejowe. Do dzisiaj wspomina, że starał się odrabiać lekcje przed wieczornym treningiem. To przez chlor, którym dezynfekowano wodę w basenie.

– Oczy po tym tak piekły, że po treningu nakładałem w domu przeciwsłoneczne okulary – wspomina Zbigniew Wiechnik. – Dopiero wtedy można było obejrzeć coś w telewizji, ale o czytaniu książki nie był mowy.

Wówczas nikt nie słyszał o okularach pływackich. Jako jeden z pierwszych – w późniejszych latach – używał ich Bogdan Adamkowski.

Razem z nim trenował o dwa lata młodszy brat – Henryk.

Wiechnik, startując w barwach Avii, zdobył dla świdnickiego klubu 26 medali mistrzostw Polski (11 złotych, 7 srebrnych i 8 brązowych) zdobył



Rewelacją II Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży był pływak świdnickiej Avii Zbigniew Wiechnik, wychowanek trenera Mariana Raczyńskiego. Na maksymalną możliwą ilość 7 startów zdobył siedem złotych medali. Na zdjęciu Zbigniew Wiechnik na najwyższym podium (CAF – Zbigniew Jaśkiewicz)

55 medali Mistrzostw Polski, w tym 26 dla świdnickiej Avii (11 złotych, 7 srebrnych, i 8 brązowych). Jest 14-krotnym rekordzistą kraju.

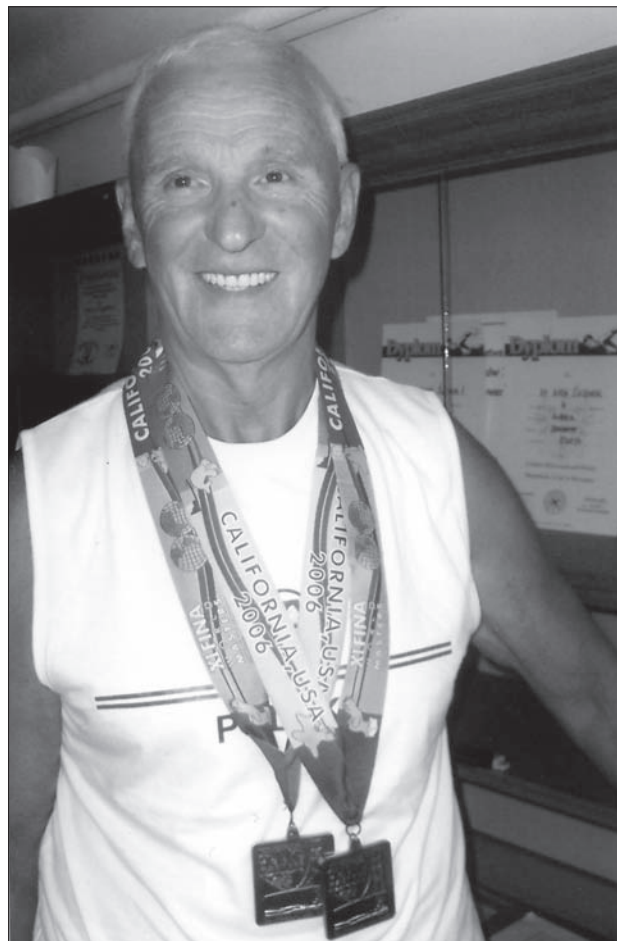
Po zakończeniu sportowej kariery – w 1978 r. – pracował m.in. jako trener pływania w Avii (jest absolwentem warszawskiej AWF), a w 2000 r. założył szkołę pływania. Uczy także w podlubelskiej Kalinówce.

Byli zawodnicy sekcji pływackiej podkreślają, że wśród wielu szkoleniowców w Avii największe zasługi ma Marian Raczyński. Podobnie uważa Zbigniew Wiechnik.

– Niech pan sobie wyobrazi taką sytuację – zaczyna były pływak. – Wracamy wagonem sypialnym ze Stargardu Szczecińskiego: trener Raczyński, Bogdan Adamkowski i ja. Były dwa łóżka. Jakoś się ułożyliśmy, ale budzę się rano i patrzę, a my z Bogdanem w łóżkach, a trener śpi na podłodze. Nie chciał, żeby nam było za ciasno. Takim był człowiekiem. Z klasą. Na wszystkich obozach – jak przychodziło do posiłku – to zawsze stawał na końcu kolejki. Razem z zawodnikami. Był bardzo opiekuńczy. Poza tym jako jeden z pierwszych szkoleniowców wprowadzał nieznane wtedy metody treningowe. Ale nie takie, że coś sobie wymyślił, tylko takie, które rzeczywiście przynosiły efekty. Jeśli były to ćwiczenia na siłę – to tylko takie, które angażowały mięśnie potrzebne do pływania, a nie bezmyślne i przynoszące więcej szkód niż pożytku ćwiczenia ze sztangą.

Jacek Miciul

W połowie lat 80. swoją grupę wiekową (rocznik 1978) prowadził m.in. Jacek Miciul (brat Andrzeja; ich ojciec był przez wiele lat prezesem klubu).



Marian Raczyński, znakomity szkoleniowiec i wychowawca młodzieży

– To była ciekawa grupa – mówi J. Miciul. – Wśród wielu zawodników wyróżniał się m.in. Tomek Czapski. Był bardzo pracowity. Dziś jest instruktorem.



Pływacy Avii przed wymarszem na pochód pierwszomajowy, lata 70.

W 1990 r. Miciul zaczął naukę pływania z 8-latkami. W tej grupie była m.in. jego córka Ola, Monika Mirosław, finalistka ME juniorów, medaliści MP – Katarzyna Dajnowska, Mariola i Marek Kotulscy,

Bartosz Ostrowski (syn byłego koszykarza Startu), Jakub Kozłowski i Diana Krupa.

– Diana była największym talentem, z jakim się spotkałem – wspomina pan Jacek. – Woda ją kochała.

Jako dziecko trochę chorowała. Dzięki pływaniu zapomniała o dolegliwościach.

W grupie Miciuła (rocznik 1987) wyróżniał się także Paweł Wólkiewicz (syn boksera Avii) oraz Radek Siczek, medaliści mistrzostw Polski. „Dwaj muszkieterowie” – tak ich wówczas nazywano w klubie. Paweł miał 180 cm, Radek był 40 cm niższy, ale miał ogromne serce do pływania. Sam Miciuł – jako zawodnik – był silnym punktem zespołu.

Największe osiągnięcia Avii Świdnik w pływaniu

Rok 1971

Pierwszy duży sukces to II miejsce w punktacji klubowej Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w Chorzowie. Podczas tej Spartakiady siedem złotych medali zdobył Zbigniew Wiechnik.

Lata 1974–1975

Avia najlepszą sekcją pływacką w Polsce w punktacji seniorów, juniorów i młodzików.

Rok 1975

Świdniczanie zdobyli II miejsce w punktacji klubowej Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w Białymstoku.

Rok 1980

Dorobek Avii to 13 medali MP juniorów w Lublinie, w tym 8 złotych.

Lata 2000–2007

W lipcu 2000 roku powstało stowarzyszenie pod nazwą Klub Pływacki Avia Świdnik. Pierwszym prezesem został Bogusław Garbał.

W latach 2000–2006 nasi zawodnicy: Mateusz Garbał, Piotr Łazaronek, Marek Kotulski, Mariola Kotulska, Magdalena Wójcik i Paweł Wólkiewicz, zdobyli łącznie 37 medali na Mistrzostwach Polski seniorów, młodzieżowców, juniorów i dzieci.

Mateusz Garbał i Piotr Łazaronek reprezentowali Polskę na Mistrzostwach Europy Juniorów.

W 2005 roku najmłodsi zawodnicy zwyciężyli w Lidze Wojewódzkiej Młodzików i Dzieci, a Kamila Sadło i Sebastian Wasil zdobyli medale w Korespondencyjnych Mistrzostwach Polski Dzieci.

Na Letnich Mistrzostwach Polski 13-latków w 2007 r. zawodnicy Avii zdobyli 10 medali (7 złotych, 2 srebrne i brązowy). Dzięki takiemu dorobkowi zajęli I miejsce w klasyfikacji medalowej mistrzostw (na 102 startujące kluby). Trudno nie wspomnieć o osiągnięciach świdnickich mastersów Marioli Jędrasik-Lorenc, mistrzyni Europy w stylu klasycznym, oraz Marianie Raczyńskim – mistrzu i wielokrotnym medaliście Mistrzostw Świata i Europy w stylu motylkowym i zmiennym.

Rok 2009

Na Mistrzostwach Polski Juniorów i Młodzików zdobyli 28 medali (14 złotych, 5 srebrnych i 9 brązowych).



Trener Zdzisław Stypiński w otoczeniu swoich wychowanków. Stoją do lewej: Maciej Basiuk, Jan Hołub, Kamil Szymula, Przemysław Lis. Siedzą od lewej: Damian Kawalec i Damian Biskopt

Rok 2010

Mistrzostwa Polski Juniorów i Młodzików przyniosły ekipie ze Świdnika łącznie 27 medali (10 złotych, 12 srebrnych i 5 brązowych). Sześciu zawodników wystąpiło w kadrze narodowej juniorów: Kamila Sadło, Jan Hołub, Mateusz Kliza, Andrzej Mazur, Sebastian Leszman i Sebastian Wasil. Avia została najlepszym klubem wojewódzkiej ligi OPEN, a Sebastian Wasil najlepszym zawodnikiem tej ligi.

Rok 2011

Mistrzostwa Polski Juniorów i Młodzików to 11 medali Avii (8 złotych, srebrny i 2 brązowe).

Pięciu zawodników reprezentowało barwy kraju juniorów. Byli to: Jan Hołub, Mateusz Kliza, Franciszek Kopczyński, Sebastian Leszman i Sebastian Wasil. Jedenastu startowało w kadrze wojewódzkiej.

Rok 2012

Dorobek Klubu Pływackiego Avia Świdnik na Mistrzostwach Polski to 11 medali (5 złotych, 4 srebrne, 2 brązowe).

Podsumowując pływacki dorobek, zawodnicy sekcji wielokrotnie zajmowali czołowe lokaty w imprezach międzynarodowych, centralnych, międzywojewódzkich i wojewódzkich. W Mistrzostwach Polski wszystkich kategorii wiekowych zdobyli

ponad 460 medali i reprezentowali barwy kraju na zawodach:

- Mistrzostwa Świata i Mistrzostwa Europy Seniorów – Aleksandra Miciul.

- Puchar Europy – Bogdan Adamkowski, Zbigniew Wiechnik, Zdzisław Stypiński.

- Mistrzostwa Europy Juniorów – Ewa Madej, Anna Bednarek, Aleksandra Miciul, Monika Mirosław, Diana Krupa, Mateusz Garbał, Piotr Łazaronek.

- Zawody Przyjaźni (brały w nich udział kraje byłego bloku socjalistycznego) – Zbigniew Wiechnik, Małgorzata Górską, Eliza Ciesielska, Mariola Jędrasik, Andrzej Barwiak, Waldemar Wasił, Danuta Stępień, Robert Klin, Anna Bednarek, Marek Socha, Diana Samborska, Jacek Miciul, Zdzisław Stypiński, Kazimierz Sinicki, Andrzej Miciul.

- Reprezentantami Polski w latach 2006–2012 byli: Wojciech Czajkowski, Jan Hołub, Mateusz Kliża, Kamila Sadło, Sebastian Wasił.

- Rekordy Polski ustanawiali: Andrzej Barwiak, Anna Bednarek, Mateusz Garbał, Jan Hołub, Mariola Jędrasik, Jarosław Klin, Mateusz Kliża, Aleksandra Miciul, Andrzej Miciul, Agnieszka Patrzala, Dariusz Psuja, Marzena Samborska, Danuta Stępień, Waldemar Wasił.

- Mistrzowie Polski Seniorów – Bogdan Adamkowski, Anna Bednarek, Mateusz Garbał, Piotr Łazaronek, Monika Mirosław, Aleksandra Miciul, Agnieszka Patrzala, Zbigniew Wiechnik.

Ten imponujący dorobek nie był możliwy bez ogromnej pracy trenerów i instruktorów: Krzysztofa

Gałana, Jerzego Kasprzyka, Ryszarda Lipińskiego, Wiesława Makarewicza, Jacka Miciuła, Janusza Moniaka, Jerzego Nowosada, Mariana Raczyńskiego, Eugeniusza Stojka, Zdzisława Stypińskiego, Apolonii Wasiak, Waldemara Wasila, Konrada Wąsika i Zbigniewa Wiechnika.



Waldemar Wasił, obecny szkoleniowiec Avii ma godnych następców. Sebastian, jego syn to wielokrotny reprezentant kraju i medalista mistrzostw Polski



Mecz Avia Świdnik–Maraton Warszawa.
Na zdjęciu od lewej: Pytel, Szymczak,
Hawelko. W głębi Marciniak. Widać
błędnie napisaną nazwę naszego klubu...

Avia szachową potęgą

Tak, tak. Tak było. Szachiści Avii przez wiele lat dawali mata najlepszym w kraju. Sekcja szachowa istniała w Świdniku od samego początku powstania klubu – najpierw Stali, potem Avii.

Pierwszym kierownikiem sekcji został w 1952 r. Jerzy Stobiński, wielki entuzjasta szachów. W latach 50. ubiegłego wieku szachy były bardzo popularne. Nic dziwnego, była to jedna z nielicznych wówczas rozrywek. Wieczorami w hotelach robotniczych można było spotkać wielu zapaleńców pochylonych nad szachownicą.

Wśród nich był m.in. Franciszek Olech. Oprócz tego, że doskonale grał w szachy, to był jeszcze przedwojennym mistrzem stolarstwa. Fachu nauczył się we Lwowie. W zakładach robił nie tylko śmigła, ale rzeźbił też figury szachowe, które trafiały potem do jego znajomych. Cieszyły się ogromnym powodzeniem.

Zdzisław Marciniak był jednym z pierwszych, który tworzył profesjonalną już sekcję. Wkrótce liczyła ona ok. 20 zawodników. Juniorzy trenowali w sali przy Okulickiego (wtedy Świerczewskiego), a seniorzy w świetlicy przy stadionie.

– Na początku nie było żadnej ligi – wspomina. – Walczyliśmy jedynie w Lublinie o mistrzowskie tytuły. Były też organizowane indywidualne turnieje.

W 1956 r. powstała już szachowa liga okręgowa. W inauguracyjnym spotkaniu Avia spotkała się z ekipą Lubartowa. I wygrała. A w tym historycznym meczu wystąpili: Zdzisław Marciniak, Wacław Frącz, Bolesław Charycki, Franciszek Olech, Ryszard



Rok 1955. Zdzisław Marciniak (z prawej) zdobył mistrzostwo okręgu

Tabaczyński, Tadeusz Zmokły, Łukaszewicz, Matusiak i Kazimiera Stobińska (według przepisów w składzie musiała być jedna kobieta).

Do 1968 r. Avia – ze zmiennym powodzeniem – walczyła w lidze okręgowej. Najczęściej zajmowała 2–3 miejsce.

– W 1968 r. zostałem wypożyczony do Łączności Lublin – mówi Zdzisław Marciniak. – I wywalczyliśmy awans do I ligi. Klub jednak miał problemy finansowe. Nie stać go było na występy w tej klasie rozgrywek.

Wtedy przyszło rozwiązywanie. Dla Avii bardzo korzystne. Przejęli zawodników z Lublina i wzmocnili świdnicką ekipą przystąpili do rozgrywek.

Przez kolejne lata zespół to spadał, to awansował. Wielu zawodników nie mogło pogodzić pracy zawodowej ze sportem. Turnieje trwały kilka dni i nie każdy mógł w tym czasie zwolnić się z pracy.

W latach 70. ubiegłego wieku Avia doczekała się wreszcie swoich wychowanków. Szybko dołączyli do zespołu. W 1970 r. Avia wywalczyła pierwsze miejsce w jednej z grup II ligi i uzyskała kwalifikację do ekstraklasy. Drużynę stanowili: Andrzej Sydor, Tomasz Murat, Mieczysław Burdaś, Zbigniew Szymczak, Zbigniew Księski, Zdzisław Marciniak, Henryk Pająk, Tadeusz Pieprzowski, Jacek Mardarowicz, Anna Jurczyńska oraz Irena Kasprzyk.

Kolejny awans do szachowej elity, w 1977 r., zdobył odmłodzony zespół w składzie: Szymczak, Księski, Mardarowicz, Kasprzyk, Tadeusz Lipski, Marek Hawełko i Michał Praszak. Następnie do kadry dołączyli: Krzysztof i Bożena Pytlowie. Już w pierwszym

roku startów Avia zajęła wysokie, czwarte miejsce w drużynowych mistrzostwach Polski.

W 1978 r. Avia zdobyła 3 miejsce w lidze. Był to ogromny sukces. Do silnych punktów zespołu należeli wówczas m. in. Andrzej Sydor i Anna Jurczyńska. Sydor w 1974 r. był już mistrzem międzynarodowym.

Rok później Avia była wicemistrzem.

– Lepszy był tylko Maraton Warszawa – mówi Zdzisław Marciniak. – Działacze Maratonu działali wtedy prężnie w Polskim Związku Szachowym i dziwnym trafem tak zmieniali przepisy (chodziło m.in. o procentowy udział punktów zdobytych przez juniorów), żeby nas wyprzedzić w tabeli.

W latach 1980, 1981 i 1982 Avia (bez juniorów) trzykrotnie była najlepsza w lidze.

Największy sukces świdnickich drużynowych szachów nadszedł w 1982 r., w roku jubileuszu 30-lecia FKS Avia. W decydującym turnieju rozgrywanym w Gdyni, dzięki zwycięstwom nad silnymi wówczas Maratonem i Legionem Warszawa oraz Górnikiem Mysłowice, świdniczanie zanotowali swój największy sukces, zdobywając drużynowe mistrzostwo Polski oraz tytuł drużynowego mistrza I ligi. W składzie seniorów znajdowali się: Krzysztof Pytel, Zbigniew Szymczak, Zbigniew Księski, Marek Hawełko, Tadeusz Lipski, Michał Praszak, Bożena Pytel, Irena Kasprzyk, a kapitanem zespołu był Zdzisław Marciniak. W lidze juniorów grali: Grzegorz Jusiak, Paweł Bielak, Grzegorz Paszczyk, Marek Chwalewski, Andrzej Dados, Andrzej Głąb, Anna Barańska oraz Bożena Rzeczycka.



Ligowe spotkanie pomiędzy Hutnikiem i Avią. Na zdjęciu: Krzysztof Pytel (w okularach), obok Zbigniew Szymczak i Marek Hawelko



Zdzisław Marciniak

Do tego dochodziły w tym czasie indywidualne tytuły szachistów Avii. I tak m.in. Zbigniew Szymczak i Anna Jurczyńska zdobyli tytuły indywidualnych mistrzów kraju seniorów, Marek Hawełko, mistrz Polski w kategorii młodzieżowej, juniorów i seniorów, zwyciężył także w europejskim turnieju juniorów w Budapeszcie, Bożena Rzeczycka – mistrzyni kraju junierek i młodzieżowa mistrzyni Polski, Irena Kasprzyk – wicemistrzyni Polski senierek czy Zbigniew Księski, brązowy medalista mistrzostw kraju.

W 1979 r. szachiści Avii wyjechali do ZSRR na cykl turniejów m.in. do Moskwy i Archangielska. Nie byli faworytami. Mimo to w pierwszym meczu pokonali utytułowany zespół Sławy Moskwa 6,5:1,5.

– W drugim meczu trochę odpuściliśmy – wspomina Z. Marciniak. – Gdyby Rosjanie znowu sromotnie przegrali, to pewnie władze nie puściliby ich na rewanż do Polski. Ale i tak wygraliśmy 5:3. Do rewanżu nie doszło, bo u nas zaraz zaczęły się strajki i Rosjanie bali się przyjeżdżać do Polski.

Od sukcesu w 1982 r. w kolejnych sezonach pierwszoligowych Avia zajmowała lokaty poza podium. Były natomiast kolejne sukcesy indywidualne. W 1984 r. złoty medal mistrzostw Polski junierek wywalczyła Rzeczycka. Hawełko i Księski zdobyli normy na mistrzów międzynarodowych. Do walki w gronie senierek z powodzeniem dołączyła utalentowana juniorka Ewa Wierzbicka. Za lata 1988–1990 tytuł indywidualnego, korespondencyjnego mistrza naszego kraju zdobył Zdzisław Marciniak.

Po 1989 r. przyszedł kryzys. Wielu zawodników opuściło Świdnik. Księski zaczął występy w Bundeslidze, Jacek Mardarowicz i Ewa Wierzbicka wyjechali do Kanady, a Bożena Rzeczycka do USA.

Szachista-masażysta

Jacek Mardarowicz jest jedynym polskim szachistą, który skończył słynny Uniwersytet Moskiewski im. Łomonosowa w Moskwie oczywiście kierunku szachowy. Od zawsze było to zresztą jego marzeniem. Po zakończeniu kariery pokazał swój dyplom

Kanadyjczykom. Ci, widząc papiery renomowanej szkoły, zatrudnili go natychmiast. Oczywiście w sporcie. Jako... masażystę.

I stała się rzecz niezwykła. Pan Jacek trafił do drużyny hokejowej, gdzie miał sporo pracy z poobijanymi zawodnikami. I okazało się, że jak na szachistę radzi sobie doskonale. A kiedy wyleczył z urazu jednego z liderów zespołu, jego kariera masażysty nabrała rozpędu. Niedługo potem założył własną firmę, zaczął zatrudniać pracowników, pojawiły się coraz większe pieniądze. Dziś były szachista Avii ma prężnie działającą przychodnię, która przynosi duże zyski. Niedawno był nawet w Świdniku i spotkał się z kolegami z sekcji.

Zbigniew Szymczak w ocenie fachowców jest do dzisiaj jednym z najlepszych trenerów szachów w Polsce. Po zakończeniu kariery wyjechał do Działdowa. Zajął się szkoleniem. Dziś każdy chętny może skorzystać z jego usług.

– Po uzgodnieniu szczegółów istnieje możliwość wynajęcia go do nauki gry w szachy – zdradza Z. Marciniak. – Jako trener mieszka w domu ucznia. Z jego usług korzystał m.in. jeden ze znanych polskich piosenkarzy.

Według pana Zdzisława, najrówniej grającym zawodnikiem w historii świdnickich szachów był Zbigniew Księski. On też zdobywał najwięcej punktów. Nie miał wzlotów i upadków. Przez całą karierę prezentował równą i wysoką formę.

– Do tego był niezwykle uzdolniony muzycznie – dodaje Zdzisław Marciniak. – Jego siostra była

przez wiele lat dyrektorem artystycznym Filharmonii Lubelskiej.

Niestety, przełom lat 80. i 90 przyniósł smutną decyzję zarządu świdnickiego klubu o zawieszeniu działalności sekcji szachowej. Ostatnim sezonem występów w I lidze był rok 1990. Wówczas obok Marciniaka, Hawełki, Księskiego czy Szymczaka, w żółto-niebieskich barwach występowało także dwóch arcymistrzów ze Lwowa: Roman Widoniak i Michaił Sulipa.

W 1997 roku na Lubelszczyźnie odbyły się Światowe Igrzyska Polonijne. Organizatorzy zlecieli naszemu miastu przeprowadzenie turnieju piłkarskiego oraz szachowego. Wówczas grupa entuzjastów królewskiej gry pod kierownictwem niezmordowanego Zdzisława Marciniaka postanowiła założyć Klub Szachowy Huzar, który działa do dziś w strukturach Miejskiego Ośrodka Kultury. Cyklicznie odbywają się zajęcia dla najmłodszych adeptów tej gry, a także turnieje okolicznościowe z mistrzostwami Świdnika i powiatu świdnickiego włącznie. Inną imprezą szachową godną uwagi i odnotowania jest Wojewódzki Turniej Szachowy dla młodzieży – uczestników Ochotniczych Hufców Pracy, który od kilku lat organizowany jest przez Hufiec Pracy w Świdniku. Sędzią głównym tej imprezy jest od lat Michał Praszak, były zawodnik pierwszoligowej Avii.

W 2000 r., mimo że od wielu lat Avia już nie występowała w lidze, wciąż szachiści świdnickiego klubu są wysoko notowani w rankingu zdobytych punktów.



Jacek Mardarowicz (z prawej) podczas towarzyskiego meczu w Moskwie

Tenis

Pierwsze, nieśmiałe próby gry w tenisa w Świdniku to lata 1954/1955. Wtedy to Aleksander Smolarkiewicz, znany entuzjasta tej dyscypliny sportu doprowadził do powstania kortów tenisowych w mieście. Korty stały się szybko miejscem nie tylko sportowych zmagañ, ale także spotkań towarzyskich. Do sympatyków tej dyscypliny w pierwszych latach należeli – oprócz Smolarkiewicza – Paweł Drożdżyński, Janusz Aleksandrowicz, Adam Piechota, Bogdan Jaświłko, Ryszard Kosiół, Zbigniew Kadłubaj i Eugeniusz Mycko. Później do grona sympatyków tenisa dołączyli Mieczysław Maciejczyk, Bogdan Kolesnikow, Bolesław Domański, E. Raszeja, Ryszard Kot. Kierownikiem sekcji został Adam Piechota.

– Sport nie był w latach 50. traktowany poważnie – wspomina Adam Piechota. – Podobnie było z tenisem. Na początku były to bardziej towarzyskie spotkania na korcie aniżeli profesjonalny sport. Nie każdego też było stać na grę w tenisa. Rakiety, zwłaszcza te lepsze, były drogie. Polskimi było ciężko grać. Pozostawały tylko zagraniczne. Stopniowo – z roku na rok – przybywało zawodników.

Pierwszy oficjalny występ świdnickich tenisistów odbył się dopiero w 1958 r. z reprezentacją Lublina. I to oni byli zwycięzcami. Górowali we wszystkich grach. W tym historycznym meczu uzyskano następujące wyniki (świdniczanin na drugim miejscu):

Kazimierz Malinowski (późniejszy trener tenisa stołowego) – Adam Piechota 6:4, 6:0;

Stanisław Pełczyński – Bogdan Kolesnikow 6:4, 6:1;

Wiktor Węgliński – Paweł Drożdżyński 6:2, 6:0;

Debel Węgliński–Pełczyński–Drożdżyński–Piechota 6:0, 6:1.

Na początku lat 60. pierwsze sukcesy zaczęła odnosić świdnicka młodzież. Do czołówki należeli Roman Lalak, Wiesław Litwin i Andrzej Kolesnikow. Zawodnicy Avii reprezentowali wówczas Lublin w organizowanych przez Polski Związek Tenisowy rozgrywkach o Puchar Miast juniorów. W rozgrywkach tych klubowa młodzież nie odniosła wprawdzie drużynowych zwycięstw nad ekipami Warszawy i Krakowa, ale w poszczególnych grach dotrzymywała kroku silniejszym przeciwnikom. Roman Lalak



Adam Piechota związany jest ze świdnickim tenisem od lat 50.

urwał nawet seta aktualnemu wówczas mistrzowi kraju juniorów Witoldowi Meresowi. Szkolenie młodzieży prowadzili kolejno: Zdzisław Herman, Tadeusz Chabrajski, Jerzy Mierczyński.

Warto dodać, że Jerzy Mierczyński, były czołowy zawodnik MKT Łódź i Stali Stalowa Wola, był tenisistą, który prezentował wysoki poziom wyszkolenia technicznego. Fakt ten z pewnością zdecydował o wyraźnym wzroście poziomu umiejętności jego podopiecznych: Wiesława Księskiego, Stanisława Księskiego i pozostałych.

– Aleksander Smolarkiewicz nie krył, że chciałby mieć w Świdniku profesjonalnego instruktora – mówi Adam Piechota. – Wybór padł na Mierczyńskiego, który miał za sobą mecze w I lidze. – Zaprośiliśmy go do Świdnika. W kawiarni „Ja i ty” ustaliliśmy szczegóły.

W drugiej połowie lat 60. grono pasjonatów tenisa powiększyło się o Jerzego Buczka, Tadeusza Władysiuka, Jerzego Rebajna, Ryszarda Kota, T. Zawadzkiego, Zbigniewa Fuksa. W kolejnych latach tenisowa sekcja Avii pracowała coraz prężniej. Jej działacze doprowadzili do reaktywowania w roku 1966 Lubelskiego Okręgowego Związku Tenisowego i weszli w skład jego zarządu. Prezesem został wybrany Bogdan Koleśnikow, sekretarzem Mieczysław Maciejczyk, kapitanem sportowym Ryszard Kot, a członkiem zarządu Zbigniew Fuks. Klubową sekcją kierował w tym okresie inż. Jerzy Rebajn, a treningi prowadził Jerzy Buczek, który wraz z Ryszardem Kotem i Zbigniewem Fuksem ukończył kurs instruktorski tenisa. W takim składzie osobowym sekcja pracowała do roku 1972.

Tenis po 1972 r.

Od 1972 r. szkoleniem młodzieży i kierowaniem sekcją zajął się Ryszard Kot. Świdnicka młodzież reprezentowała barwy Lubelszczyzny na dwóch kolejnych Ogólnopolskich Spartakiadach Młodzieży: w Krakowie i Białymstoku. Efektem tych startów były punktowane miejsca osiągnięte przez Wiesława Księskiego. Niecodziennym wydarzeniem w powojennych dziejach tenisowej sekcji było wpisanie się w 1975 r. przez Wiesława Księskiego na krajową listę klasyfikacyjną Polskiego Związku Tenisowego. Sprawilo to równocześnie, że FKS Avia jako klub macierzysty zawodnika został sklasyfikowany na 36. pozycji wśród 45 klubów kraju.

Po odejściu z sekcji Ryszarda Kota jego obowiązki przejął Ryszard Kutniowski. W latach 1977–1979 szkoleniem zajmował się Adam Piechota i równocześnie przez jeden sezon Jacek Gdula. Później ponownie Ryszard Kutniowski i Władysław Wlizło.

W 1977 r. tenisiści zwyciężyli we wszystkich formach współzawodnictwa prowadzonego przez LOZT. Avia, zdobywając 898 punktów w generalnej klasyfikacji, była najlepsza w regionie.

W klasyfikacji indywidualnej zawodnicy Avii wywalczyli następujące lokaty:

seniorki: 2. Wiesława Kutniowska;

seniorzy: 1. Wiesław Księski (na 83 sklasyfikowanych zawodników), 2. Ryszard Kot;

juniorzy: 1. Krzysztof Wlizło; 2. Sławomir Kołsut;

młodzicy: 1. Krzysztof Wlizło; 2. Robert Litwin;
3. Jerzy Ścibior.

W sezonie 1980/1981 Avia zdobyła 1242 punkty, wyprzedzając lubelski AZS z dorobkiem 390 punktów. Klasyfikacja indywidualna zawodników Avii przedstawiała się następująco:

seniorki: 1. Maria Umińska; 2. Wiesława Kutniowska;

seniorzy: 1. Jerzy Ścibior; 2. Krzysztof Wlizło;
3. Robert Władysiuk;

juniorzy: 1. Alicja Cichocka; 2. Agata Glejt;

juniorzy: 1. Robert Władysiuk;

juniorzy młodsze: 1. Dorota Wlizło;

juniorzy młodzi: 1. Grzegorz Kabasa;

młodziczki: 1. Agata Glejt; 2. Dorota Wlizło;

młodzicy: 1. Piotr Skąlecki; 2. Sławomir Oszust;
skrzaty: 1. Tomasz Dzirba.

W roku 1982 Avia zdobyła 917,5 pkt. przed Budowlanymi Lublin 245 punktów.

Indywidualnie:

seniorki: 1. Agata Glejt, 3. Dorota Wlizło;

seniorzy: 1. Krzysztof Wlizło, 2. Władysław Wlizło, 3. Jerzy Scibior;

juniorzy: 1. Sławomir Oszust, 2. Robert Władysiuk;

młodzicy: 1. Piotr Skąlecki, 3. Tomasz Dzirba.

W roku 1983 Avia uzyskała 844,5 punktu i ponownie zajęła pierwszą lokatę w okręgu przed Budowlanymi (697,5 pkt.).

Indywidualnie:

seniorki: 1. Dorota Wlizło;

seniorzy: 1. Władysław Wlizło, 2. Krzysztof Wlizło, 3. Robert Władysiuk;

juniorzy: 1. Piotr Skąlecki;

młodzicy: 1. Tomasz Dzirba.

W roku 1984 Avia zajęła znów pierwszą lokatę, a indywidualnie:

seniorki: 2. Dorota Wlizło;

seniorzy: 1. Władysław Wlizło, 2. Robert Władysiuk;

juniorzy: 1. Piotr Skąlecki;

młodzicy: 3. Jacek Gosik.

Na początku lat 80. na krajowej liście klasyfikacyjnej ponownie znalazły się nazwiska zawodników Avii: Piotra Skąleckiego, Roberta Władysiuka, Krzysztofa Wlizły, Jerzego Ścibiora. Dużym

sukcesem było zajęcie przez Piotra Skąleckiego w 1982 r. pierwszego miejsca w klasyfikacji ogólnopolskiej w kategorii młodzików. Był to efekt pracy zawodnika i jego szkoleniowca, Ryszarda Kutniowskiego. Tym samym młody tenisista awansował do kadry młodzików.

W 1984 r. świdnicki zespół zdobył drużynowe mistrzostwo makroregionu Radom–Kielce–Lublin, dzięki zwycięstwu w finale nad Radomiakiem 6:3. Zanim jednak tenisiści awansowali do finału, wcześniej pokonali AZS Lublin 8:1, AKS Busk 8:1 i Star Starachowice 8:1. Zwycięstwa te pozwoliły drużynie na awans do decydujących rozgrywek o wejście do II ligi. Awansu jednak nie udało się wywalczyć. W najważniejszym meczu Avia przegrała z Olszą Kraków 4:5.

Lata dziewięćdziesiąte XX wieku

W latach 90. nastąpił dalszy rozwój tenisa ziemnego. Funkcję kierownika sekcji w 1991 r. objął Stanisław Kielbasa. Historyczne osiągnięcie dla świdnickiego tenisa miało miejsce w maju 1995 r. Wtedy to niespełna 19-letni Konrad Kielbasa, zdobywając punkty na turniejach satelitarnych jako pierwszy zawodnik FKS Avia, wpisał się na światową listę klasyfikacyjną ATP seniorów na miejscu 1235. Konrad odnosił także sukcesy na turniejach krajowych i zagranicznych, zdobywał mistrzostwa województwa lubelskiego i regionu Małopolski. W 1994 r. uplasował się na 11. miejscu w grze pojedynczej oraz na 6. w grze podwójnej w kategorii juniorów. Rok

później był 15. w kategorii seniorów na listach klasyfikacyjnych PZT.

W latach 90. sukcesy odnosili także: Rafał Czelej, m.in. 12. miejsce na listach klasyfikacyjnych PZT w kategorii kadetów (do 16 lat) w 1998 r., wielokrotny mistrz województwa lubelskiego oraz regionu Małopolskiego, oraz Beata Kołodyńska – 13 na listach PZT w 1995 r. w kategorii junierek. Poza tym w 1996 r. drużyna młodzików (do 14 lat) w składzie: Rafał Czelej, Piotr Głazewski, Marcin Uniłowski i Piotr Zygałdewicz, zajęła ósme miejsce w drużynowych mistrzostwach Polski młodzików rozegranych w Zabrzu. Poza wcześniej wymienionymi zawodnikami kadrę klubu stanowili: Mariusz Gosik, Karolina Hałabuda, Katarzyna Karasiuk, Maciej Kasprzak, Krzysztof Michałowski, Ada Mulica, Anna Postrach, Julia Sawa, Łukasz Ścibor, Łukasz Wróbel, Łukasz Zabor, Marcin Zabor i Barbara Zygałdewicz. Szkoleniem młodzieży w tym okresie zajmował się Ryszard Kutniowski, a pomagał mu Władysław Wliżło.

Nowy wiek

Rok 2000 był rokiem przełomowym. Na bazie sekcji tenisa ziemnego FKS Avia powstało Gminno-Powiatowe Towarzystwo Tenisowe Świdnik. Członkami i założycielami stowarzyszenia byli m.in. Wojciech Karasiuk, Bogdan Mrówka, Stanisław Kielbasa, Adam Piechota i Robert Władysiuk. Pierwszym prezesem GPTT Świdnik został Wojciech Karasiuk. Nowo powstały zarząd skupił się przede wszystkim na sprawach organizacyjnych stowarzyszenia,

zawarcia umów z właścicielem kortów, współpracy z władzami lokalnymi, organizowaniem zajęć dla młodzieży, opracowaniu form udostępniania kortów dla dorosłych itd. W sierpniu 2001 r. rezygnację złożył dotychczasowy prezes Wojciech Karasiuk. Na jego miejsce wybrano Wiesława Jakubiaka. Szkoleniem młodzieży w tym okresie zajmowali się Ryszard Kutniowski, Bogdan Mrówka, Wiesław Ksiński, Beata Kołodyńska oraz Jerzy Grzys.

Do najważniejszych osiągnięć GPTT Świdnik należy zaliczyć:

2002 r. – VII miejsce w finale drużynowych mistrzostw Polski kadetów w Toruniu (Grzys, Jakubiak, Kielbasa, Oliwa, Siczek) oraz mistrzostwo regionu małopolskiego w drużynowych

mistrzostwach regionu w kategorii kadetów rozegranych w Zamościu;

2003 r. – jako klub 37. miejsce w kraju (na 177 sklasyfikowanych klubów) i tym samym 2. miejsce w województwie lubelskim; VI miejsce w finale drużynowych mistrzostw Polski kadetów w Zabrze (Grzys, Kielbasa, Mrówka, Siczek), a na Ogólnopolskiej Olimpiadzie Młodzieży w Sopocie nasze województwo i klub reprezentowali: Grzys, Siczek i Kielbasa.

Do najlepszych zawodników w 2003 r. należeli: Jakub Grzys, Przemysław Jakubiak, Krystian Kielbasa, Patrycja Lemieszek, Zbigniew Mrówka, Radosław Siczek i Agnieszka Wlizło. Poza nimi kadrę klubu tworzyli: Anna Czachowska, Robert Kordysa, Maksymilian Oliwa, Klaudia Piątek i Paulina Przeworska.



Krystian Kielbasa
w 2005 r.



Sceną rozgrywek świdnickiej halówki jest sala Szkoły Podstawowej nr 7

Halowa piłka nożna

Kiedy jesienią 1999 r. Starostwo Powiatowe wraz z Ogniskiem TKKF Świt Świdnik podjęły inicjatywę organizacji amatorskich rozgrywek ligowych w halowej piłce nożnej pięcioosobowej, nikt się nie spodziewał, że będzie to przysłowiowy strzał w dziesiątkę. Liga z miejsca stała się najpopularniejszą i największą amatorską imprezą sportową w naszym powiecie.

Sezon 1999/2000

Pierwsze rozgrywki rozpoczęły się 2 października 1999 r. Inauguracyjny, historyczny mecz na parkiecie Ośrodka Sportowo-Rekreacyjnego WSK PZL Świdnik pomiędzy zespołami Spółdzielni Mieszkaniowej i Hanyang-DMP zakończył się wynikiem 7:2. Bramki dla zwycięzców strzelili: Marek Leszczyński – 4, Krystian Zakrzewski – 2, Marek Słotwiński, a dla pokonanych Zdzisław Kozak oraz Zbigniew Ryczanik. Debiutancki sezon zgromadził aż 31 drużyn, co było miłym zaskoczeniem dla organizatorów. Rozgrywki prowadzone najpierw w drodze eliminacji w grupach, a potem w dwóch ligach trwały prawie pięć miesięcy. Pierwszymi zdobywcami głównego

trofeum, czyli pucharu starosty świdnickiego, zostali piłkarze Refri. W II lidze bezkonkurencyjni byli zawodnicy Media Team, którzy notując 14 zwycięstw i tylko jeden remis, w efektywnym stylu awansowali do wyższej ligi. Wśród panów rywalizowała pierwsza kobieta w historii świdnickiej halówki – Edyta Kanclerz, która była bramkarką drużyny Euro-Tel.



Media Team – mistrz II ligi w sezonie 1999/2000. Górny rząd od lewej: Tomasz Gielzak (kapitan i kierownik drużyny), Marek Gieleta, Grzegorz Zajko, Jacek Kosierz; dolny rząd od lewej: Roman Wnuczek, Jan Mazur, Piotr Gołębiewski, Jacek Kiryla

Sezon 2000/2001

Rozgrywki zostały przeniesione do hali sportowej przy Szkole Podstawowej nr 7 w Świdniku, gdzie warunki do gry były dużo lepsze niż w hali Avii. Na starcie stanęło 38 ekip rywalizujących w trzech ligach. Zacięta walka o tytuł mistrzowski w najwyższej klasie rozgrywkowej trwała aż do ostatniej kolejki, w której w bezpośrednim pojedynku Metalowcy – lider – zmierzyli się z SLD. Pierwszym do zdobycia złotych medali wystarczył remis. Drudzy, aby myśleć o mistrzostwie, musieli wygrać. Po dramatycznym i emocjonującym spotkaniu padł bezbramkowy remis dający końcowe zwycięstwo Metalowcom. Warto dodać, że mistrzowie w trzynastu meczach odnieśli dziewięć zwycięstw, zanotowali cztery remisy, nie doznając przy tym ani jednej porażki. Strzelili najwięcej w lidze, bo aż 42 bramki, tracąc przy tym najmniej ze wszystkich drużyn, bo zaledwie 16. Złote medale odebrali: Krzysztof Szumigaj, Tomasz Solpa, Mariusz Paluszek, Tomasz Flis, Robert Władysiuk, Przemysław Kolanecki, Patrycjusz Kołodziejczyk, Tomasz Promiński, Grzegorz Kopiec, Sławomir Kołodziejczyk, Eryk Roczon, Adam Bogdański, Jarosław Schulz i Kazimierz Kołodziejczyk (kierownik drużyny).

Sezon 2001/2002

Kolejny sezon rozgrywkowy wykreował „nową siłę” w halówce. Po przeszło trzymiesięcznych zmaganiach 38 ekip w najwyższej lidze triumfował

Tehand, choć rozstrzygnięcie nastąpiło dopiero w ostatniej serii spotkań. W meczu sezonu, który obejrzało około 700 kibiców, prowadząca od kilku tygodni drużyna EC Giga Studio Video Kamil zmierzyła się z Tehandem, przy czym obie ekipy miały na koncie taką samą liczbę punktów. Było jasne, że na pewno mistrzem zostanie zwycięzca tego pojedynku. W przypadku remisu szansę na pierwsze miejsce miał Car Lux, który grał z SLD, lub Hanyang, którego czekał ciężki bój z Zakładem Remontowym. Po dramatycznym, stojącym na wysokim poziomie spotkaniu lepsi o jedną bramkę okazali się gracze Tehandu, wygrywając 4:3. Decydującą o losach meczu bramkę zdobył Ernest Obara, który trafił do siatki rywala na 40 sekund przed ostatnim gwizdkiem sędziów.



Tehand, mistrz 2001/2002. Górny rząd od lewej: Waldemar Olejnik, Sławomir Sady, Ernest Obara, Ireneusz Czerniakowski, Dariusz Haraytanowicz. Dolny rząd od lewej: Wojciech Nowosadzki, Grzegorz Góralski, Robert Kowalik, Rafał Zdunek, Piotr Zan, Sławomir Śliwa

Srebrne medale przypadły w udziale zawodnikom Car Luxu, którzy rozgromili SLD aż 8:1, a brązowe krążki Hanyangowi po skromnej wygranej z Zakładem Remontowym 1:0.

Sezon 2002/2003

Do rywalizacji w trzech ligach przystąpiła rekordowa liczba 41 drużyn. W sumie rozegrano 203 mecze, a zawodnicy strzelili łącznie 1133 bramki. Po przeszło trzech miesiącach zmagania tytuł mistrzowski obronił Tehand, który na finiszu o cztery punkty wyprzedził „grupę pościgową” z Hanyangiem na czele. Na najniższym stopniu podium tym razem stanęli piłkarze Henpol-CMK. Warto dodać, że mistrzowie w dwunastu spotkaniach strzelili najwięcej w lidze – 39 goli, a stracili przy tym najmniej ze wszystkich zespołów, czyli zaledwie 7. W ostatniej ligowej kolejce świeżo „upieczeni” mistrzowie ulegli Rethmannowi 1:2, zdobywając bramkę po celnym strzale Mariusza Kalickiego.

Sezon 2003/2004

W następnym sezonie na starcie stanęło aż 49 ekip, podzielonych na I, II oraz dwie grupy III ligi. Dwukrotny mistrz – Tehand – wyraźnie obniżył loty, a walka o miejsca medalowe rozstrzygnęła się tym razem między CMK-Henpołem, Metalowcami i Hanyangiem, który w tym sezonie zmienił nazwę na Budexpol. To właśnie ten ostatni zespół, który dwa lata wcześniej zajął trzecie miejsce, a rok wcześniej zdobył srebrne medale, tym razem pokusił się o wywalczenie

mistrzostwa. Przełomowa była dziewiąta kolejka, w której Budexpol po dwóch golach Andrzeja Łatkowskiego i jednym Zdzisława Kozaka, pokonując Kupców-Cukiernia Buchajską 3:2, wskoczył na fotel lidera, nie oddając przodownictwa już do końca sezonu. Tytuł mistrzowski wywalczyli: Piotr Walczyk, Cezary Lipiński, Artur Szot, Paweł Szpilewski, Jarosław Szpilewski, Paweł Włoszek, Zdzisław Kozak, Rafał Graboś, Paweł Mazurek, Andrzej Łatkowski, Grzegorz Grabowski i Zbigniew Kwiatkowski.

Sezon 2004/2005

Szósta edycja przyniosła kolejny rekord frekwencji. W trzech ligach rywalizowały aż 52 drużyny. Po swój pierwszy tytuł mistrzowski sięgnął



Mistrz Metal-World 2004/2005. Górny rząd od lewej: Bartłomiej Mańka, Michał Graniczka, Tomasz Gąbka, Przemysław Drozd, Mariusz Miłobóg, Paweł Marzenowski, Michał Temberski. Dolny rząd od lewej: Dominik Pastusiak, Marcin Temberski, Piotr Białoszewski, Piotr Chlebuś, Grzegorz Mazurkiewicz

zespół Metal-Worldu, który od początku wspólnie z Henpolem-CMK i Solidarnością PZL nadawał ton rywalizacji w najwyższej klasie rozgrywkowej. W dziewiątej serii spotkań doszło do bezpośredniej konfrontacji Henpolu z Metal-Worldem. W drugiej połowie przy stanie 1:1 sędziowie przerwali zawody, a potem wynik został zweryfikowany jako walkower 0:3. Worldowcy objęli przodownictwo w tabeli, którego nie oddali do końca, notując w trzynastu meczach dziesięć zwycięstw, jeden remis i tylko dwie porażki. Strzelili przy tym 37 bramek, tracąc zaledwie 12 – najmniej spośród wszystkich drużyn w sezonie. W ostatniej ligowej kolejce pewny „swego” Metal-World tylko zremisował z dawnym mistrzem Tehandem 2:2, a bramki dla złotych medalistów zdobyli: Paweł Ferens i Grzegorz Mazurkiewicz. Na drugim stopniu podium sezon zakończył Speed Car, a brązowe medale wywalczyli jak zawsze utrzymujący się w czołówce Metalowcy.

Sezon 2005/2006

Rozgrywki toczyły się w nowej formule, z podziałem na ekstrakligę, I, II i III ligę. W sumie do rywalizacji na parkiecie hali sportowej przy SP nr 7 w Świdniku zgłosiło się 45 drużyn. Pierwszym liderem ekstrakligi zostali Metalowcy po wygranej z beniaminkiem – Dywanami Łuszczów 3:1. Jak się potem okazało, był to sezon Metalowych, którzy na kolejkę przed końcem rozgrywek zapewnili sobie tytuł mistrzowski, swój drugi w historii halówki. Ciekawie było na finiszu, bowiem przed ostatnią serią



Mistrz Metalowcy 2005/2006. Górny rząd od lewej: Tomasz Flis (kierownik drużyny), Robert Solpa, Paweł Ferens, Michał Kropiwek, Radosław Błaszczak, Wojciech Chmiel, Jan Borys (przewodniczący ZZ Metalowcy), Jan Mazur (redaktor naczelny Głosu Świdnika), Tomasz Solpa. Dolny rząd od lewej: Jarosław Błaszczak, Krzysztof Stępnia, Marcin Błaszczak, Paweł Mazurek, Piotr Berta, Damian Paluszek, Mariusz Kalicki

spotkań aż cztery zespoły miały szansę na wicemistrzostwo. Ostatnie dwa mecze pomiędzy Henpolem i Neptunem oraz Metalowcami i Speed Carem były zacięte i emocjonujące. Oba zakończyły się remisami 1:1. Dzięki temu na drugim stopniu podium znaleźli się piłkarze Speed Car, a na trzecim Henpolowcy.

Sezon 2006/2007

Kolejny sezon przyniósł rekord frekwencji, który nie został pobity do dziś. W pięciu ligach rywalizowały aż 54 zespoły, a w nich blisko tysiąc piłkarzy amatorów! Ten sezon został zdominowany przez powracający na tron Metal-World. Worldowcy po

szóstej kolejce i wygranej nad Solidarnością PZL 4:1 objęli prowadzenie w ekstraligowej stawce, którego nie oddali już do końca. Bramki w tym przełomowym spotkaniu zdobyli: Łukasz Ładniak – 2, Michał Graniczka i Tomasz Gąbka, a dla pokonanych Sebastian Marek. W przedostatniej kolejce Metal-World po zaciętym i dramatycznym meczu zwyciężył wiceliderów z Car Luxa 3:2, pieczętując tym samym zdobycie mistrzostwa i spychając rywali na trzecią pozycję. Gole na wagę złotych medali strzelali: Graniczka, Gąbka i Ładniak, a dla pokonanych Adrian Myszkowski oraz Ireneusz Sajecki. Brązowe krążki przypadły w udziale piłkarzom Henpolu. Barw Metal-Worldu bronili: Piotr Białoszewski, Piotr Chlebuś, Michał Graniczka, Paweł Marzenowski, Grzegorz Mazurkiewicz, Dominik Pastusiak, Michał Temberski, Mariusz Miłobóg, Tomasz Gąbka, Przemysław Drozd, Bartłomiej Mańka, Łukasz Ładniak i Daniel Frąc. Na finiszu Worldowcy mieli jedenaście zwycięstw, jeden remis i jedną porażkę, bramki: 43 strzelonych (najwięcej) i 14 straconych (najmniej) oraz aż osiem punktów przewagi nad wicemistrzami z Henpolu.

Sezon 2007/2008

Następne rozgrywki toczyły się z udziałem takiej samej liczby zespołów jak przed rokiem. Obrońcy tytułu mistrzowskiego z Metal-Worldu po słabym początku potem rozkręcali się z meczu na mecz. Po pierwszej rundzie mieli dwa punkty straty do prowadzącego Henpolu. W drugiej nie mieli już sobie



Mistrz Metal-World 2007/2008. Górny rząd od lewej: Maciej Duda, Radosław Błaszczak, Michał Graniczka, Paweł Marzenowski, Mariusz Miłobóg, Łukasz Ładniak. Dolny rząd od lewej: Paweł Ferens, Piotr Białoszewski, Przemysław Drozd, Jarosław Błaszczak

równych, pokonując kolejno: Car Lux 4:3, Neptun 4:1 i Henpol 2:0, by w ostatnim spotkaniu... ulec 1:3 Solidarności PZL. Nie miało to już jednak większego znaczenia, bowiem „goniące” Henpol i Car Lux podzieliły się punktami, remisując 3:3. Wygrana Solidarności nad mistrzami nie dała temu zespołowi miejsca na podium, plasując ją na czwartej pozycji.

Sezon 2008/2009

W dziesiątym, jubileuszowym, sezonie rozgrywkowym Powiatowej Amatorskiej Ligi w halowej piłce nożnej pięcioosobowej „stan posiadania” w liczbie 54 zespołów został zachowany, a poziom sportowy

był jeszcze wyższy. Nie bez znaczenia był fakt napływu do ligi nowych zawodników, którzy mieli za sobą występy na ligowych boiskach. Nie udało się ekipie Metal-Worldu zanotować trzeciego z rzędu tytułu mistrzowskiego, choć była bardzo blisko. Wystarczyło w ostatnim meczu sezonu przynajmniej zremisować z Car Luxem. Niestety, Worldowcy po zaciętej walce ulegli rywalom 2:3 i musieli się zadowolić srebrnymi medalami. Car Lux występował w następującym składzie: Adrian Myszkowski, Tomasz Król, Ireneusz Czerniakowski, Marcin Zakrzewski, Andrzej Wawrzusiszyn, Mariusz Sawa, Piotr Salasa, Tomasz Wojciechowski, Mateusz Oszust, Maciej Wójtowicz, Ireneusz Czernij, Bartosz Nogas, Kamil Kowalski i Rafał Stępień. Z okazji jubileuszu ligi organizatorzy przygotowali pamiątkowe patery dla siedmiu zespołów oraz okolicznościowe medale i dyplomy dla 67 piłkarzy amatorów, którzy przez dekadę nieprzerwanie uczestniczyli w rozgrywkach.

Sezon 2009/2010

Do rywalizacji w pięciu ligach stanęło 47 zespołów. Walka o pierwsze miejsce – tak jak rok wcześniej – rozegrała się między Speed Carem (dawny Car Lux) i Metal-World, przy czym ci pierwsi obronę tytułu mistrzowskiego zapewnili sobie na dwie kolejki przed końcem sezonu. Pokonując pewnie Solidarność PZL 4:0 (bramki: Paweł Pranagal – 2, Marcin Zakrzewski i Kamil Kowalski), mieli aż siedem „oczek” przewagi nad Worldowcami, z którymi w ostatnim pojedynku sezonu zremisowali 1:1.



Mistrz Speed Car 2009/2010. Górny rząd od lewej: Tomasz Wojciechowski, Andrzej Wawrzusiszyn, Paweł Pranagal, Karol Lewczuk, Filip Wesołowski, Sebastian Ciolek. Dolny rząd od lewej: Mariusz Sawa, Marcin Zakrzewski, Tomasz Król, Maciej Wójtowicz, Kamil Kowalski

Bramki w tym meczu zdobywali odpowiednio: Tomasz Wojciechowski i Przemysław Drozd. Na trzecim stopniu podium, pomimo przegranej z Solidarnością PZL 1:2, znaleźli się Metalowcy. Speed Car zakończył sezon, mając na koncie dziesięć zwycięstw i trzy remisy oraz bilans bramkowy 42:8.

Sezon 2010/2011

W dwunastym sezonie rozgrywkowym – w porównaniu z poprzednim – na starcie rywalizacji stanęły o dwie ekipy więcej. W ekstralidze układ sił pozostał ten sam, a więc Speed Car i goniąca go praktycznie od początku „grupa pościgowa” z Metal-Worldem na czele. Speedcarowcy wygrali rywalizację w cuglach, mając na finiszu aż dziesięć punktów

przewagi (!!!) nad Worldowcami. W ostatniej kolejce, w meczu o prestiż między mistrzem a wice-mistrzem padł remis 2:2 (bramki: Paweł Pranagal, Tomasz Król – Patryk Sikora, Przemysław Drozd). Speed Car reprezentowali: Tomasz Król, Marcin Zakrzewski, Andrzej Wawrzusiszyn, Mariusz Sawa, Tomasz Wojciechowski, Paweł Pranagal, Karol Lewczuk, Kamil Kowalski, Jacek Ziarkowski, Wojciech Herda, Adrian Skiba, Marcin Wojda, Łukasz Gąbka i Adrian Ręba. Zdobywcy złotych medali jeszcze bardziej wyśrubowali swój rekord z poprzedniego sezonu, tym razem notując jedenaście wygranych i tylko dwa remisy oraz bilans bramkowy 44:17. Warto dodać, że na trzeciej lokacie dzięki wygranej nad Wodrolem 2:0 zameldowała się Solidarność-PZL.

Sezon 2011/2012

Walkę o pierwsze miejsce w nowym sezonie zapowiadało co najmniej kilka zespołów, oczywiście na czele z obrońcami tytułu mistrzowskiego. Rywalizacja o puchar starosty świdnickiego była pasjonująca i trwała praktycznie do ostatniej kolejki, w której poznaliśmy końcowy układ czołówki tabeli ekstrakligi. W bezpośrednich meczu mający dwa punkty przewagi Speed Car zmierzył się z wiceliderem Wodrolem. Remis, który utrzymywał się na 40 sekund



Mistrz Wodrol 2011/2012. Górny rząd od lewej: Radosław Szynkaruk, Piotr Kozłowicz, Daniel Babiarz, Marcin Kruk, Kamil Czapczyński. Dolny rząd od lewej: Patryk Czułowski, Konrad Zieliński, Tomasz Kalinowski

przed końcową syreną, dawał tym pierwszym czwartym z rzędu triumf w lidze. Wówczas akcję na wagę mistrzostwa przeprowadził Paweł Maziarz, a futbolówkę do siatki z bliska skierował Patryk Czułowski i detronizacja Speed Caru stała się faktem. Brązowe medale w tym sezonie przypadły Metalowcom.

W trzynastym sezonie rozgrywkowym w rywalizacji brało udział 46 zespołów.

Jacek Kosierb



Mieszkańcy Świdnika nie tylko kibicują Avii, ale także sami czynnie uprawiają sport

Zapomniane sekcje

Koszykówka

Koszykówka to jedna z najstarszych sekcji Avii. Powstała w 1953 r. W koszykówkę grali głównie zawodnicy uprawiający wtedy siatkówkę. Mecze odbywały się na boisku obok stadionu. W latach 50. ubiegłego wieku drużyna odniosła spory sukces. Na co dzień rywalizowała w A klasie, ale brała także udział w turnieju Mistrzostw Polski Federacji Stal. I dotarła do półfinału. W 1955 r. sekcja zawiesiła jednak działalność aż do 1962 r. Wtedy z inicjatywy Jerzego Burdzińskiego i Karola Szczotki udało się zgłosić drużynę do rozgrywek B klasy. Trenerem był Jerzy Seweryński, a w zespole grali m.in.: J. Burdziński, J. Rejban, T. Władysiuk, L. Pruszkowski, R. Wocior, J. Toruń i J. Malarski.

W 1964 r. do zespołu doszło kilku koszykarzy z Lublina (m.in. W. Komor, A. Olejnik, J. Karpiński, A. Stalewski i B. Mozel) i Avia awansowała do ligi okręgowej, a rok później do międzywojewódzkiej.

W 1967 r. przyszedł kolejny sukces: juniorzy ze Świdnika zdobyli wicemistrzostwo województwa

lubelskiego. Najlepszymi zawodnikami w tym zespole byli: A. Gdula, R. Jankowski, J. Jankowski, L. Czop, W. Nierojewski i Z. Szymczak.

W 1971 r. zespół młodzików wywalczył puchar ZMS województwa lubelskiego. Seniorzy z kolei w sezonie 1970/1971 walczyli o awans do II ligi. Niestety, mimo niezłej postawy ta sztuka się nie udała. W sierpniu 1979 r. sekcja została zlikwidowana.

Trenerzy

Jerzy Seweryński, Witold Mazurek, Maciej Mamiński, Jerzy Kuryzna.

Koszykarze Avii w latach 1962-1979

Robert Bicki, Henryk Barwiński, Konrad Burdziński, Dariusz Czajkowski, Stefan Chodurski, Jerzy Gajzler, Janusz Hanaka, Grzegorz Jarecki, Zbigniew Jasiński, Ryszard Jankowski, Jerzy Jankowski, Janusz Kasperek, Jerzy Kuryzna, Wiesław Komor, Janusz Krzeczowski, Leszek Łojek, Tomasz Mamiński, Zbigniew Mącik, Krzysztof Mielniczuk, Witold

Mazurek, Bogdan Mozel, Jerzy Nowosad, Marek Nowosad, Witold Nierojewski, Jerzy Ostrowski, Tomasz Ochnik, Kazimierz Ostrowski, Artur Rozwód, Wiesław Rozwód, Zenon Stelmajster, Andrzej Stalewski, Tadeusz Smoczyński, Zbigniew Szymczak, Waldemar Wiczerzak, Krzysztof Woźniak, Zbigniew Woźniak.

Lekkoatletyka

Sekcja powstała rok po koszykówce. Pierwszymi zawodnikami byli m.in.: Józef Szewczyk, Czesław Kuśmirek i Kazimierz Fariaszewski. Najbardziej popularną dyscypliną były biegi. W nich wyróżniali się: Irena Fariaszewska, Roman Kierepka, Tadeusz Zakrzewski, Karol Szczotka, Eugeniusz Bączyński i Zdzisław Flis.

W 1956 r. w Świdniku odbył się lekkoatletyczny czwórmeć z udziałem Lublinianki, Łady Biłgoraj, LZS Chełm i Avii. Drużynowo zwyciężyła ekipa ze Świdnika. Swoje konkurencje wygrali m.in. tacy zawodnicy Avii, jak: Leszek Kuśmirek w biegu na 100 m, Zbigniew Dynysiuk na 1500 m, Stanisław Rybarczyk na 3000 m, Leszek Tarkowski w skoku w dal, Stanisław Stachyra w rzucie młotem, w rzucie dyskiem i w skoku wzwyż, Kazimierz Jasiński w pchnięciu kulą, Józef Kaczan w skoku o tyczce, Elżbieta Słonec w rzucie dyskiem i pchnięciu kulą, W. Borkowski, W. Bogudziński, L. Kuśmirek i L. Tarkowski w sztafecie 4 × 100 m.

Lekkoatleci Avii występowali w lidze okręgowej, brali także udział w mistrzostwach województwa

i Polski. Dyskobolka Elżbieta Słonec broniła nawet barw Polski juniorów w meczu przeciwko NRD, Bułgarii i Czechosłowacji. Ta sama zawodniczka osiągnęła także swój największy sukces, zdobywając brązowy medal dla naszego kraju w rzucie dyskiem. Sekcja istniała do 1975 r.

Lekkoatleci Avii

Leszek Kuśmirek, Leszek Tarkowski, Stanisław Czajka, Stanisław Sokalski, Krystyna Czajka, Ewa Serpatowska, Lidia Kryczek, Janina Franczak, Marzena Wilk, Janusz Głogowski, Wiktor Bogudziński, Leszek Fleszowski, Paweł Maciejczyk, Krzysztof Stańczak, Włodzimierz Stańczak, Andrzej Lodowski, Tadeusz Zabiegły, Bogdan Ścibior, Antoni Kurtz, Czesław Sobieszek, Aleksander Suski, Janusz Ulrych, Edward Sak, Jacek Włosek, Edward Bach, Paweł Dobrowolski, Jerzy Sutryk.

Działacze sekcji

Józef Szewczyk, Czesław Kuśmirek, Ludwik Król, Jerzy Pejo, Henryk Panasiuk, Roman Kierepka, Marian Kos, Bogdan Ścibior, Marian Zimny, Marian Bartkowiak, Irena i Kazimierz Fariaszewscy, Tadeusz Zakrzewski

Szermierka

Żołędziem i kierownikiem sekcji był Jan Janiszewski. Zawodnicy najpierw trenowali pod gołym niebem, a następnie w baraku przy obecnej

al. Lotników Polskich, gdzie później mieściły się Lubelskie Zakłady Przemysłu Terenowego „Lubgal”. Treningi szermierzy trwały dwa lata.

Kolarstwo

Sekcja powstała na przełomie lat 1953 i 1954 i istniała do końca 1956 r. Jej kierownikiem był Jerzy Korba. Swoich sił w tej dyscyplinie próbowali



Wiesław Doroba zwycięzca Wyścigu Ziemi Lubelskiej przed startem do II etapu w Zamościu

m.in. Stanisław Grześ, Jan Grześ, E. Pudło, Marian Łata, Waldemar Kochaniec i Fryderyk Poniewożik. Ten ostatni jako jedyny świdniczanin uczestniczył w Wyścigu Dookoła Polski.

Hokej na lodzie

Sekcja istniała jeden sezon. W zimie 1955 r. grupa zapaleńców z Bogdanem Jaświłko na czele przygotowała lodowisko na boisku obok licem przy ówczesnej ul. Świerczewskiego (obecnie Okulickiego). Pierwszy mecz hokejowy w historii Świdnika rozegrano z reprezentacją Lublina.

Narciarstwo

W zimie 1952 r. grupa bielczan, która przyjechała do pracy w Świdniku, rozpoczęła regularne treningi pod okiem Leona Barańca. Zorganizowano także pierwsze zawody na trasie wokół osiedla robotniczego. Sekcja, w której trenowało około 30 zawodników, istniała jedynie trzy sezony.

Tenis stołowy

Sekcja działała 4 lata – od 1952 r. do 1956 r. Jej organizatorem i kierownikiem był Janusz Aleksandrowicz. W ostatnim roku działalności teniści w składzie: Piotr Prus, Józef Dobroń, Wojciech Michalik oraz Alfons Magryta, uczestniczyli nawet w turnieju eliminacyjnym o awans do II ligi.

Opr. na podstawie monografii Andrzeja Kwieka, *Fabryczny Klub Sportowy Avia w 30-lecie miasta Świdnika*, Świdnik 1985



Festyn rekreacyjno-sportowy z udziałem świdniczan

Ognisko TKKF Świt 1961–2011

Przy Radzie Zakładowej Związku Zawodowego Metalowców WSK Świdnik 13 września 1961 r. powstało Ognisko TKKF Świt. Pomysłodawcami powołania do życia ogniska byli działacze społeczni: Bolesław Szalach, Józef Szewczyk, Jan Kordas, Tadeusz Władysiuk, Wanda Kondraciuk, Ryszard Wiland, Stefan Socha, Marian Smoliński, Tadeusz Niedzielski, Tadeusz Skrzeczkowski, Janusz Moniak, Zdzisław Skowroński i Kazimierz Tomaszewski. Ta grupa weszła w skład zarządu założycielskiego. Celem działalności była popularyzacja sportu rekreacyjnego w takich dyscyplinach, jak: piłka nożna, siatkówka, pływanie, lekkoatletyka, gimnastyka rekreacyjna i strzelectwo. Do tego dochodziła organizacja spartakiad zakładowych, obozów i gier dla dzieci i młodzieży.

Działalność ogniska była możliwa dzięki wsparciu finansowemu WSK, Rady Zakładowej Związku Zawodowego Metalowców, a później także dzięki pozostałym związkom zawodowym, wsparciu miasta i Starostwa Powiatowego.

Przez kilkadziesiąt lat działalności Ognisko TKKF Świt zorganizowało liczne imprezy sportowe. Wiele

z nich przeszły już do lamusa. I tak, niewiele osób pamięta dziś, że w 1966 r. zarząd ogniska, w porozumieniu z dyrekcją WSK, wprowadził w czasie przerw w pracy gimnastykę rekreacyjną, tzw. 10-minutowki dla chętnych pracowników. Zajęcia prowadzili Jan Kordas i Zbigniew Puczek. Udział w nich brało ok. 260 osób. W tym samym czasie instruktorzy: Barbara Trojanek, Norbert Jędrusik i Ryszard Wiland prowadzili zajęcia w szkółce jazdy figurowej na lodzie. Pomysłodawczynią tego przedsięwzięcia była Wanda Kondraciuk. Inne ciekawe imprezy to m.in.:

W 1972 r. odbyła się spartakiada młodzieżowa, podczas której największym powodzeniem cieszył się krykiet. W tej dyscyplinie swoich sił próbowało 115 osób.

W 1974 r. dużym powodzeniem cieszył się m.in. turniej szachowy o mistrzostwo hoteli robotniczych, a w brydżu sportowym (w tym turnieju wzięło udział 62 mieszkańców hoteli robotniczych) odbyły się mistrzostwa Świdnika.

Antoni Sagan i Elżbieta Czerwińska zwyciężyli w rozegranej dwa lata później spartakiadzie



Zakończenie ligi siatkówki w 2006 roku

zakładowej w strzelectwie, a w międzyhotelowym turnieju siatkówki najlepsza okazała się drużyna hotelu Eroica.

W kolejnych latach działalności Ogniska okazało się, że zainteresowanie sportem i rekreacją wśród świdniczan nie maleje. I tak, w 1978 r. w spartakiadzie zakładowej wzięło udział aż 531 osób.

Stan wojenny przerwał dobrą passę w strzelectwie. Do 1986 r. nie odbyły się żadne zawody w tej dyscyplinie, a broń była zdeponowana w policyjnym depozycie.

W 1983 r. siatkarze TKKF Świt zajęli 3. miejsce na turnieju w Ciechanowie. Skład świdnickiej ekipy: Ryszard Rzędzicki, Kazimierz Patrzała, Ryszard

Zieliński, Zbigniew Magolan, Andrzej Guz, Stanisław Michalak i Mirosław Szczepaniak.

Rok 1988 – międzypaństwowy mecz siatkówki między Świttem a drużyną Autotrans Berlin. Świdniczanie nie byli zbyt „mili” dla gości z ówczesnej NRD i wygrali 3:2.

W 1995 r. sekcja strzelecka była organizatorem mistrzostw Świdnika w strzelectwie. W zawodach uczestniczyło 42 zawodników. Wygrał Jarosław Zawistowski. Drugi był Andrzej Rosiak, a trzeci – Dariusz Błaszczak.

Trzy lata później reprezentant Ogniska TKKF Świt zdobył brązowy medal w Mistrzostwach Świata Masters w dalekiej Casablance. Był to znany i ceniony trener pływaków Avii – Marian Raczyński.

W 2002 r. świdnickie ognisko było organizatorem IX Olimpiady Osób Niepełnosprawnych. Uczestniczyły w niej ekipy z całego województwa lubelskiego.

W latach 2003–2005 odbyło się siedem imprez strzeleckich, w których z powodzeniem startowali zawodnicy świdnickiej ekipy.

W kolejnych latach coraz większą popularnością cieszyły się turnieje piłki nożnej. W jednym z nich, w 2010 r., rywalizowało aż 16 drużyn z pow. świdnickiego. Rok później do Amatorskiej Ligi Szóstek przystąpiły 24 drużyny.

Opracowano na podstawie publikacji Ryszarda Wilanda, *Kronika. 50 lat działalności 1961–2011, Ognisko TKKF Świt w Świdniku*, Świdnik 2011



Reprezentanci TKKF Świt na zawodach strzeleckich



Henryk Jaworski

Jak Świdnik to latanie

Lotnicza historia Świdnika sięga czasów przedwojennych. W styczniu 1937 r. dowódca lotnictwa, gen. bryg. pil. Ludomił Rayski, stwierdził, że najodpowiedniejszym miejscem budowy lotniska byłby Lublin, który został wymieniony w sprawozdaniu z działalności Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej (LOPP) za rok 1937. Być może o wyborze miejsca na lotnisko i szkołę pilotów LOPP przeważała opinia generała Leona Berbeckiego, inspektora armii i prezesa Zarządu Głównego LOPP, który urodził się w Lublinie w folwarku na Kalinowszczyźnie i miał sentyment do tych stron.

Na lokalizację wybrano teren sąsiadujący z dużym kompleksem leśnym. W 1937 r. odkupiono od Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo (szarytki) 146 ha gruntów. I już jesienią tego roku rozpoczęto budowę szkoły pilotów cywilnych.

Uroczystość otwarcia i poświęcenia powstałej w niespełna dwa lata Szkoły Pilotów Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej oraz nadania jej imienia odbyła się 4 czerwca 1939 r.. Osobiście przybył Naczelnny Wódz Armii Polskiej Marszałek Edward

Śmigły-Rydz. Szkole przekazano wówczas trzynaście samolotów, ufundowanych m.in. przez ziemian i nauczycieli. Były to polskie konstrukcje RWD-8, RWD-13 oraz RWD-17.

To jedno z najpiękniejszych wtedy lotnisk cywilnych w Polsce i wzorcową szkołę ufundowali pracownicy Komunalnych Kas Oszczędnościowych oraz mieszkańcy regionu. Kompleks składał się z głównego budynku szkoły, budynku administracyjnego, dwóch hangarów, stacji paliw, magazynu smarów i basenu – zbiornika ppoż.





Budynek szkoły pilotów, 1939 r.

Otwarcie lotniska w Świdniku odciążyło inne lubelskie lotniska. Wcześniej w Lublinie z powodu przeciążenia wprowadzony został nawet zakaz lądowania samolotów, a LOPP i Aeroklub Lubelski nie były w stanie przeszkolić wszystkich chętnych kandydatów na pilotów. Po otwarciu lotniska do Świdnika przeprowadził się Aeroklub Lubelski.

Zniszczone podczas wrześniowych bombardowań lotnisko zajęte zostało przez Niemców i było wykorzystywane przez Luftwaffe.

W czerwcu 1941 r. w związku z rozpoczęciem operacji pod kryptonimem Barbarossa, agresji III Rzeszy na ZSRR, w Świdniku przebywało kilkuset żołnierzy. Byli to członkowie załóg ponad 70 Junkersów.

W obliczu nadciągających wojsk sowieckich i polskich, w lipcu 1944 r., Niemcy zaorali teren lotniska, pozostawiając jedynie wąski pas startowy, a następnie wysadzili w powietrze budynek szkoły i hangary.

Po zabudowaniach, zniszczonych przez wycofujących się Niemców, pozostało niewiele: zbiornik przeciwpożarowy, studnia, rura spustowa deszczówki oraz niewielki fragment muru.

Lotnisko w lipcu 1944 r. zostało zajęte przez wkraczające wojska i używane przez sowieckie lotnictwo nie tylko do celów ściśle związanych z toczącą się nadal wojną, ale także w celach politycznych i, niestety, również w związku z prowadzeniem prześladowań.

14 sierpnia 1946 r. na świdnickim lotnisku podczas uroczystości reaktywowano Aeroklub Lubelski. Przybyłych gości powitał absolwent Szkoły Pilotów LOPP Jerzy de Tramecourt, syn ostatniego wojewody lubelskiego II Rzeczypospolitej, rozstrzelanego przez Niemców w listopadzie 1939 r.

Zademonstrowano pierwszy polski powojenny samolot Szpak 2, wykonano loty szybowcowe i skoki spadochronowe, a pokaz pilotażu zademonstrowały samoloty wojskowe z Dęblina.

Podstawowym wyposażeniem aeroklubu były wówczas popularne kukuruźniki, czyli samoloty Po-2. Aeroklub prowadził działalność w sekcjach: modelarskiej, spadochronowej, szybowcowej i samolotowej.

W 1947 r. na betonowej podłodze zburzonego przedwojennego hangaru postawiono nowy, mniejszy drewniany hangar, który stoi w tym miejscu do dzisiaj.

W 1951 r. Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego rozpoczęła produkcję lotniczą. Z tego powodu lotnisko zostało zamknięte dla ruchu cywilnego.



Widok na lotnisko i budynki szkoły pilotów, 4 czerwca 1939 roku. CAW



Na świdnickim lotnisku przy samolocie PO-2 (SP-ADD) stoją: NN, Sieńczyk, kierowca, M. Godlewski, NN, Bodryński, G. Malik, Jerzy de Tramecourt, Opaliński, K. Wojniak. W tle, po lewej stronie, widać pozostałości budynku administracyjnego szkoły pilotów, a w głębi przejeżdżający pociąg; na rewersie zdjęcia odrębna adnotacja: 1947 rok

Z lotniska mogli korzystać wyłącznie piloci zatrudnieni w WSK. Dlatego dotychczasowy użytkownik lotniska – Aeroklub Lubelski – zmuszony był przenieść się do Radawca.

Liczna grupa entuzjastów lotnictwa została pozbawiona szkolenia i treningu. Odległość od Radawca, skromne jak na tamte czasy możliwości transportu oraz perspektywa wykonywania lotów tylko



Przed drewnianym hangarem przy samolocie PO-2 stoi pierwszy z prawej Paweł Zołotow, ok. 1948 r.



Pierwszy samolot aeroklubu

w niedziele i święta nie sprzyjały kontynuowaniu latania.

W styczniu 1952 r. z inicjatywy Alfreda Ratajczaka powstało Koło Ligi Lotniczej. Dzięki staraniom Nikodema Buchowieckiego, Antoniego Grabowskiego, braci Zbigniewa i Zdzisława Klimkiewiczów oraz Zbigniewa Piaseckiego Zarząd Główny Ligi Lotniczej wyraził zgodę na założenie aeroklubu, który został zarejestrowany 11 października 1952 r. jako Aeroklub Fabryczny.

Pierwszym kierownikiem został Zbigniew Piasecki, zapalony modelarz i miłośnik lotnictwa. Na początku wszyscy członkowie aeroklubu byli pracownikami WSK, pracującymi w aeroklubie społecznie. Pierwszym etatowym instruktorem szybowcowym był Olgierd Ginejko. Szkolenie samolotowe prowadzono pod okiem inst. sam. Ryszarda Kosiola.

Do szkolenia przystąpili: Andrzej Ciesielski, Jan Cholewka, Julian Kaleta, Wojciech Trawiński, a także Irena Pietrzak (później Kostka) z Mełgi – starsza siostra słynnej szybowniczki Pelagii Majewskiej, która była pierwszą Polką odznaczoną medalem Lilienthala.

Liga Lotnicza przekazała aeroklubowi dwa szybowce: szkolny ABC i treningowy Salamandra oraz samolot PO-2, na którym zimą latano na nartach.



Ryszard Kosiół (z prawej) i Tadeusz Góra, listopad 1951 r.



W samolocie Farman siedzi Paweł Zołotow, pierwszy z prawej Zbigniew Piasecki

W 1953 r. w aeroklubie nastąpiły zmiany organizacyjne, które obowiązywały do 1956 r. Specyfiką szkolenia było to, że w ciągu tygodnia latano i skakano głównie po godzinach pracy. Tylko niedziele i święta wykorzystywano na loty całodziennne.

Aeroklub działał już pod zmienioną nazwą, jako jeden z nielicznych przyjął do nazwy przymiotnik

„robotniczy”. Kierownikiem Aeroklubu Robotniczego został ppor. pil. Henryk Konieczka, a szefem wyszkolenia instr. Stanisław Gajewski. Później kierownikiem aeroklubu był Jarosław Staroszczak.

Działalność rozpoczęły 4 sekcje specjalnościowe: samolotowa, szybowcowa, spadochronowa i modelarska. Od 1955 r. instruktorami szybowcowymi byli:



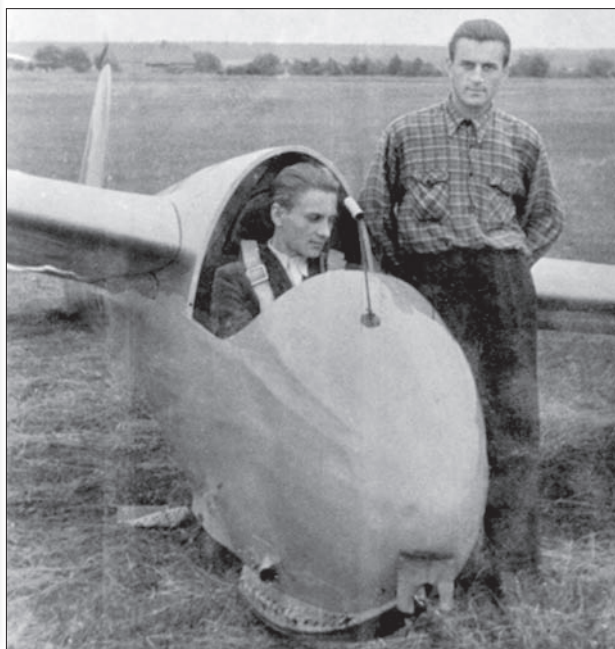
Antoni Grabowski



Na lotnisku stoją od lewej: Nikodem Buchowiecki, Ludwik Natkaniec, Stanisław Gajewski, Zbigniew Chyliński, Henryk Konieczka, sierpień 1954 r.



Grupa trenerów przy samolocie Zlin 26 trener. Od lewej: Julian Kaleta, Tadeusz Zach, Nikodem Buchowiecki, Ludwik Natkaniec, Marian Magnowski



W kabine szybowca Mucha siedzi Jan Kosior stoi Tadeusz Modrzejewski



Zbigniew Piasecki z modelem śmigłowca i przy samolocie



Tablo z kroniki zakładu, oprac. Mieczysław Kruk, Stanisław Sulewski, 1959

inst. szyb. Leon Sztuka i Stanisław Ratusiński oraz inst. szyb. społeczny Kazimierz Samborski, Henryk Gołębiowski, Stanisław Szostakowicz.

Do końca 1956 r. piloci sekcji szybowcowej zdobyli 12 srebrnych odznak szybowcowych i kilka warunków do złotej odznaki szybowcowej. Wśród nich byli ww. oraz Julian Kaleta, Andrzej Ciesielski, Tadeusz Rachlewicz, Zbigniew i Stefan Prandota, Izidor Popik, Eugeniusz Fuchs, Rajmund Janiaczyk.

Spadochroniarzy trenował instruktor spad. Wojciech Trawiński, następnie sekcję objął Czesław Robak, instruktorem spadochronowym był także inst. spad. Zdzisław Chyliński, który przeszkolił najwięcej skoczków. Po latach, dzięki współpracy ze Związkiem Spadochroniarzy Polskich, udało się w mieście zorganizować coroczne Międzynarodowe Zawody Spadochronowe.

Sekcja przeszkalała głównie pilotów samolotowych i szybowcowych. Szkolenie było mozolne i długie, ponieważ dysponowano samolotami mogącymi zabrać tylko jednego skoczka.

Do znanych w tym czasie spadochroniarzy należeli: Tadeusz Rachlewicz, Izidor Popik, Janusz Poczachowski, Julian Kaleta i Tadeusz Zach.

Szkolenie samolotowe prowadzili Stanisław Gajewski oraz instruktor Nikodem Buchowiecki, Zbigniew Prandota oraz przejściowo Stanisław Szustakiewicz i Aleksander Sakowicz z żoną.

Dla młodych pracowników WSK pierwsze lata szkolenia samolotowego były okresem nabywania umiejętności. Do tych szczęśliwców należeli: Julian



Kaleta, Tadeusz Zach, Ryszard Kasperek, Hipolit Mikołajewski, Marian Magnowski.

Od 1957 r. w aeroklubie rozpoczął się nowy okres. Środowisko lotników powiększyło się o nowych pracowników w związku z podjęciem seryjnej produkcji śmigłowców. Do klubu dołączyli nowi zawodnicy: byli to m.in. Henryk Jaworski, Janusz Supryn, Eugeniusz Milcarz, Wiesław Mercik, Walerian Włodarkiewicz, Czesław Robak, Czesław Dyźma i inni.

Dość niecodzienna historia wiąże się z osobą Waleriana Włodarkiewicza. Podczas wojennej zawieruchy los rzucił jego rodzinę na Daleki Wschód. On sam urodził się w Chinach. Nieznane są dokładne okoliczności zdarzenia, ale wiadomo, że za granicą rodzina straciła ze sobą kontakt. Po wojnie Walerian Włodarkiewicz został pilotem. Latał m.in. rejsowymi samolotami pasażerskimi. Podczas jednego z rejsów przeżył najszcześniejszą chwilę w swoim życiu. Na pokładzie spotkał swoją mamę.

Rok 1957 można również uznać za początek tzw. świdnickich rodów lotniczych: Jaworskich, Kasperków, Zachów, Prandotów, Kaletów.

Szefem wyszkolenia został 21-letni wówczas Stanisław Kasperek, wschodząca gwiazda akrobacji samolotowej. We wrześniu 1961 r. Kasperek został kierownikiem aeroklubu. Uporządkował sprawy organizacyjne, zacieśnił współpracę z WSK i na szerszą skalę szkolił młodzież i pobudzał sportową rywalizację. Pod jego kierownictwem aeroklub pręźnie się rozwinął, stając się jednym z najlepszych w Polsce.

Od 1964 r. organizował pokazy lotnicze ze znaną mistrzowską rewią akrobacyjną Kasperków w luźnym locie tuż nad ziemią.

Kierownikiem aeroklubu – przez wiele lat – był później Tadeusz Kern, brat słynnego poety i satyryka Jerzego Ludwika.

Sekcję modelarską prowadził Adam Syroka. Później – Henryk Hawraj, Zbigniew Piasecki, Krzysztof Komenda, Andrzej Lipiński i Władysław Starobrat, który obecnie wraz ze swoimi wychowankami sięga i zdobywa po tytuły mistrzów świata. Dziś szkoleniem zajmuje się również Krzysztof Gładysz.

Kierownictwo aeroklubu objął Henryk Konieczka, a szefem technicznym został Jan Świeczyński, który kierował ekipą mechaników w składzie: Marian Puszką, Stefan Głęb, Jerzy Podgórski i Jan Kijowski. Kierownikiem technicznym był później także Ryszard Kasperek.

Na początku aeroklub był praktycznie jednym z wydziałów fabryki. WSK wspomagała aeroklub



Grupa mechaników

remontami samolotów, budową hangaru, wypożyczaniem śmigłowców, zaopatrywała we wszelkiego rodzaju materiały, z piśmiennymi włącznie.

Utworzenie w aeroklubie w 1964 r. pierwszej i jedynej w kraju sekcji śmigłowcowej, której szefem został Ryszard Kosioł, przyczyniło się do zorganizowania w 1967 r. w Świdniku I Krajowych Zawodów Śmigłowcowych.

Przeprowadzono je ponownie w 1969 r., a w 1971 r. uzyskały nazwę I Śmigłowcowych Mistrzostw Polski.

W 1973 r. Świdnik miał już wyniki plasujące go w krajowej czołówce. W ciągu pierwszych 20 lat istnienia Aeroklubu Robotniczego w Świdniku wyszkolono 110 pilotów samolotowych, 350 szybowników,

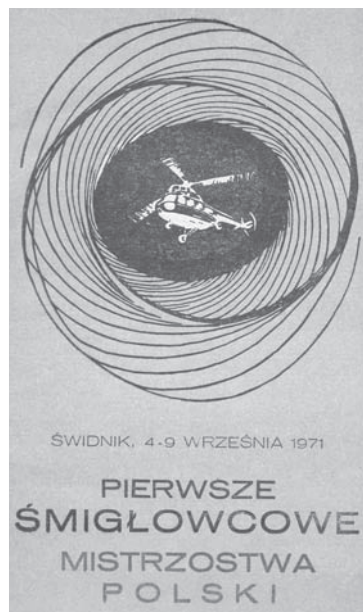


Młodzi modelarze

500 spadochroniarzy i 1500 modelarzy. W tym czasie uzyskano 50 srebrnych odznak szybowcowych, 15 złotych i 4 diamentowe.

W 1980 r. Aeroklub Polski zakupił dla Świdnika samolot Zlin 50. Na coroczne szkolenie szybowników zgłaszała się ponad 20-osobowa grupa, zaczęli na Bocianie, potem przesiadali się na Muchy, Piraty. Wyróżniający się startowali w zawodach, podczas których medale zdobyli: Mariusz Prandota, Mirosław Patiejuk, Zbigniew Nieradka. Bardziej zaawansowani piloci szybowcowi szkolili się też na samolotach. Niewiele mniej aktywna była grupa uczniów-spadochroniarzy.

Szefem wyszkolenia był początkowo Władysław Dziadowicz, a po jego odejściu – Leszek Wlazło. Wśród instruktorów szybowcowych bardzo intensywnie szkolili uczniów Wiesław Myszak, Małgorzata Białowas-Burczak, Tomek Mańko, Waldemar Wrona, Piotr Całkowski i Janusz Furtak, który prowadził też sekcję spadochronową. W szkoleniach



Folder I Śmigłowcowych Mistrzostw Polski



Junior i Pirat w locie



Szybowiec PW 5 nad lotniskiem

szybowcowych i samolotowych społecznie młodych wspierali piloci zakładowi, w tym Antoni Grabowski, Henryk Jaworski i śmigłowcowy pilot doświadczalny Wiesław Mercik.

W 1990 r. Waldemar Jaworski ustanowił rekord Polski na trasie 750 km, lecąc z prędkością 104,9 km, Zbigniew Nieradka został wicemistrzem Polski w szybowcowej klasie juniorów, a Jarosław Rozwód mistrzem Polski w grupie B.

W latach 90. ubiegłego wieku w Aeroklubie Robotniczym w Świdniku powstały następne sekcje: balonowa, kierowana przez Adama Gruszczyńskiego, i motolotniowa, kierowana przez Krzysztofa Komendę.



Instruktorzy Adam Sokołowski i Stanisław Malczyk w motolotni ML 1



Krzysztof Komenda, w kombinezonie, z członkami aeroklubu. Pierwszy z prawej Paweł Zolotow. Fot. Jaśkiewicz – CAF

W 1997 r. Aeroklub Robotniczy został zarejestrowany w Sądzie Wojewódzkim w Lublinie z odrębną osobowością prawną pod nazwą Aeroklub Świdnik.

Zawodnicy Aeroklubu Świdnik przez wiele lat rozslawiali nasze miasto i polskie lotnictwo. Sięgali po tytuły mistrzów Polski, a nawet mistrzów świata w wielu dziedzinach sportów lotniczych.

Siedem rekordów modelarzy

Podczas zawodów w Krakowie w 2005 r. oraz Mistrzostw Polski modeli kosmicznych rozegranych

w Lisich Kątach nasi modelarze ustanowili czternaście nowych rekordów świata. Trzy rekordy ustanowił Władysław Starobrat, dwa Jarosław Gromada i po jednym Krzysztof i Marek Arasimowicz, wszyscy z Aeroklubu Świdnickiego. Rok później Beata Sadowska pobiła rekord w kategorii modeli rakiet czasowych.

W 2008 roku podczas Mistrzostw Świata w Hiszpanii w grupie juniorów Paweł i Szymon Arasimowiczowie zdobyli zespołowo tytuł wicemistrzów świata, a Paweł Arasimowicz został indywidualnym wicemistrzem świata.

W roku 2012, podczas Mistrzostw Świata na Słowacji, Patryk Sadowski zdobył tytuł mistrza świata.

Wszechstronny pilot

Aktualnym szybowcowym mistrzem świata z Szeged 2010 r. i wicemistrzem Europy z 2011 r. w klasie 18-metrowej jest Zbigniew Nieradka, wychowanek świdnickiego aeroklubu, zawodowy pilot samolotowy, pracujący na co dzień w liniach WizzAir. Zbigniew Nieradka jest zdobywcą 14 medali na mistrzostwach Polski, w tym trzech złotych, siedmiu srebrnych i czterech brązowych. Zanim został doświadczonym pilotem, przeżył niecodzienną historię, na szczęście pomyślnie zakończoną.

– Byłem wtedy studentem w Rzeszowie i początkującym szybownikiem. Pisałem egzamin, patrzyłem w okno i planowałem, że jak tylko dostanę wpis do indeksu, to wsiadam w pociąg i jadę do Świdnika na lotnisko. Całą noc nie spałem, na

lotnisku zameldowałem się o 5 rano. Byłem jednak tak zmęczony i śpiący, że w szybowcu przysypiałem. W efekcie latałem trzy godziny – jak się potem okazało – z wypuszczonym podwoziem. Podchodząc do lądowania z wiatrem, schowałem to podwozie – a zgłosiłem, że wypuściłem – i wylądowałem na brzuchu. Na szczęście, nic się nie stało.

Zimowe latanie

W 2012 r. rozegrano już po raz 46. – jedyne takie na świecie, Lubelskie Zimowe Zawody Samolotowe.

Pierwsze takie wyjątkowe, jedyne w tak nie-lotniczej – zadawałoby się – porze roku, zawody rozegrano w 1931 r. W lutym 1939 r. rozegrano w Świdniku VI Lubelsko-Podlaskie Zimowe Zawody Lotnicze. Udział w nich wzięło dwadzieścia zakwalifikowanych załóg i dwie uczestniczące poza konkursem. Warunki pogodowe były bardzo trudne, dwie załogi uszkodziły samoloty. Zwyciężyła załoga Aeroklubu Krakowskiego, Józef Rojek i Juliusz Klein, startująca na samolocie RWD-8. W zawodach uczestniczył, jako obserwator w załodze Aeroklubu Wileńskiego, Tadeusz Góra – zdobywca Medalu Lilienthala w 1938 r. za rekordowy przelot szybowcem



Okolicznościowy stempel VI Lubelsko-Podlaskich Zimowych Zawodów Lotniczych



Odprawa pilotów przed startem w zimowych zawodach w latach 60.

na trasie Bezmiechowa-Soleczniki Małe. Była to jego pierwsza wizyta w Świdniku, z którym związał kilkadziesiąt ostatnich lat życia. Załoga wileńska, pilot Wacław Mackiewicz i obserwator Tadeusz Góra, w klasyfikacji końcowej zawodów zajęła XI pozycję.

Po wojnie, 22 lutego 1963 r., na świdnickim lotnisku reaktywowano Zimowe Zawody Samolotowe – w prawdziwie zimowej aurze zimy stulecia, przy obfitym śniegu i siarczystym mrozie.

W zawodach startowali najlepsi polscy piloci, wśród nich takie sławy, jak Stanisław Wigura, Zygmunt Puławski, patron świdnickiej WSK, czy Wacław Nycz, wielokrotny mistrz świata w lotach rajdowo-nawigacyjnych.

Świdniccy piloci chlubnie zapisali się w historii zawodów, wielokrotnie w nich zwyciężając.

Rekordowa pod względem liczby zwycięstw była załoga pilota Ryszarda Kasperka i nawigatora Eugeniusza Milcarza, startująca na Gawronie, samolocie



Samolot na nartach na świdnickim lotnisku

PZL-101 Gawron, i zwyciężająca czterokrotnie (1966, 1968, 1970, 1972). Po jednym zwycięstwie zdobyły załogi: pil. Henryka Jaworskiego i nawigatora Juliana Kalety na Gawronie (1973) oraz pil. Waldemara Jaworskiego i nawigatora Krzysztofa Kaczmarka, na samolocie PZL-104 Wilga (1987).

Stanisław Gajewski

Kiedy w latach 50. XX wieku uruchomiona została w WSK produkcja śmigłowca, startowano od zera. Brak było doświadczenia, instrukcji i czegośkolwiek, co ułatwiłoby poznanie pilotom obsługi i eksploatacji śmigłowca. Sami więc opracowali program szkolenia, technikę pilotażu i zasady wykonywania różnego rodzaju lotów. Później tą świdnicką metodyką szkolenia i pilotażu zaszczerpiono klientów zakładu w Bułgarii, Jugosławii, Czechosłowacji, na



Stanisław Gajewski

Węgrzech, w Finlandii, Niemieckiej Republice Demokratycznej, Indonezji, Brazylii, Iraku, Iranie, Libii.

Spore sukcesy jako pilot śmigłowcowy osiągnął w tamtym okresie pilot Stanisław Gajewski. W 1957 r. ustanowił dwa rekordy świata. Pierwszy, na śmigłowcu SM-1 w klasie ciężarowej. Na wysokość 3 tys. metrów wzniósł się wtedy w 6 minut 45 sekund. Drugi – przy maksymalnej wysokości lotu – 6394 m, dla wszystkich śmigłowców w kategorii śmigłowców ciężarowych.

Tadeusz Góra

Ten pilot-legenda w 1977 r. przeniósł się do Świdnika, gdzie rozpoczął szkolenie na śmigłowcach. Rok później, jako 60-latek, uzyskał uprawnienia instruktorskie. W WSK „PZL-Świdnik” pracował jako pilot fabryczny, kierownik lotów, szef wyszkolenia pilotów w Libii i po powrocie znowu jako kierownik lotów. W Libii uczył latania na śmigłowcach Mi-2, od wiosny 1979 do jesieni 1981 r., pracując w Zespole Polskich Specjalistów Śmigłowcowych w Misuracie. Swoją ostatni lot za sterami śmigłowca wykonał 1 czerwca 1987 r., mając 69 lat.

Tadeusz Góra stał się wizytówką Świdnika. Z okazji 80. urodzin, 19 stycznia 1998 r., Rada Miasta Świdnik nadała mu tytuł „Zasłużony dla Miasta Świdnika”. 15 sierpnia 2007 roku, w Święto Wojska Polskiego, Tadeusz Góra otrzymał od Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego nominację na stopień generała brygady w stanie spoczynku. Do otrzymania stopnia generała przyczyniło się wiele osób i instytucji



General brygady pilot Tadeusz Góra

(m.in. Kluby Seniorów Lotnictwa z całej Polski, Stowarzyszenie Lotników Polskich, posłowie Ziemi Lubelskiej, władze wojskowe oraz burmistrz Świdnika), którzy wspólnie o to zabiegali.

Tadeusz Góra zmarł we własnym mieszkaniu w Świdniku 4 stycznia 2010 roku.

Henryk Jaworski: głowa lotniczej rodziny

Henryka Jaworskiego można uznać za nauczyciela kilku pokoleń lotników. W 1963 r. za szybowcowy przelot znad Mełgwi do Zielonej Góry otrzymał diamenty za przelot otwarty ponad 500 km

i docelowy 300 km. Opanował pilotaż 22 typów szybowców i 18 samolotów. W powietrzu spędził ponad 11 tys. godzin.

– Na samolocie szkoliła mnie instruktor Kazimiera Czach-Kwiatkowska, „Jola Warszawianka”, która później przez wiele lat była pilotem sanitarnym w Rzeszowie – wspomina pan Henryk.

Był nie tylko pracownikiem WSK, ale i świetnym zawodnikiem mającym na swoim koncie także wiele nagród w zawodach samolotowych. Latał dużo, dobrze i... szczęśliwie, chociaż do dziś krąży w Świdniku opowieści o tym, jak Henrykowi Jaworskiemu w 1964 r. podczas wykonywania figury akrobacyjnej na Zlinie „odmaszerowało” skrzydło. Stało się to nad szosą tuż przy świdnickich krzyżówkach. Tylko dzięki temu, że pilot leciał na przepisowej wysokości 600 m i zachował zimną krew, zdążył się uratować.



Henryk Jaworski (z prawej) i Tadeusz Zach

Spadochron rozwinął się w ostatniej chwili tuż nad ziemią i wylądował w rowie, a nie na jezdni, pod kołami samochodów. Liczni świadkowie byli przekonani, że pilot zginął i poinformowali o tym jego żonę. Gdy zadzwonił do niej ze szpitala – z wrażenia zemdlął.

Po tym skoku został przyjęty do złotoryjskiego klubu uratowanych spadochroniarzy. Henryk Jaworski latał przez 55 lat – do 2011 roku.

Wiesława Jaworska

Żona Henryka Jaworskiego. Przez wiele lat pracowała jako technik konstruktor w WSK. Tak jak męża i synów fascynowało ją lotnictwo. Miała na swoim koncie wiele patentów i konstrukcji podzespołów śmigłowych różnych typów, w tym m.in. do produkowanego w Świdniku do dziś Sokoła. To ona – razem z Januszem Suprynem i Stanisławem Bieniem – przygotowała dokumentację obliczeniową i konstrukcyjną do przeróbki przestarzałego już Złina 26 Trener na lżejszego o 50 kg Acrobata, na którym Stanisław Kasperek wywalczył w 1964 r. trzecią lokatę na zawodach w Moskwie. W latach 80. uczyła młodych adeptów lotnictwa prowadzenia prawidłowych rozmów w eterze.

Waldemar Jaworski

Starszy syn Jaworskich. Jest instruktorem, pilotem doświadczalnym w PZL Świdnik. Rodzice skutecznie przekazali mu lotniczego bakcyła. Znaną szybowniczką, członkiem szybowcowej kadry narodowej była też jego żona Ilona. Razem swoją pasję



Waldemar Jaworski z ojcem Henrykiem



Ilona Jaworska

przekazali dalej. Teraz latają już wnukowie Wiesławy i Henryka – Michał i Jarosław.

Ważny dla Waldemara Jaworskiego w jego karierze szybownika okazał się 1983 r. W Szybowcowych Mistrzostwach Polski kl. Standard zajął miejsce 10/33, w XXIX Całorocznych Zawodach Szybowcowych „Skrzydlatej Polski” o Memoriał Ryszarda Bitnera zdobył 1 miejsce, a „Skrzydłata Polska”, klasyfikując „10 Najlepszych Wyników Szybowcowych”, przyznała mu 1 miejsce oraz tytuł Złoty Cumulus dla Aeroklubu Świdnik – Cumulusowe Niebo.

Ryszard Kasperek

Najstarszy z lotniczego klanu Kasperków. Z pozoru spokojny, opanowany, jedynie w powietrzu ulegał fantazji. Jedną z pierwszych pętli na szybowcu wykonał na niebywale niskiej i przez to niebezpiecznej wysokości 300 m podczas lotu za wyciągarką, za co został przez instruktora ukarany zakazem lotów



Bracia Ryszard i Stanisław Kasperkowie



Ryszard Kasperek

przez 2 tygodnie. W czasie wojny z rodzinnymi podlubelskich Niemiec obserwował loty samolotów, potem strugał ich sylwetki z drewna i zbudował dla nich hangar. Później zajmował się modelarstwem, rowem jeździł do Radawca na szkolenia, był szefem technicznym w Aeroklubie Robotniczym w Świdniku i wciąż latał. Swoją pasję zaszczepił młodszemu bratu. Wkrótce latali już razem; z czasem po pierwsze miejsca zaczął sięgać młodszy Stanisław, a potem Janusz, syn Ryszarda. W pierwszej grupie samolotowych akrobatów ze Świdnika znaleźli się oprócz Ryszarda i Stanisława Kasperków: Ryszard Kosiół, Hipolit Mikołajewski, Kazimierz Kozak,

Henryk Jaworski, Eugeniusz Milcarz, Julian Kaleta i Tadeusz Zach.

Ryszard sportową karierę zaczął w 1959 r. startem jako nawigator swojego brata Stanisława na samolotowych mistrzostwach Polski. Przez blisko czterdzieści lat brał udział w różnych imprezach lotniczych w tym mistrzostwach Polski zarówno w wersji rajdowo-nawigacyjnej, jak i akrobacji. W 1973 i 1974 r. dwukrotnie był wicemistrzem kraju. Wraz z bratem Stanisławem reprezentował Świdnik w mistrzostwach Polski w akrobacji zespołowej. Był członkiem kadry narodowej w obu konkurencjach. Uczestniczył w Samolotowych Mistrzostwach Świata w Akrobacji. Szczególne miejsce w jego życiorysie zajmują Lubelskie Zimowe Zawody Samolotowe, w których startował sześciokrotnie. Za trzykrotne wygrane otrzymał na własność puchar przechodni tej imprezy. Ostatni raz startował w niej w 1976 r. zajmując trzecie miejsce.

Stanisław Kasperek

Młodszy brat Ryszarda już jako 15-latek otrzymał uprawnienie pilota szybowcowego. W 1953 r. zdobywa uprawnienia na prowadzenie samolotów i zdaje maturę. Otrzymuje skierowanie do pracy w WSK. Akrobacje lotnicze, które stały się jego pasją, rozpoczął krótko po tym, jak został pilotem szybowcowym. Były to figury, które również wykonywał na samolotach. Dopiero w 1955 r. przystąpił do akrobacji samolotowych, korzystając z dostępnych mu pisemnych opracowań. W debiucie zajął 3 miejsce na



Lotniczy klan Kasperków. Od lewej: Stanisław, Janusz i Ryszard

mistrzostwach Polski, co wtedy było wśród znawców sporą sensacją.

W 1958 r. na IV Samolotowych Mistrzostwach Polski w Toruniu zdobywa wicemistrzostwo kraju w akrobacji. W rok później na takich samych zawodach wygrywa akrobację i zostaje mistrzem Polski.

Kilkakrotnie zajmował czołowe miejsca w dziesiątce najlepszych sportowców Lubelszczyzny w plebiscycie „Kuriera Lubelskiego”.

„Super Kasper Acrobat”, tak nazywano tego pierwszego świdnickiego mistrza w akrobacji samolotowej. W latach 60. ubiegłego wieku był sześciokrotnym mistrzem Polski. Wśród wielu tytułów, jakie zdobył, zabrakło mu tylko mistrza świata. Tytuł ten wywalczył dopiero jego bratanek Janusz, któremu wiele przekazał ze swoich lotniczych doświadczeń.

Stanisław Kasperek zmarł nagle w czerwcu 2011 roku.



Janusz Kasperk, IV Dolnośląski Rajd Dziennikarzy i Pilotów, Mirosławice 1–3 maja 1998 r.

Janusz Kasperk

Praca i talent wyniosły go w szeregi najlepszych pilotów świata. Mając znakomitych pilotów – ojca i stryja Stanisława, wychował się na lotnisku i poszedł w ich ślady. Pierwszy raz startował w zawodach lotniczych jako nawigator swego ojca w XI Lubelskich Zimowych Zawodach Samolotowych, na których zajęli drugie miejsce. Już dwa lata później – w 1980 r. – został powołany do kadry narodowej w akrobacji.

W 1986 r., po ukończeniu studiów, zaczął pracę pilota w WSK Świdnik. Startował również w wielu zawodach.

Od 1 czerwca 1990 r. był dyrektorem Aeroklubu Robotniczego.

W 1993 r. zorganizował duże pokazy lotnicze pod nazwą Air Show Świdnik, które obejrzało

50 tys. widzów. W 1995 r. odszedł z Aeroklubu i podjął pracę w PLL LOT jako drugi pilot samolotu pasażerskiego ATR-72. Już po roku przesiadł się na fotel pierwszego pilota, a później został instruktorem.

Był wysoko notowany w corocznym plebiscycie na najlepszego sportowca Lubelszczyzny organizowanego przez redakcję „Kuriera Lubelskiego”.

Dla Janusza Kasperka nie było samolotu, na którym by nie poleciał. Jednak swoją pasję poświęcił małym zwrotnym akrobacyjnym Zlinowi i Extrze. To na nich uczył się od ojca i stryja, a także w Centralnym Ośrodku Akrobacji Samolotowej w Radomiu. W Mistrzostwach Polski w Akrobacji nie miał sobie równych, czternastokrotnie stawał na podium jako mistrz Polski. W 1997 r. na Mistrzostwach Świata w Akrobacji Samolotowej na lotnisku w Lawrence w USA zdobył trzy złote medale. W kolejnym wywalczył brązowy medal. Brał udział nie tylko w tych dużych prestiżowych zawodach.

Startował w większości państw europejskich na różnego rodzaju mistrzostwach i zawodach, gdzie dał się poznać jako pilot o nieprzeciętnych zdolnościach.

Jego zawodową i sportową karierę przerwała tragiczna katastrofa lotnicza 17 października 1998 r. samolotu Extra 300, na którym wraz z Grzegorzem Moskalenko wylecieli na trening z lotniska w Mińsku Mazowieckim. To jedna z najczarniejszych dat w historii świdnickiego aeroklubu.

– Redakcja „Głosu Świdnika” mieściła się niedaleko lotniska – wspomina Mieczysław Kruk. – Często

zachodziłem do hangaru i z Januszem prowadziliśmy długie rozmowy. Kiedyś spytałem się go, jak długo jeszcze będzie latać.

– Panie Mieciu, chciałbym jeszcze pofruwać w Stanach w podniebnym cyrku straceńców – powiedział Kasperek. – Już mi się znudziły zliny. Chciałbym spróbować akrobacji na nowym sprzęcie. Niestety, nie zdążył...

Od 1997 roku, odkąd aeroklub funkcjonuje pod nazwą Aeroklub Świdnik, kieruje nim pilot Krzysztof Janusz. Prezesami zarządu aeroklubu byli Józef Kańczugowski (na przełomie lat 60. i 70.), Stanisław

Kwieciński (lata 70.), Stanisław Kucharuk (lata 80.), Jan Widz (lata 80.), Wiesław Zwolak (lata 90.), Ryszard Cukierman (lata 90.), Krzysztof Marjasiewicz (do 2012 roku). Obecnie funkcję tę sprawuje Jan Kidaj.

Przy świdnickim aeroklubie prężnie działa Klub Seniorów Lotnictwa, któremu od lat prezesuje Nikodem Buchowiecki. Członkowie klubu przyczynili się do rozwoju części poświęconej lotnictwu w ramach Izby Tradycji Miasta, funkcjonującej przy Miejskim Ośrodku Kultury.

Maria Balicka



Członkowie świdnickiego aeroklubie przy samolocie AN-2, jeszcze w barwach zespołu Bajm



Nota o autorze

Krzysztof Załuski – dziennikarz, redaktor, były sportowiec. Urodził się w 1962 r. w Hrubieszowie. Absolwent filologii germańskiej na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Od 1997 r. do 2012 r. był związany z „Dziennikiem Wschodnim”. Zaczynał w dziale sportowym, później pracował w dziale miejskim. Autor wielu reportaży. Przez kilka lat zajmował się tematyką kryminalną. Później został redaktorem prowadzącym „Tygodnik Świdnicki”, „Tygodnik Puławski”, „Teraz Puławy” i „Moje Miasto Lublin”. Wielokrotnie nagradzany i wyróżniany.

Od dzieciństwa związany ze sportem. W wieku 12 lat zaczął trenować piłkę ręczną i skok wzwyż w Unii Hrubieszów. W 1976 r. wyjechał do Lublina. Tu kontynuował swoją przygodę ze sportem

w AZS Lublin, z którym w 1979 r. zdobył V miejsce na Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży w Bydgoszczy. Jednocześnie zaczął trenować piłkę siatkową, najpierw w Sygnale Lublin, potem w Starcie Lublin. Ostatecznie wybrał koszykówkę. Zaczął w juniorach Lublinianki, skończył w AZS UMCS. Był uczestnikiem Akademickich Mistrzostw Polski w koszykówce i piłce ręcznej. Do dziś gra w amatorskiej lidze koszykówki.

Żonaty, jego syn Jakub przez wiele lat grał w Sygnale Lublin. Mieszka w Głusku. Lubi nordic walking, jeździć na rowerze, podróże, spacerować oraz dobre filmy. Jest zapalonym kibicem. W planach ma kolejne publikacje dotyczące nie tylko historii sportu.